110

WYPISY POLSKIE.

UŁOŻYŁ

JAN ŁUKOMSKI,

b. nauczyciel szkół publicznych.

31415

CZĘŚĆ WSTĘPNA.

Белостокская Областная им. Горького БИБЛИОТЕКА

1-Б.

Wydanie piąte.

WARSZAWA.

Skład główny w mieszkaniu nakładcy przy ulicy Elektoralnéj № 781.

1872.

SPIS RZECZY.

PROZA.

Strona.

Pismo święte.

1. Potop 1
2. Nowy świat, po potopie . 2
3. Ocalenie Mojżesza . . . — 3
4. Manna na puszczy . . . 4
5. Samson . . . . . —
6. Sąd Salomona 5
7. Nauki Tobijasza. . . . 6
8. Młodzieńcy w piecu . . 7
9. Bracia Machabejscy . . 8
10. Świątynia Salomona . .

Obrazki i powiastki moralne.

1. Kto z Bogiem, z tym Bóg 10
2. Grzeczne dzieci . . . . —
3. Miłość uczni ku nauczycielowi 11
4. Sumienność 12
5. Mężny Michaś 13
6. Marynia . . . . . —
7. Dobre dzieci 14
8. Chory Kasperek 15
9. Na co się przyda nauka? 16
10. Kłamstwo zawsze się wyda 20
11. Kupno na jarmarku . . 21
12. Miło jest wspiérać ubogich 23
13. Mały samolub 26
14. Imieniny Basi 30
15. Balik dziecinny 31
16. Nie suknia nas zdobi . . 35
17. Lekarstwo domowe . . 37
18. Ofiara Romanka . . . 38
19. Łakoma Andzia 40
20. Dobry Leoś 41
21. Dobroczynny Władzio . . 42
22. Uczciwa rodzina . . . 43
23. Szkoła . . . . . —

Strona

Przypowieści.

1. Rezeda 45
2. Strumyk 46
3. Kręte ścieżki . . . . . —
4. Dwie jabłonie 47
5. Drzewa i dzieci 48
6. Pochyłe kłosy 49
7. Cierpliwość . . . . . —
8. Ojciec i dzieci 50
9. Echo . . . . . —
10. Rzeka i potok 51
11. Natura i sztuka . . . . —
12. Podkowa 52

Anekdoty moralne.

1. Franuś 53
2. Dowód przywiązania . . 54
3. Tytuł i stopień . . . . —
4. Gucio 55
5. Dar mały, lecz prawdziwy —

Historyja literatury.

1. Mikołaj Kopernik . . . 56
2. Przygoda Macieja Stryjkowskiego . . . . . —
3. Urszula Kochanowska . . 59
4. Piotr Skarga 62
5. Ignacy Krasicki 63
6. Krasicki w Skierniewicach —
7. Fryderyk Wielki i Krasicki 66
8. Stanisław Staszyc . . . —
9. Stanisław Trembecki . . 67
10. Kazimiérz Brodziński . . 68
11. Jan Paweł Woronicz . . 69
12. Ludwik Dmuszewski . . 74
13. Śmierć Adissona . . . 77

Strona.

14. Łagodność Newtona . . 77
15. Otwartość Malerba . . . 78

Obrazki, opowiadania i anekdoty historyczne.

1. Solon i Krezus 78
2. Dyjogenes 80
3. Bolesław Krzywousty . . 82
4. Trzebnica 83
5. Święta Kunegunda . . . —
6. Chrześniak królewski . . 84
7. Założenie państwa Rossyjskiego 88
8. Charakter cnotliwy. . . 89
9. Królowa Jadwiga . . . 91
10. Krupa 92
11. Filip z Konopi . . . . —
12. Alfons V 93
13. Jędrzéj Górka. . . . . —
14. Stefana Batorego portret. 94
15. Piotr W. założyciel Petersburga . . . . . —
16. Cecylija Renata 95
17. Róże cudowne . . . . —
18. Szabelka Piotra Wielkiego 97
19. Uległość Piotra Wielkiego prawu 98
20. Maryja Leszczyńska —
21. Przykłady nadzwyczajnéj siły 100
22. Wróżba 101
23. Szkoda czasu i atłasu . 102
24. Śmierć Cooka . . . . —
25. Jan Guttenberg 105
26. Drukowanie książek . . 106
27. Benijamin Franklin. . . 107
28. Towary kolonijalne . . —
29. Wojna 1812 roku . . . 108
30. Miłość ludu ku monarsze . 109
31. Mała przejażdżka . . . —
32. Dobroczynność Pijusa IX 110
33. Podarek ślubny 111

Legendy i podania bajeczne.

1. Chléb, obrócony w kamień 111
2. Orły Herburtów . . . 113
3. Piotr z Janiszowa . . . —
4. Co to jest mitologija? . 114
5. Początek drzewa oliwnego 115

Strona.

6. Narcyz 116

Obrazy z domowego życia Polaków.

1. Obchód Kurka w Krakowie 117
2. Górale 118
3. Wychowanie dzieci w dawnych czasach 120
4. Lud wiejski w Lubelskiém. 121
5. Rusini 122

Geografija.

1. Kościół Panny Maryi w Krakowie 124
2. Plantacyje w Krakowie . 125
3. Syberyja i jéj płody . . 126
4. O morzach i rzekach Rossyjskich . . . . . —
5. Miasta polskie w XVI w. 129
6. Dubiecko 130
7. Upiększenie Warszawy . 131
8. Kazimiérz 132
9. Radecznica 133
10. Górnictwo krajowe . . . —

Opisania z historyi naturalnéj.

1. Człowiek i ziemia . . . 136
2. Słońce 137
3. Księżyc . . . . . —
4. Burza w lecie 138
5. Huragan 139
6. Mgła i dészcz . . . . —
7. O ciele zwierząt. . . . 140
8. O instynkcie zwierząt. . 141
9. Zęby 142
10. Koty 143
11. Owca 145
12. Kret 146
13. Jelenie 147
14. Żubr 148
15. Sępy 149
16. Sowa-puszczyk . . . . —
17. Pająki przędące . . . 152
18. O częściach roślin . . . 153
19. Modrzew' 155
20. Rośliny miseczkowe . . 156
21. Tulipan 158

Anekdoty z historyi naturalnej.

1. Gęsi kapitolińskie . . . 159
2. Słoń Cezara 160

Strona.

3. Lew Godfreda 160
4. Pudel przemyślny . . . 161
5. Troskliwość żmii . . . 162
6. Wierny pies. . . . . —

Obrazy z życia społecznego.

1. Dwór wiejski 164
2. Domek mojego dziadka . 165
3. Modny pałac 166

Listy.

1. Listy Krasińskiego do synów 167
2. List Mickiewicza do córki Maryi 168

Powiastki z życia społecznego.

1. Tajemnica 170

Strona

2. Czarnoksiężnik 178
3. Kolęda 181

Anekdoty.

1. Roztropny chłopek . . 188
2. Przytomna odpowiédź . 189
3. Przytomność umysłu . . 190
4. Zamek Tumen 191
5. Obłąkany. . . . . —
6. Troskliwość zbyteczna . 192
7. Mądre głupstwo . . . 193
8. Igraszka słów mimowolna . . . . . —
9. Pastuch 194

Komedyjka.

1. Obchód urodzin . . . 194

POEZYJE.

Poezyje liryczne.

1. Do Boga 1
2. Modlitwa . . . . . —
3. Pieśń poranna . . . . —
4. Podczas pracy w polu . 2
5. Do chłopczyka w dzień imienin. . . . . —
6. Pastuszek . . . . . —
7. Do sikorki. 3
8. Skowronek 4
9. Domek . . . . . —
10. Siérota 5

Bajki.

1. Słońce 6
2. Dąb i agrest . . . . . —
3. Kotek 7
4. Dwie beczki . . . . . —
5. Chłopczyk ukarany . . 8
6. Kot i myszka . . . . —
7. Kwoka i kurczęta . . . 9
8. Ojciec łakomy, syn rozrzutny 10
9. Osieł i wół . . . . . —
10. Talar i czerwony złoty . 11
11. Wino i woda . . . . . —
12. Paweł i Gaweł . . . . —
13. Pan i pies 12
14. Furman i motyl . . . —
15. Żółw' i mysz . . . . . —
16. Mądry i głupi 13
17. Strzelec . . . . . —
18. Kruk i lis. . . . . —
19. Osieł i flet . . . . . —
20. Osieł i cielę 14
21. Kolaska . . . . . —
22. Skąpy 15
23. Dwa pługi . . . . . —
24. Dwa pługi . . . . . —
25. Wół i rolnik 16
26. Dwa zające . . . . . —
27. Sknera . . . . . —
28. Osieł i lew 17
29. Skarb ukryty . . . . —
30. Kotek, piesek, myszka i ptaszek 18
31. Pieniądz fałszywy . . . —
32. Kruk i lis 19
33. Wróbel . . . . . —
34. Chciwość osła 20
35. Kmiotek i wiewiórka . . —
36. Przepiórka . . . . . —
37. Paweł i Jan 21
38. Lis i osieł 22
39. Woły krnąbrne . . . . —

	Strona.
40. Żydek	22
41. Mysz i kot	23
42. Piotr i Jan	—
43. Dudek, czyżyk i słowik	—
44. Myszka, kot i kogut	24
45. Wilk i baranek	25
46. Owieczka	26
47. Żółw' i zając	27
48. Gil i słowik	28
49. Lis i kozieł	—
50. Małpa i jéj dzieci	29
51. Mysza narada	30
52. Dwie myszki	31
53. Osieł i pies	33
54. Chłop i żmija	34
55. Bocian i liszka	35
56. Żołądź i dynia	37
57. Lew i mysz	38
58. Jałmużna	39
59. Gołębnik	40
60. Pies i pszczoły	41
61. Drabinka	42
62. Mrówka i pszczoła	—
63. Zając i niedźwiedź	43
64. Konik polny i mrówka	45
65. Zajączek	45
66. Kot	—
67. Talar i bankocetle	47
68. Franuś i echo	—
69. Ptaszek i rybka	48
70. Przyjaciele	—
71. Lew i zwierzęta	50
72. Chłop i cielę	—
73. Zając	—
74. Czapla, ryby i rak	51
75. Zając i żaba	52

Inne rodzaje poezyi epicznéj

1. Siérota	53
2. Walka myszy i szczurów z kotami	54
3. Wychowaniec	57
4. Niewinny żarcik	—
5. Chléb	58
6. Lato	60
7. Wiosna	61
8. Jesień	62
9. Ogród	—
10. Ptastwo domowe	63

I. PISMO ŚWIĘTE.

A. OPOWIADANIA.

I. Potop.

Bóg ukarał potopem znikczemniały ród ludzki. Wszystko, co tylko żyło na ziemi, pochłonęła woda. Znajdował się wszakże mąż prawy, nazwiskiem Noe, którego Pan ocalić postanowił, wraz z żoną, synami i ich żonami.

Z rozkazu Bożego, Noe wybudował wielki statek, nazwany arką, umieścił w nim rodzinę swoję i zwierzęta, które miały pozostać przy życiu, i pływał na powierzchni powodzi, tak, iż wraz ze wszystkiém, co miał przy sobie, został ocalony.

Od czasu do czasu Noe wypuszczał ptastwo z arki, chcąc jakąkolwiek o stanie ziemi powziąść wiadomość. Naprzód wypuścił kruka, lecz ten nie powrócił. Następnie puścił gołębia; ten trwożliwie trzepotał koło arki; ulitował się więc nad nim Noe i wpuścił go napowrót do statku. W trzy dni znowu go wysłał: wieczorem dopiéro gołąb' powrócił, niosąc w dzióbku zieloną gałązkę oliwną.

Uspokoiła się burza na ziemi, ustały ulewy, wicher już nie huczał, uśmiérzyło się bicie bałwanów, nastąpiła zupełna cisza i spokojność.

Z téjto przyczyny gałązka oliwna stała się godłem pokoju, a kolor zielony—barwą nadziei.

Nakoniec Noe dostrzegł, że ziemia już obeschła, i z rozkazu Boga, wraz z rodziną i wszystkiemi zwierzętami opuścił arkę.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Nowy świat po potopie.

Z ośmiu osób, pozostałych po potopie, to jest: Noego z trzema synami i ich żon, rozkrzewił się i rozmnożył nanowo rodzaj ludzki. Noe zaczął znowu ziemię uprawiać i zasadził winnice. Nie znając jeszcze mocy wina, napił się go zawiele, i, odurzony, leżał w namiocie swoim, nie przykryty.

Cham. widząc swego ojca tak leżącym, ze śmiéchem opowiedział to swoim dwóm braciom. To pokazało zły jego sposób myślenia; bezbożne jest to dziécię, które się naśmiéwa z ojca swego. Sem i Jafet byli lepsi: z odwróconemi wtył oczyma poszli i okryli ojca płaszczem. Ta wstydliwość i dziecinne uszanowanie były piękne, chwalebne i szlachetne.

Noe ocknąwszy się, gdy się dowiedział o płochym postępku Chama, rozgniéwany, rzucił na niego przekleństwo; Semowi zaś i Jafetowi pobłogosławił i przepowiedział, że im się bardzo dobrze i szczęśliwie powodzić będzie. Podoba się to Bogu, kiedy dziécię ma zawsze rodziców swoich w poszanowaniu, a błędy i ułomności ich cierpliwie znosi.

Z potomków Noego zczasem powstał wielki naród i coraz daléj rozszérzał się na ziemi; jedni z nich udali się w jednę, a drudzy w inną stronę. Potomkowie Sema pozostali w Azyi; pochodzący od Chama po większéj części udali się do Afryki, a — od Jafeta — do Europy.

Ł. i W. 1850 r.

3. Ocalenie Mojżesza.

Lud Izraelski, sprowadzony do Egiptu przez Józefa, mnożąc się coraz liczniéj, stał się groźnym dla Faraonów. Rząd przeto Egipski uciskał żydów, pędząc ich do robót ciężkich, do budowy miasta i przybytków dla króla. Ale im bardziéj ich uciskano, tém więcéj się mnożyli i rośli. Wtedy rozkazał Faraon ludowi swemu, by każde dziécię płci męzkiéj, u Hebrajczyków urodzone, wrzucano do rzeki. Stało

się, że właśnie wtenczas przyszedł na świat Mojżesz, wielki potém prawodawca i wódz ludu Izraelskiego. Matka jego, nie mogąc zataić urodzenia chłopięcia, wzięła pleciankę z sitowia, namazała ją kléjem, włożyła w nią dziéciątko i postawiła między rogożą, na brzegu rzeki. A siostra malutkiego Mojżesza, Maryja, stała zdaleka, czekając, co się stanie. Alić oto córka królewska przyszła się kąpać, a ujrzawszy pleciankę między rogożą, posłała jednę ze służebnic swoich, by ją przyniosła. Kiedy zaś ujrzała dziéciątko płaczące, zmiłowała się nad niém, myśląc, że to pewnie Hebrajskie dziécię. Wtém zjawia się Maryja, siostra kwilącego malca i rzecze do królewny: „Chceszże, pani, a pójdę i zawołam, niewiasty Hebrajskiéj, któraé by mogła chować dziécię.“ Królewna odpowiedziała: „idź.“ Poszła dziéweczka i zawołała rodzonéj matki Mojżesza. Córka Faraona oddała zatém chłopczyka niewieście Hebrajskiéj i przyrzekła jéj zapłatę. Kiedy się Mojżesz odchował, wróciła go matka na dwór królewski, gdzie, wychowany i w całéj mądrości Egipskiéj wyćwiczony, dojrzał na roztropnego męża i zbawcę swojego narodu. Nazwano go Mojżeszem, co znaczy: „wyjęty z wody.“

Franciszek Krupiński. 1865.

4. Manna na puszczy.

Synowie Izraela przeszli morze Czerwone i w puszczy obozem stanęli. Była to pustynia niezmierna, głucha i okropna; ani pola uprawnego, ani chaty, ani człowieka nie było w niéj widać. Ledwo nie wszyscy mniemali, że z głodu poginą.

Bóg czynił dotąd dla nich cuda nadzwyczajne. Izraelici przecież sarkali, oskarżając Mojżesza i Arona, i mówili: „Obyśmy byli pomarli z ręki Pańskiéj, w ziemi Egipskiéj! Tam siedzieliśmy nad misami, pełnemi mięsa, i jedliśmy chléb do sytości. Czemuście nas wywiedli na te pustynie, aby tak wielkie mnóstwo ludu pomarło?“

Bóg chciał im przecież dać jeszcze niesłychany dowód swéj miłości i rzekł do Mojżesza: „Oto spuszczę wam chléb z nieba. Niech lud wychodzi przed namioty, a zbiéra tyle, aby dość było na każdy dzień, a doświadczycie, iż jestem wasz Pan i Bóg.“

Nazajutrz rano cała ziemia błyszczała rosą; potém rosa opadła, a ziemia pustyni stała się białą, jak śniég i jakoby szronem okrytą: były to białe okrągłe ziarnka. Skoro Izraelici ten dar nieba spostrzegli, „Cóż to jest?“ wołali zdziwieni. „Jest to chléb,“ rzekł Mojżesz, „który Pan wam zsyła.“

Bóg żywił Izraelitów tym chlebem, nazwanym *manną*, dopóki byli na puszczy, to jest przez lat 40.

Kazimiérz Brodziński.

5. Samson.

Samson wyrósł w błogosławieństwie Pańskiém. Duch Boży obdarzył go odwagą i siłą cudowną, któréj zadziwiające okazał dowody.

Dnia jednego szedł Samson z ojcem swoim i matką, aż młody lew, rycząc, wypadł przeciw młodzieńcowi, który się był w drodze od rodziców oddalił. Duch Pański wstąpił w Samsona, iż tenże, nic w ręku nie mając, rozdarł lwa, jak koźlę; poczém pobiegł za ojcem i matką, ale im nic o tym wypadku nie wspomniał.

Bóg tym, którzy w Niego ufają, cudownéj siły udziela. Obok téj siły zdobiła Samsona druga, moralna, iż się sam ze zwycięztwa przed rodzicami nie chlubił.

Kazimiérz Brodziński.

6. Sąd Salomona.

Razu jednego stanęły przed królem Salomonem dwie niewiasty, z których jedna tak mówiła: „Ja i ta niewiasta

mieszkałyśmy w jednym domu. I dał mi Pan Bóg syna, a trzeciego dnia potém, ta oto niewiasta miała także syna. I byłyśmy pospołu, a oprócz nas nie było nikogo w domu. I umarł syn téj niewiasty w nocy, bo go, śpiąc, przydusiła. I wstawszy o północy, wzięła syna od swego boku i położyła przy mnie. A gdym wstała rano, chcąc nakarmić syna mego, znalazłam go umarłym, któremu przypatrując się pilniéj w jasny dzień, poznałam, że nie był mój.“ I odpowiedziała druga niewiasta: „Nie tak jest, jako powiadasz, ale twój syn umarł, a mój żyje.“

Nie było świadków, coby prawdę wyjaśnić mogli; same tylko niewiasty obwiniały się wzajemnie. Powstał Salomon na stolicy swojéj i rzekł: „Przynieście miecz,“ a gdy kat przyszedł, dodał: „Rozdzielcie dziécię żywe na dwie części i dajcie połowę jednéj, a połowę drugiéj.“

Na ten wyrok, jedna z niewiast w uniesieniu serca zawołała: „Proszę, panie, dajcie jéj dziécię żywe, a nie zabijajcie go.“ Przeciwnie, druga w zapalczywości twierdziła: „Niech nie będzie ani mnie, ani tobie, ale niech je rozdzielą.“

Rzekł tedy król: „Dajcie piérwszéj dziecię żywe, a nie zabijajcie go, bo ta jest matką jego.“

I usłyszał wszystek lud Izraelski sąd, jaki król uczynił. . . . i bali się króla, widząc, że mądrość Boża była w nim ku czynieniu sądu.

Antoni Tyc.

7. Nauki Tobijasza.

Między Izraelitami, żyjącemi w Assyryjskiéj niewoli, był człowiek bardzo pobożny, nazwiskiem Tobijasz. Sądząc, że już blizkim jest śmierci, wezwał do siebie syna swego Tobijasza i rzekł:

Synu mój, szanuj matkę swoję po wszystkie dni jéj życia i pamiętaj na wszystko, co cierpiała dla ciebie. A gdy wypełni czas życia swego, pogrzeb ją obok mnie.

Miéj zawsze Boga w pamięci, a chroń się wszelkiéj myśli i czynów, przeciwnych rozkazom Jego.

Nie odwracaj się od ubogich, aby Bóg nie odwrócił się od ciebie. Mając wiele, daj wiele; mając mało, daj z serca, co możesz.

Chroń się pychy w mowie i w myśli. Bądź rzetelny. Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło. Szukaj rady u mądrych.

Nadewszystko miéj ufność w Bogu; nędzne życie wprawdzie wiedziemy, ale wiele dobrego mieć będziem, bojąc się Boga i dobrze czyniąc.“

Kazimiérz Brodziński.

8. Młodzieńcy w piecu.

Pomiędzy Izraelitami, uprowadzonemi w Babilońską niewolę, było wielu, pochodzących z krwi królów i książąt. Nabuchodonozor tedy, król Babiloński, rozkazał najzdatniejszych z pomiędzy nich wybrać i w służbie swojéj umieścić.

Stało się po niejakim czasie, iż król kazał ulać wielkiego bałwana ze złota, którego na polu postawił, i wezwał wszystkich książąt, panów i urzędników królestwa, aby się zeszli na jego poświęcenie.

Gdy się wszyscy zebrali, woźny głośno obwołał rozkaz następujący: „ W chwili,w któréj usłyszycie głos trąby, piszczałki, cytry i fletni, padłszy, pokłonicie się bałwanowi, który król Nabuchodonozor wystawił. A ktoby tego nie uczynił, ten téj godziny wrzucony będzie w piec ognia pałającego.“

Na głos trąby, padli wszyscy na ziemię i pokłonili się onemu bałwanowi, ale uczynić tego nie chcieli trzéj młodzieńcy Izraelscy: Ananijasz, Mizael i Azaryjasz. Natychmiast więc oskarżeni zostali przed królem.

Król, rozgniewany, kazał im stanąć przed sobą i rzekł: „Prawdaż to, iż nie chcecie czcić bogów moich i kłaniać się bałwanowi złotemu? Tą razą jeszcze, za piérwszym odgłosem

trąby, padnijcie na ziemię i cześć mu oddajcie; inaczéj w ogień pałający rzuceni będziecie. Ujrzycie wtedy, czy który Bóg mocen będzie z rąk moich was wybawić.“

Trzej młodzieńcy rzekli: „Wybór jest łatwy. Bóg, któremu cześć oddajemy, łatwo może wybawić nas z ognistego pieca i z rąk twoich. A chociażby tego uczynić nie chciał, my jednak twoim bałwanom kłaniać się nie będziem.“

Tak gotowi byli raczéj zginąć, niż wiary prawdziwéj odstąpić. Król, taką odpowiedzią bardzo rozgniewany, kazał piec siedemkroć mocniéj, niż zwykle, rozpalić—i wybrał najsilniejszych żołniérzy, ażeby młodzieńców onych, związawszy, w tenże piec wrzucili.

Rozkaz wykonano natychmiast. Nikt bez drżenia nie mógł znieść tego widoku. Płomienie gwałtownie buchały z otworów pieca; żołniérze, zbliżywszy się do pieca, dla wrzucenia ofiar, tak opaleni zostali, iż natychmiast umarli. Młodzieńcy tedy wrzuceni zostali w ogień, ale anioł z nieba zstąpił wpośród nich i odgarniał płomienie. I dał im się uczuć miły powiéw, jakoby wiatru wieczornego po rosie. Ogień nie dotknął się ich wcale, lecz sprawił tylko, iż z nich łańcuchy opadły. Zatém wszyscy, jakoby jednym głosem, zaczęli śpiéwać cześć Bogu pośród płomieni.

Kazimiérz Brodziński.

9. Bracia Machabejscy.

Antyjoch, król Syryi, zdobył szturmem Jerozolimę, zabrał z kościoła święte naczynia, i cały naród Żydowski chciał zmusić do oddawania pokłonów bałwanom, do zaparcia się prawdziwego Boga i do opuszczenia świętych praw ojczystych. Wszystkich, sprzeciwiających się temu rozkazowi, kazał więzić, katować, albo okrutnym sposobem mordować.

Między wieloma, prześladowanemi w ten sposób, znajdowała się jedna matka z siedmioma synami. Ci pamiętali

na jedynego Boga i na prawa ojczyste, nie dali się nakłonić groźbami do przestąpienia przykazań Boskich, ale śmiało wyrzekli: „Bóg nasz zakazuje nam, a więc nie wolno i nie możemy tego uczynić.“

Antyjoch kazał więc smagać ich rózgami. Wtedy odezwał się najstarszy z nich do króla: „Raczéj wolimy umrzéć, niżeli co uczynić przeciw prawu Boskiemu, przeciw prawu naszych ojców.“ Król, rozgniéwany o to, kazał mu język wyrwać, skórę zdjąć, ręce i nogi odciąć; potém położono go na ruszt rozpalony i żywcem pieczono. Drudzy bracia i matka musieli się na te męczarnie patrzéć. Umarł wytrwale.

Potém wyprowadzono drugiego na męki, daléj trzeciego, czwartego.... i tak jednego dnia umarli wszyscy siedmiu w srogich mękach, które odważnie znosili.

Wezwawszy na pomoc Boga, stały się owe dzieci nieustraszonemi i jeszcze śród męk śpiéwały wesoło na chwałę Boga, o życiu wieczném. Po tych świętych synach poszła i matka na męki; ofiarowała odważnie swoje życie Bogu i w chwili śmierci cieszyła się, że wychowała dzieci, które za Boga i wiarę ojców tak wesoło śmierć poniosły.

Ł. W. 1858.

B. OPISANIE.

Swiątynia Salomona.

Przez całe siedem lat budowano sławny kościół Salomona. Przepych jego, piękność i kunsztowne roboty, tak były zadziwiające, że sława tego gmachu rozeszła się po całym świecie. Kościół ten miał postać czworobocznego podłużnego grodu, który zawiérał w sobie trzy, podobnegoż kształtu, a coraz mniejsze obwody. Piérwszy obwód otwarty był nawet dla obcych, drugi — tylko dla Izraelitów, do trzeciego — sami kapłani i Lewici przystęp mieli, bo téż w środku jego wznosił się sam kościół, także czworoboczny

i podłużny. Kościół ten, oparty od wnijścia na dwóch słupach z miedzi, dzielił się na dwie części: na *Święte* i na *Święte-Świętych*. W piérwszém, dokąd tylko kapłani wchodzić mogli, stał ołtarz kadzideł, stół na chleby ofiarne i dziesięć świéczników, wszystkie ze szczérego złota. W drugiém, — przedzieloném od piérwszego złotolitą zasłoną, był ołtarz, *wyrocznicą* zwany, i dwaj cherubini ze szczérego złota, a pod ich rozłożonemi skrzydłami postawić miano arkę przymierza, ze wszystkiemi starożytnemi jéj świętościami. Do tego miejsca raz tylko na rok sam wielki kapłan mógł wchodzić: całe było blachami złotemi wybite, równie, jak *Święte*, a światło dzienne oknami z góry wchodziło. Z trzech stron kościoła były zabudowania, dochodzące do połowy jego wysokości; tam, w izbach wspaniałych, złożono wszystkie skarby kościelne. Przed drzwiami i przed wspomnionemi słupami, w obwodzie, dozwolonym dla samych tylko kapłanów i Lewitów, stał ołtarz całopalenia i wielka umywalnia, *morzem miedzianém* zwana, w któréj kapłani oczyszczali się przed przystąpieniem do spełnienia obrzędów; stały tam i inne sprzęty i naczynia z wodą. Ten obwód, zwany *sienią kapłanów*, równie, jak dwa inne większe: *Izraela* i *obcych*, miał czworo drzwi, po jednych z każdego boku, i różne zabudowania, jako to: izby, przedsionki, krużganki, w których mieszkali kapłani i Lewici, gdzie ustawiano zbywające sprzęty i naczynia, gdzie wreszcie przechadzały się i modliły osoby, przychodzące do kościoła, a kapłani odbywali sprawy swego urzędu. Cały ten święty gród, w najmniejszych szczegółach i ozdobach swoich, tak był bogaty i starannie wykończony, iż, o ile dzieło ręki ludzkiéj godném być może, o tyle on był godnym Boga, którego imieniu był poświęcony.

Klem. z Tań. Hofmanowa 1844 r.

II. MORALNOŚĆ.

A.) OBRAZKI I POWIASTKI.

1. Kto z Bogiem, z tym Bóg.

Była w Krakowie jedna biédna kobiéta; Piotrową zwali ją sąsiedzi. Ta, owdowiawszy, bez żadnego sposobu do życia została, a córka jedna i parę złotówek były całym jéj majątkiem. Pobożna i pracowita, rąk nie opuściła i uszła nędzy. Z tą parą złotówek umyśliła wziąść się do handlu. W dniu, w którym go rozpocząć miała, weszła do kościoła Dominikanów, a padłszy na kolana, błagała o pomoc Boga wdów i sierót —i ślubowała, że, jeżeli, za łaską Jego i pracą swoją, dojdzie do chleba i do majątku, dzielić się nim będzie z potrzebniejszemi od siebie i zniszczoną w tym kościele kaplicę Matki Zbawiciela do szczętu odbuduje. Zdawna „najmilszą Bogu się zdała pracującéj ręki chwała," wysłuchał więc modlitw, pobłogosławił zabiegom czynnéj niewiasty. Piotrowa, ranném wstawaniem, niezmęczoną pracą, nieposzlakowaną uczciwością, w przeciągu lat kilkunastu dorobiła się majątku, wyposażyła córkę, odnowiła kaplicę... i jeszcze się jéj została cząstka dla potrzebnych; jeszcze ta ręka, odpędziwszy nędzę od siebie, i drugim oczy ociérać umiała. Już od lat kilku ta poczciwa kobiéta nie żyje; w kaplicy, przez nią odnowionéj, jest prosty jéj nagrobek; w wielu sercach została jéj pamięć.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1827 r.

2. Grzeczne dzieci.

Powróciwszy z przechadzki, usiedliśmy w cieniu lip na podwórzu, gdzie, według zwyczaju, około szóstéj, zgromadzała się cała familija. Przyniesiono mléko; jedliśmy wszyscy społem. Gdyśmy się dostatecznie ochłodzili, resztę mléka rozdano chłopskim dzieciom, które nas otaczały. Wdzięk wieku tego, niewinność ich zabaw i igraszek, bawiły mię, a to dziwiło, iż, w podziale danego im mléka, nie pokazywały zbytecznego łakomstwa i porywczości, ale, obrawszy z pomiędzy siebie jednego, każdy w przystawkę *) brał, co mu tamten na porcyją naznaczył; ów, zaś, kontent z dystynkcyi **), poważną postać na siebie przywdział i, bojąc się może, żeby go ta dystynkcyja za drugim razem nie chybiła, tak dobrze drugich dzielił, iż mu się samemu nic nie dostało. Postrzegła to pani Podstolina i, pochwaliwszy wstrzemięźliwość, w nagrodę, kazała mu świéżego mléka przynieść i dała garść orzechów. Zatém nastąpiły między niemi gry różne, któremi nas zabawiały dość długo. Rozeszli się inni; myśmy się zostali pod lipami; a gdym zadziwienie moje ze wstrzemięźliwości tych dzieci wyraził panu Podstolemu, odpowiedział, iż to jest skutkiem dobréj edukacyi ***).

Ignacy Krasicki. 1778 r.

3. Miłość uczni ku nauczycielowi.

Dnia 30 Lipca 1814 roku, o drugiéj po północy, wybuchnął pożar w pałacu Kazimiérowskim i w jednéj chwili, prawie w okamgnieniu, objął wszystkie zabudowania. Mieszkańcy ratować nie mogli sprzętów swoich i chudoby; zaledwie uciekli z życiem. W tym pożarze spaliło się 17 większych pawilonów, 15 mniejszych i stajnie. W jednym z palących się pawilonów mieszkał Jakób Fryderyk Hofman, uczony mineralog, profesor szkoły lekarskiéj. Miał on piękne zbiory dla swojéj nauki. Pojąćże tu teraz rozpacz czcigodnego starca, kiedy zobaczył, że zbiory jego zmarnie-

*) W miseczkę. **) Z odznaczenia go przed innemi, czyli z zaszczytu ***) Wychowania.

ją ze stratą uczniów i krzywdą nauki! Ale uczniowie rzucili się w płomienie, wynieśli z domu profesora wszystko, co tylko mu drogie było, i umieścili na oddalonem miejscu, gdzie nie dosięgała siła okropnego żywiołu. Całą noc, jeden po drugim, zaciągali tu na wartę: i jedni pilnowali minerałów profesora, kiedy drudzy nieśli pomoc mieszkańcom. I rzecz dziwna! nic nie uroniono ze zbiorów naukowych Hofmana, w takim pośpiechu, wpośród takiego przerażenia.

Juljan Bartoszewicz.

4. Sumienność.

Na podwórzu, przed domem ojca, Ignaś bawił się w piłkę, gdy któryś z sąsiadów, przechodząc, prosił go, aby wybiegł na pagórek i, gdy zobaczy nadchodzącą pocztę, uwiadomił go zaraz. Ignaś, uprzejme i grzeczne dziecko, przyrzekł sąsiadowi, że mu zrobi tę usługę. Jakoż zaraz wybiegł na wzgórek, zkąd widok sięgał daleko na gościniec. Już tam czekał kawał czasu, gdy przyszedł doń inny chłopczyk i namawiał go, aby poszli łowić ryby na wędkę. Lecz Ignaś, choć bardzo lubił tę rozrywkę, tą razą musiał odmówić, ponieważ dał słowo sąsiadowi.

— I dopókiż tu będziesz stał na słońcu? — mówił nowoprzybyły chłopczyk.

— Dopóki poczta nie nadejdzie, — odrzekł Ignaś.

— Pójdź ze mną lepiéj; wszak dosyć długo tu czekasz.

Ale Ignaś nie dał się namówić, pamiętając na słowa, które mu ojciec często powtarzał, że uczciwy człowiek powinien zawsze słowa dotrzymać. Dlatego téż, choć długo jeszcze czekał, choć mu upał słoneczny dokuczał, nie ruszył się z miejsca i prawdziwą uczuł radość, gdy mógł uwiadomić sąsiada o zbliżaniu się poczty.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

---

5. Mężny Michaś.

Często są między dziećmi przykłady owego prawdziwego męztwa, które najwięcéj na tém zawisło, żeby cierpienia znosić z łagodnością, w milczeniu. Z takich dzieci zwykli wyrastać dzielni mężowie i zacne niewiasty. Raz, w obecności ojca, bardzo skłonnego do gniewu, służący, niosąc ogromną tacę ze srébrem, samym rogiem ugodził w głowę siedmioletniego Michasia. Chłopczyna zbladł z wielkiego bólu, ale nie wyrzekł i słowa, ani puścił łzy jednéj; owszem jeszcze, widząc trwogę służącego, gniéw powstający ojca, zaczął mu całować ręce i kolana, prosząc, by nie karał winowajcy, i zaręczając, że go prawie nic nie boli.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

6. Marynia.

Stryj sześcioletniéj Maryni, wyjéżdżając do Karlsbadu, obiecał jéj przywiéźć ztamtąd cały sprzęt do śniadania, ze szkła czeskiego. Dwa miesiące naprzód cieszyła się i oczekiwała niecierpliwie tych cacek. Nakoniec stryj przyjeżdża, sprzęt szklanny przywozi i jeszcze zapakowany oddaje szczęśliwéj Maryni. Odwija go ostrożnie; za każdą dobytą miseczką, za każdym kubeczkiem wydaje okrzyk nowy; ustawia wszystko na szklannéj tacy i nie posiada się z radości. Wtém babunia Maryni, w drugim pokoju będąca, woła na nią, żeby jéj te piękne rzeczy przyniosła pokazać. Dziewczynka bierze tackę, idzie pomału i tak pomału, że babunia wymawia jéj tę przesadzoną powolność, a, wychodząc naprzeciw niéj, chce odebrać z jéj rąk sprzęt cały, ale przez prędkość go wytrąca. Pada na ziemię piękna tacka... i wszystkie miseczki, kubeczki, imbryczki, na drobne kawałki się tłuką. Marynia ani krzyknęła, ani zapłakała, tylko, zarumieniwszy się mocno, pocałowała babunię w rękę i te słowa wyrzekła: „A! widzi babunia, że to dobrze czasem być po-

wolną.“ Po chwili babunia, zmartwiona, wyszła z pokoju, chcąc zapewne wynaleźć dar jaki dla wynagrodzenia Maryni, ta zaś zbiérała, smutna, szczątki swego skarbu, rozrzucone po podłodze, przymierzając jedne do drugich — kiedy wszedł stryj. Zobaczywszy z zadziwieniem podarunek swój już potłuczonym, zaczął łajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Ta serdecznie się rozpłakała, lecz nie powiedziała i słówka na swoje usprawiedliwienie. Dopiéro za powrotem babuni cała rzecz się wydała, a Marynia w uściśnieniach i pochwałach zacnéj matki i krewnych, w uczuciu własnego serca, znalazła postępku swego wynagrodzenie.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

7. Dobre dzieci.

Państwu Wiernickim Bóg dał dwoje dzieci: dziewczykę Marynię i chłopczyka Adasia. Były to prawdziwe z nieba aniołki, takie ładne, czerstwe, hoże, gotowe każdemu się przysłużyć. Czy to przeprowadzić niewidomą kalékę przez drogę, czy podnieść małe niemowlę z ziemi, czy podać kijek drżącemu od starości dziadkowi, zawsze oni byli gotowi, nie dając się nigdy wyprzedzić nikomu. Niech tylko Marynia widziała płaczącą wiejską dziewczynkę, to i u niéj zaraz łezki w oczach; a czyto jabłuszko, czy cukierek, czy jaką miała zabawkę, chętnie ją oddawała, byle tylko pocieszyć, byle w płaczu utulić. Widać, że pięcioletniéj Maryni serduszko żywo było zagrzane miłością bliźniego.

A i dziesięcioletni Adaś godzien był swojéj siostrzyczki. Wiele od niéj starszy, większą też możność czynienia dobrego posiadał. Miał wyznaczone piéniądze miesięczne, któremi według woli mógł rozporządzać. Nie widziano, aby je wydał kiedy na niepotrzebne fraszki; ale czyto trzewiki dla jakiéj biednéj siéroty, czy czapkę dla ubogiego starca, czy książeczkę dla wiejskiego chłopczyka, Adaś chętnie kupował, skoro tylko nadszedł dzień odbiérania pensyi. Z serca

też kochali włościanie swego przyszłego dziedzica, powtarzając nieraz: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni; jaka matka, taka córka; jaki ojciec, taki syn.“ A kiedy widzieli w dni świąteczne Adasia i Marynię, klęczących obok rodziców ze złożonemi rękami, ze spuszczoną główką, ze łzą w oczkach, z gorącą na ustach modlitwą, to z rozrzewnieniem obracali dzieci swoje ku nim, aby, jak powiadali, przykład brali z paniątek. Oh! bo też przykład wiele może; z przykładu powstaje moralność, wznosi się oświata, postępują nauki, rozszérza dobro ogólne, gruntuje pobożność, święta pobożność, mająca tak dzielny wpływ na nasze szczęście.

Józefa Prusiecka.

8. Chory Kasperek.

Raz Kasperek był chory, więc zakazali mu, iżby tego dnia nie jadł żadnych owoców. Taki zakaz bardzo był niemiły Kasperkowi, bo nadzwyczaj lubił owoce, ale przyrzekł matce, że ich tego dnia w usta nie weźmie, i postanowił słowa dotrzymać.

Tymczasem ciotka, z drugiego końca wsi, nic nie wiedząc o chorobie Kasperka, przysłała mu półkopy śliwek i gruszek, i wszystko to, kiedy w izbie nikogo nie było, położył cioteczny braciszek przed Kasperkiem. Chory chłopiec mógł wziąć parę gruszek, albo śliwek, i zjeść je po kryjomu, ale dobry chłopczyna obiecał matce, że tego dnia nawet nie skosztuje owocu, nie zjadł więc ani jednéj gruszki, ani śliwki.

Wszyscy, co się dowiedzieli o takim postępku Kasperka, pochwalili go, że był wiernym w dotrzymaniu słowa, a nadewszystko, że źle nie zrobił, choć nikt na niego nie patrzył. Matka znowu prawdziwéj z tego doznała pociechy i wycałowała Kasperka.

Oj! naprawdę, z takiego chłopca będzie zuch człowiek, bo to słowne i wytrwałe i poczciwe.

Lucyna Mieroszewska. 1862 r.

9. Na co się przyda nauka?

W naszéj wiosce nauczycielem w szkółce wiéjskiéj jest stary żołniérz Mateusz Grudka, już człowiek letni, kaléka, bez nogi, chudy, szczupły, że, jak idzie, to zdaje się, iż go wiatr przewróci. Jednak, Bogu dzięki, trzyma się krzepko, a choć do ciężkiéj pracy nie przydatny, to przecie darmo chleba nie zjada, bo, nauczywszy się w wojsku pisania, czytania i rachunków, uczy teraz dzieci i opowiada im różne ciekawe rzeczy, które wyczytał w książkach.

Jednéj niedzieli Mateusz siedział przed szkółką, a gromadka dziatek wiejskich stała tuż przy nim, słuchając z wielką ciekawością tego, co opowiadał. Gdy skończył, rzekł:

— A cóż dzieci, spodobało się wam to, co opowiedziałem?

— Spodobało, bardzo spodobało, — odrzekły dziatki i nuż dziękować Mateuszowi, a prosić o więcéj.

— Dobrze, moje dzieci, — odrzekł stary żołniérz, — opowiem wam jeszcze nie jednę rzecz bardzo ciekawą, ale powiédzcie mi, — i przy tych słowach rzucił okiem ku staréj wierzbie, pod którą siedział Benedykt, młody gospodarz, chłop smagły i silny, jak dąb, ale jakiś ponury, jakby zły, albo zadąsany. Mateusz, dojrzawszy to, pokręcił wąsa i mówił daléj: — powiédzcie mi teraz, jak się wam zdaje, na co się przyda nauka człowiekowi? . . .

— Zeby człowiek wiedział i to i owo, — odrzekł na to Franuś, chłopaczek żywy, jak iskra, a Marysia dodała: — I żebyśmy się tak nauczyli opowiadać różne ciekawości, jak nam opowiada pan Mateusz.

— Ale cóż przyjdzie z tego człowiekowi, że będzie wiedział i to i owo? — zapytał Mateusz.

— Jak się wyuczy, — odrzekł Franuś, — to będzie sobie potém umiał radzić w każdéj rzeczy.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — odpowiedział na to Mateusz, — a ja wam dodam, że nauka robi człowieka lepszym i poczciwszym, uczy go kochać i bać się Boga, szanować wszystkich ludzi, a uciekać od sprośności i wszelkiéj niegodziwości. Jak się więc was kto spyta, na co się nauka przyda człowiekowi, to odpowiadajcie, dwojako się przyda: żeby człowiek poprawił się w swojéj złości i żeby nie znał biédy.

— Albo to prawda, — odezwał się na to Benedykt, siedzący na uboczu, który żadnym sposobem nie chciał przystać na to, żeby syn jego Pawełek chodził z drugiemi dziećmi do szkółki, i dlatego z takim kwasem patrzył na uczące się dziatki i nauczyciela. Mateusz robił mu często wymówki, ale Benedykt nie zważał na to i tylko mruczał pod nosem, a dzieciakowi żadnym sposobem nie chciał dać na naukę pozwolenia. Mateusz więc, zobaczywszy, że uparłego nie przeprze, dał pokój wszelkim namowom; ale, gdy go postrzegł siedzącego niedaleko swéj chałupy, umyślnie rozmowę tak nakierował, aby w niéj pokazać, że naukę należy szanować i ze, jak bez rąk nic człowiek nie może zrobić, tak bez nauki nic nie zrobi dokładnie, tylko zawsze we wszystkiém musi być jakaś wada. Kiedy więc Benedykt rzekł: „Albo to prawda?,“ tak potém powstał z siedzenia i, podszedłszy do Mateusza, dodał z przygryzką: „Nauka to tylko mitręga i niepotrzebne bałamuctwo.“

Dzieci, usłyszawszy to, nic nie odrzekły, tylko spojrzały na Mateusza, a ten dźwignął się z ciężkością z siedzenia, posztykutał się na kuli do izby, wyniósł z niéj dwie laski, któremi czasem uczył dzieci musztry żołnierskiéj, i, pomuskawszy wąsa, rzekł:

— Odsuńcie się dzieci na stronę, a wy, Benedykcie, przysuńcie się i stańcie naprzeciw mnie.

Benedykt mruknął na to, a Mateusz mówił daléj:

— Spojrzyjcie no, Benedykcie, na mnie. Prawda, że wy i ja, to jakby wół i mucha: wy jesteście silni, zdrowi,

31415
Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Biblioteka
Государственная областная им. Горького БИБЛИОТЕКА

młodzi, a ja stary, wyniszczony trudami i kaléka. Stańcież naprzeciw mnie z tą oto laską i przyłóżcie starunku, żebyście mi kijem wymłócili plecy; bo jak tego niezrobicie, to ja wam taki sprawię basarunek, że go długo nie zapomnicie.

— Co! wy mi sprawicie basarunek?—Czy nie dobrze w głowie macie, czy co? Wy taki chuchrak i wiekowy człowiek i na mnie będziecie się porywać? A toć ja was jednym palcem mógłbym zdusić, jak wróbla.

— Dajcie pokój chwaleniu się,—odezwał się Mateusz, a lepiéj spróbujcie przysunąć się do mnie, bo gdy kto chce kogo zdusić, jak wróbla, to go musi wziąść za kark. Weźcie mnie więc, weźcie.

Benedykt, na takie wezwanie, żywo ruszył kilka kroków wprost na Mateusza, ale ten tak zręcznie wywinął laską młynka, że w powietrzu tylko zaszumiało i zawarczało, jakby stado wron i kruków, albo dzikich gęsi, przeleciało powietrzem po nad głowami. Benedykt więc podniósł kij w górę i machnął nim przed sobą, ale w téj saméj chwili Mateusz podbił kij w górę i trzepnął go w lewą rękę przy łokciu, że Benedykt aż syknął z bólu i jak jéndór się zaczerwienił. Dzieci, zobaczywszy to, rozśmiały się cichaczem, bo wiedziały, że ze starszych nie wypada żartować. Benedykt z bólu i ze wstydu, z wielką złością, śmiało postąpił naprzód, zamierzył się i, kiedy chciał z całą siłą palnąć przez ramię Mateusza, tak, że byłby mu pewno kość przetrącił, stary żołniérz wykręcił laską, furknął nią, jak w kołowrotku, i w téj saméj chwili kij Benedykta wyleciał w górę, jak kamyk, aż nad wierzchołek staréj wierzby. Chwycił się Benedykt za rękę z bólu, aż przykucnął, wykrzywił się i zaczął z jękiem wołać, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Oj! ręka, ręka! Aj! daliście mi chleba, dali, pewnoście mi rękę przetrącili. Oj! ręka, ręka....

Na taki ból ludzki, dzieci ogromnie się przeraziły, a dziewczynki nawet chciały płakać, bo się z ludzkiéj biédy

nigdy nie należy naśmiewać, ale prędko się uspokoiły, bo zobaczyły, że Mateusz spokojnie pokręca wąsa i troszkę uśmiécha się, czegoby nie zrobił, gdyby wiedział, że Benedyktowi zrobił jaką na zdrowiu krzywdę. Po chwili przybliżył się do Benedykta i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Nie bójcie się, Benedykcie, nic wam nie będzie, bo widzicie, ja wiém jak uderzyć, żeby z tego nie było jakiego wypadku. Troszkę was poboli, to prawda, ale woda zimna na to poradzi. A wy się z tego przekonajcie, że nauka we wszystkiém człowiekowi jest potrzebną: bo żebyście się byli uczyli tak laską wykręcać, jak ja się uczyłem robić w wojsku pałaszem, to przy waszéj młodości i sile bylibyście mnie starego sponiewierali. Ale, że ja umiem a wy nie umiécie, więc się wam dostało pamiętne, a mnie i włos nie spadł z głowy. Nauczcie się więc z tego, że nauka we wszystkiém człowiekowi jest potrzebną. Człowiek z nauką zawsze i wszędzie umié sobie radzić w każdéj rzeczy; wié, gdzie prawda, a gdzie fałsz; wié, jak robotę prowadzić, żeby było śpiesznie i dobrze i z ulżeniem. Nauka daje człowiekowi poszanowanie między ludźmi, miłość Boga wszechmogącego, duszy ludzkiéj radość i wesele, a ciału zdrowie—bo przez naukę człowiek dopiéro poznaje, co mu jest prawdziwie pożyteczne, a co szkodliwe, co mu przynosi szczęście, a co smutek i nieszczęście. Jeżeli Benedykcie, jeszczeście tego dobrze nie zmiarkowali, na co się nauka przyda człowiekowi, to stańcie jeszcze raz, tylko weźmiemy kije grubsze.....

Benedykt spojrzał na Mateusza jak wilk, natulił czapkę na uszy, bolącą rękę ostrożnie włożył za kamizelę, i, mrucząc, sapiąc i krzywiąc się, jak po jakim wielkim kwasie, poszedł ku domowi. Kiedy już odszedł kawał drogi, Mateusz rozśmiał się i rzekł do dzieci:

— Jak miarkujecie, moje dzieci, czy Benedykt będzie teraz wiedział, na co się nauka przyda człowiekowi?

— Oj! będzie wiedział, będzie wiedział — odrzekły

z wielką wesołością.—Ale nas pan Mateusz nauczy takiego kręcenia kijem? Prosimy, bardzo prosimy!

Mateusz przyrzekł im to zrobić.

Gdy w kilka dni dzieci zeszły się do szkółki, przyszedł także i Pawełek, ów syn Benedykta, któremu żadnym sposobem ojciec nie chciał dać pozwolenia na naukę.

Mateusz, zobaczywszy go, pogłaskał go po główce i buzi i zapytał z łagodnością:

— To tatuś pozwolili ci chodzić na naukę?

— Pozwolili, proszę pana Mateusza, bośmy nijak o to z matusią nie dali tatusiowi spokojności, i dziś, choć z niechęcią, ale rzekli: „A niech ta idzie,“ i przyszedłem.

— A jakże ręka ojca?

— O! okrutnie narzékali, ale już lepiéj tatusiowi, bo wczoraj sam drew narąbali i mówili, że ich nie tak boli.

Mateusz uśmiéchnął się nieznacznie, a dzieci, choć miały ochotę do śmiania się, ale zasznurowały usta, bo wiedziały, że Mateusz nie pozwala i nie łubi tego, kiedy dzieci podczas nauki, bawią się w chichotki, albo broń Boże! naśmiéwają się ze starszych.

Jan Kanty Gregorowicz. 1862 r.

10. Kłamstwo zawsze się wyda.

Przy parkanie, w ogrodzie, rosły śliczne morele i nawet już dojrzéwać zaczynały, kiedy ojciec, ciesząc się ich pięknością, przez ciekawość policzył, wiele ich być mogło. Nazajutrz, przechodząc tąż samą ścieżką, spostrzegł, że na jednéj gałązce przerzadziły się owoce; przeliczył wszystkie morele, brakowało trzech.

Ojciec potrząsnął głową, wiedział już kogo mógł posądzać, bo nieraz synek jego Antoś zrywał owoce pokryjomu. Przyszedłszy jednak do domu, odmienił zdanie; Antoś siedział przy matce, a na zapytanie, którędy chodził do szkoły, ulicą, czy ogrodem, odpowiedział, — że ulicą.

— Nie zerwałeś też czasem trzech moreli? — spytał ojciec.

— Jużem ich od dwóch dni nie widział, — odrzekł śmiało chłopczyk,—bo nié miałem czasu wyjść do ogrodu.

Skończyła się na tém rozmowa; obiad szedł spokojnie, a po obiedzie, ponieważ bardzo było gorąco, Antoś, idąc do szkoły, zdjął sukienny surducik i włożył lżejszy. Matka, wiedząc, że kieszenie studenta częstéj potrzebują naprawy, zaraz po odejściu syna wzięła jego surducik, chcąc się przekonać, czy gdzie nié ma dziury, a, przeglądając go bacznie, w bocznéj kieszeni znalazła trzy świéżo wyjęte morelowe pestki.

Za powrotem Antosia, ojciec spytał go surowo:

— Dla czego kłamałeś? Dla czego, dopuściwszy się łakomstwa, nie przyznałeś się do winy?

Chłopczyk chciał się zapiérać, lecz ojciec i matka rzekli:

— Mamy świadków.

— Świadków? . . . . .

— Tak jest; sięgnij ręką do téj kieszeni.

Antoś zapuścił rękę w surducik i, zapłoniony, wydobył nieszczęsne pestki, które w zapomnieniu sam schował w kieszeń.

— Niech cię to nauczy,—rzekli rodzice — że nietylko przed Bogiem, lecz nawet i przed ludźmi nigdy się prawda nie ukryje, lecz prędzéj, czy późniéj, zawsze się wyda. Staraj się zatém zawsze dobrze czynić, a nigdy nie kłamać.

Paulina Kraków.

11. Kupno na jarmarku.

W pewném miasteczku odbywał się jarmark. Józio i Cesia prosili rodziców, aby im pozwolili jechać tam z ciocią, bo sobie za uzbiérane piéniądze chcieli nakupić zabawek i przypatrzyć się zgromadzeniu tylu ludzi. Otrzymawszy pozwolenie i przeliczywszy swoje piéniądze, wyjechały uszczęśliwione dzieci. Cóż to za radość, gdy stanęli

w miasteczku! Ludzi—pełno, kramów—mnóstwo, a w nich takie śliczne rzeczy.

Józio prędki, żywy, co tylko zobaczył, to chciał kupować; tu mu się podobał konik skórzany, tu — blaszany pałasik, tu—trąbka w ślimak skręcona. Kupował jedno po drugiém, póki mu piéniędzy starczyło, a, gdy już nic nie było w woreczku, nie chcąc daléj patrzéć na to, czego miéć nie mógł, rzekł do siostry:

— No! śpiesz się, Cesiu, ze swemi sprawunkami, bo to już czas do domu.

— Zaraz, zaraz, — odrzekła Cesia; widzisz, kupiłam już grzebień dla Marysi, wstążkę do czépka dla Tomaszowéj i grzechotkę dla jéj chłopczyka, boć i im trzeba przywiéźć gościniec z jarmarku... ale jeszcze nic nié mam dla siebie. Poradźże mi Józiu, co mam kupić; czy laleczkę, czy gospodarstwo, czy jeszcze co innego.

— Kup lalkę; zrobisz jéj amazonkę, ja jéj czasem pożyczę konika; zobaczysz, jak ślicznie jeździć będzie....

Kiedy tak rozmawiali, mały chłopczyna, ubogo ubrany, przeciskał się przez natłok; aż tu wieśniak jakiś, obracając się nagle, wytrącił mu łokciem flaszeczkę, którą niósł w ręku. Głośno i rzewnie zapłakał chłopczyna, a załamując ręce wyrzekał głośno.

Obstąpili go ludzie, wypytując ciekawie, coby za szkodę poniósł.

— O! wielką, wielką! niosłem flaszkę z lékarstwem dla biednéj matki mojéj i ta się stłukła.

— No! cóż robić, — mówili ludzie, to idź do aptekarza, niech ci da drugą.

— A za cóż? piéniędzy nié mam.

— Wróć po nie do domu.

— Milę drogi, mój Boże! kiedyż to będzie! a doktór tak się śpieszyć kazał i.... — dodał ciszéj, — któż wié, czy tam w domu są jeszcze piéniądze na drugą flaszkę!

Cesia słuchała wszystkiego w milczeniu; teraz zbliżywszy się do chłopczyka rzekła:

— Wieleż to lékarstwo kosztowało?

— Trzy złote i groszy dwadzieścia, panienko — odpowiedział chłopiec.

— Cesia sięgnęła do woreczka, odliczyła pieniądze i, wsunąwszy je w rękę biédaka, zawróciła się ku kramom, by nie słyszéć, jak jéj dziękował. Za resztę piéniędzy kupiła sobie igieł i paczkę pierników—i, wesoła, szczęśliwa, wróciła do ciotki.

Za przybyciem do domu, Józio porozstawiał zabawki swoje na stole, a matka, oglądając każdą, pytała o cenę i wkońcu rzekła:

— Znać, żeś prędki: o połowę przepłaciłeś wszystko. A Cesia?

Dziewczynka pokazała swoje małe sprawunki, a matka dziwiła się, że tak tanio kupić je umiała.

Ale,—rzekła,—cóż kupiłaś dla siebie? Czy nic więcéj nad te pierniczki.

Cesia spuściła oczy i zarumieniła się, ale Józio zawołał:

— O! kupiła jeszcze flaszkę lékarstwa.

— Cóż to znaczy?

Tu Józio opowiedział wszystko, a matka, z rozczuleniem całując dziewczynkę, rzekła:

— Tak czyń zawsze, Celino, bo zabawka przeminie, ale błogosławieństwo Boskie i ludzkie na całe życie zostanie, a to tylko dobremi czyny kupić sobie można.

Paulina Kraków.

12. Miło jest wspiérać ubogich.

W połowie Września, pewnego dnia po obiedzie, gdy bardzo piękna była pogoda, pan Przygodzki i Maurycy, syn jego, udali się na przechadzkę. Wyszedłszy z Krakowa, (mieszkali bowiem w tém mieście), uszli blizko pół mili,

rozmawiając o rozmaitych rzeczach, i dostali się na wzgórze, okryte piękną murawą i owocowemi drzewami. Z tego miejsca widzieli i wspaniałą Wisłę i piękne okolice Krakowa. Z żalem usłyszał Maurycy, gdy ojciec powiedział, że czas powracać do domu.

Nagle zebrały się chmury i dészcz rzęsity padać zaczął.—„Cóż poczniemy, ojcze,“ rzekł Maurycy—„nigdzie domu nie widać.“ — „To prawda,“ odpowiedział pan Przygodzki, „i trzeba pośpieszać, bo nie zadługo się zmiérzchnie.“

Maurycy, trzymając się ojca za rękę, przez czas niejaki znosił cierpliwie nawałnicę, ale, nienazwyczajony do niewygód powietrza i nie mając żadnego wyobrażenia, ile cierpią nieszczęśliwi, pozbawieni przytułku, płakać zaczął, jak gdyby go największe zle spotkało.

„Smuci mię to,“ rzekł pan Przygodzki, „że nie możesz znieść odważnie tak małéj przykrości. Wiesz, że, kiedy powrócimy do domu, rozgrzejesz się przy kominie i odmienisz suknie. Porównaj swój stan ze stanem drugich. Wieleż to ludzi musi pracować pod gołém niebem, na dészczu i zimnie, a nie mają wygodnego i ciepłego łóżka, gdzieby spocząć mogli. Nikt nie poradzi sobie płaczem i narzékaniem; trzeba cierpliwie znosić przykrości, a razem starać się, aby ich unikać.“

Tak mówiąc, weszli do biédnéj chaty, na pół rozwalonéj. Zapukali—i otworzyło im dziecię, w tych samych latach co i Maurycy, ale jego ubranie oznaczało niezmierną nędzę. „Czy pozwolicie nam,“ rzekł pan Przygodzki, „abyśmy u was na kilka chwil schronili się przed dészczem?“— „Och! wejdźcie, wejdźcie, proszę,“ odpowiedziało dziecię. Weszli więc do izby—i zobaczyli w niéj nędzne łóżko, okryte łachmanami, i stół prosty. Na łóżku leżał człowiek, jak się zdawało, bardzo chory; dzieci, w brudnych koszulach, bawiły się na podłodze, a kobiéta, już niemłoda, gotowała kartofle. Ukłoniła się panu Przygodzkiemu i rzekła, iż

bardzo żałuje, że nié ma stołków, ale, jeżeli zechcą, mogą usiąść na stole.

„Wielka jest tu u was biéda, moja gospodyni,“ rzekł do niéj pan Przygodzki.

„Ach! nieszczęśliwi ludzie jesteśmy, wielmożny panie,“ odpowiedziała kobiéta. „Mąż mój jest wyrobnikiem i ciężko pracuje na wyżywienie nasze. Od kwartału zachorował na piersi; wyprzedaliśmy się ze wszystkiego i przyjdzie nam z głodu umrzéć. Ale, paniczu,“ rzekła do Maurycego, „przemokłeś i drżysz od zimna, przysuń się do komina. Antosiu, przyrzuć gałązek na ogień.“

Ponieważ dészcz padał ciągle, pan Przygodzki posłał najstarszego chłopaka do miasta po swój powóz. Gdy czekał na jego przyjazd, biédny wyrobnik chciał usiąść na łóżku; z jego wybladłéj i wynędzniałéj twarzy widać było, jak wiele cierpi. Boleśnie spojrzał na swoje dzieci, łzy puściły mu się z oczu i padł znowu na łóżko. Pan Przygodzki, ulitowawszy się nad jego nieszczęściem, wyjął z kieszeni dziesięć złotych, gdyż więcéj nié miał przy sobie, i dał je biednéj kobiécie, mówiąc, że nazajutrz powróci i zobaczy, czy jéj nie będzie mógł dopomódz. Podziękowała mu jak najmocniéj za jego łaskę i mówiła, że już oddawna nie miała razem tyle piéniędzy. „Moje kochane dzieci!“ zawołała z płaczem, „dostaniecie chleba.“

Zajechał powóz, a pan Przygodzki rzekł do syna, gdy powracali do miasta: „A cóż Maurycy, któż jest nieszczęśliwszy? Czyli ty, że zmokłeś i zziąbłeś, czyli ci biédni ludzie, pozbawieni wszystkiego?“

Maurycy zawstydził się, ale odpowiedział natychmiast: „Oczywiście, że ci ludzie, mój ojcze.“

„Pamiętajże więc, mój synu, aby cię najmniejsza dolegliwość nie gniéwała i nie smuciła; myśl nie tylko o sobie, ale i o drugich. Pogardzamy takim człowiekiem, który nie jest panem siebie, a ten, kto nié ma litości dla bliźniego, pozbawia się najmilszéj rozkoszy. Cóż może być mil-

szém dla człowieka, jak to, kiedy udzieli posiłku zgłodniałym, zapewni przytułek tym, którzy go nié mają, przyniesie wsparcie i lékarstwo chorym, leżącym na barłogu?“

Poznał Maurycy, że ojciec jego prawdę mówi. Nazajutrz wstał bardzo rano, a ubrawszy się, pobiegł do owéj chatki. Całą rodzinę zastał w innym zupełnie stanie. Dzieci jadły chléb z mlékiem, ojciec zaś, siedząc na łóżku, pił rosół. Maurycy wyjął z kieszeni sześć dukatów i podał je kobiécie, mówiąc, aby użyła tych piéniędzy na wyléczenie swojego męża. Dukaty te przez rok cały zbiérał sobie Maury z tego, co dostawał w podarunku od rodziców i krewnych. Chciał był, uzbiérawszy sobie drugie tyle, kupić piękny zégarek. Wyrobnik, na widok tak niespodziewanego skarbu, podniósł oczy do nieba i modlił się w milczeniu, a dzieci, otoczywszy Maurycego, całowały go w ręce.

W téj chwili pan Przygodzki wszedł do chaty. Z radosnéj twarzy swojego syna dorozumiał się jego postępku. Uściskał go i ucałował, a Maurycy nigdy nie był tak szczęśliwym. Aż dotąd skąpił był piéniędzy dla biédnych, a rozrzucał je na fraszki; ale, gdy zobaczył, że wyrobnik przyszedł do zdrowia, że dzieci i żona jego opatrzyły się we wszystko, czego im na zimę było potrzeba, poznał wtenczas, że dobroczynność największą przynosi nam rozkosz.

Od téj chwili zmienił zupełnie swoje postępowanie; nie był to już ten chłopiec, który tylko myślał o sobie samym, ale zważał na nieszczęścia drugich i starał się przynieść im ulgę; a, kiedy już doszedł wieku dojrzałego, nie zapomniał nigdy o téj chwili, kiedy piérwszy raz wszedł do chatki nędzarza, i dziękował Opatrzności, że mu dała poznać, jak okropną jest nędza i opuszczenie od wszystkich.

Frań. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

13. Mały samolub.

— Dla czego, Edwardzie, nie dałeś młodszemu bratu piłki, o którą cię prosił?—zapytała się matka swego syna Edwarda.

— Bo to moja,—odpowiedział chłopiec,—a spojrzawszy w ziemię, zamilkł.

— Ty, widzę, nigdy nie poprawisz się, — odpowiedziała matka. I cóż znaczy, że to jest twoja piłka? Wszakże Antoś wczoraj pożyczył ci swoich maleńkich kręgli—i niemi bawiłeś się przez rekreacyję? Jak to brzydko być takim nieużytym! Powtarzałam ci tyle razy, że, jeżeli chcesz, żeby drudzy byli dla ciebie usłużni, żeby ci pozwalali bawić się z sobą, powinieneś i ty dla nich być usłużnym i uprzejmym. Zobaczysz, że ci to bardzo wiele przykrości narobi.

To powiedziawszy, odeszła matka Edwarda, a on sam został.

— Co mi tam! — pomyślał sobie, — albo to ja sam nie potrafię grać w piłkę? — Rzucał ją więc i łapał, ale po niejakim czasie znudziła go samotna zabawa.

— Pójdź, Antosiu! — zawołał na brata, — baw się ze mną.

— Baw się sam, — odpowiedział Antoś, — ja pójdę pokazać siostrze obrazki, które dostałem od papy.

— Dostałeś!—rzekł Edward,—pokażże mi je, pokaż

— To są moje,—odpowiedział Antoś, — nie chciałeś mi dać piłki, nie zobaczysz obrazków . . . . . A co, czyli ci miło?—rzekł, uśmiéchając się, ale z jego oczu widać było, że dobry Antoś żartuje tylko i że nie chce bratu swemu złem za złe odpłacić—i gdyby go był Edward raz jeszcze poprosił, natychmiast byłaby nastąpiła zgoda pomiędzy niemi.

Ale Edward nietylko był nieużytym, lecz i upartym jeszcze. Rozgniéwał się, wyszedł z pokoju i cały czas chodził sam po ogrodzie, nie kontent ani z siebie, ani z drugich. Jednakże nie poprawiło go to jeszcze. Im był starszy, tém bardziéj wzrastał w nim ten niedobry nałóg. Rodzice oddali go do szkół publiczuych, razem z Antosiem. Antoś, grzeczny i przyjacielski, każdemu pragnął dopomagać, w czém tylko mógł: powtarzał lekcyje z tymi, którzy ich dobrze nie umieli, a ponieważ uczył się pilnie i był piérw-

szym w swojéj klasie, nieraz wstawiał się za tymi, którzy co przewinili, i wyprosił od naznaczonéj kary. Kochali go téż wszyscy uczniowie.

Przeciwnie, nikt nie lubił Edwarda, a jeżeli go cierpieli w towarzystwie, to tylko przez wzgląd na młodszego brata. Ale nareszcie znudzeni jego samolubstwem, spółuczniowie zmówili się przeciw niemu, aby go należycie za to umartwić.

Na wiosnę, w święto, gdy była piękna pogoda, poszły wszystkie dzieci na cały dzień na rekreacyją ze swoim nauczycielem. Umówiono się, że wyjdą bardzo rano; że każdy uczeń przyniesie co z domu do jedzenia; że będą zbiérać kwiaty i owady w poblizkim lasku; że potém każą sobie dać mléka, masła, chleba wiejskiego, złożą razem swoje małe zapasy, a po takim prostym obiedzie, w różne gry bawić się będą aż do wieczora.

Edward lubił także biegać i bawić się w gry rozmaite. Nie uważał zrazu na to, że, gdy szli na miejsce, które było celem ich przechadzki, wszyscy uczniowie stronili od niego, szeptali między sobą i żaden do niego nie zagadał ani słowa. Ale, gdy już przyszli do lasku, odezwał się jeden z nich, który po Antosiu nalepiéj uczył się w klasie, że kiedy Edward przez rok cały nie chciał ani powtarzać lekcyj z niemi razem, ani téż żadnemu z nich w niczém dopomódz, bawić się teraz z nim nie będą; że wolno mu było pójść na przechadzkę razem z drugimi, ale może sobie teraz sam chodzić po gaju, sam w swoję piłkę grać i sam zjeść to, co przyniósł z sobą.

Zdziwił się nauczyciel, usłyszawszy to niespodziéwane oświadczenie, ale, sądząc, że ten przypadek może poprawić Edwarda, rzekł, że dziś na rekreacyi wolno jest dzieciom bawić się, jak zechcą, on zaś tego tylko doglądać będzie, ażeby sobie nic złego nie zrobiły — a więc, chociaż żałuje Edwarda, nie może nakazać dzieciom, aby go do swoich zabaw przypuściły. Zmięszał się Edward i zawstydził; zaczął płakać, przepraszać swoich spółuczniów, ale wszystko to nic nie pomogło.

— Baw się sam: masz swoję piłkę, swój obiad, — powtarzały dzieci. Odmówiłeś nam tyle razy; przyszła teraz koléj i na nas.

Napróżno dobry Antoś wstawiał się za bratem, a widząc, że ich nakłonić nie może, rzekł:

— Kiedy tak, to i ja zostanę się przy bracie; nie porzucę go samego.

Na takie słowa Antosia, dzieci zaczęły się wahać i już byłyby przypuściły Edwarda do swojego towarzystwa, byleby tylko ich ulubiony Antoś bawił się z niemi, ale nauczyciel odezwał się, iż każdy powinien to otrzymać na co zasłużył, i kazał Antosiowi, aby poszedł z drugimi, a zostawił brata.

Z żalem usłuchał Antoś tego rozkazu. Oddaliły się dzieci z wesołemi okrzykami, a biédny Edward został się sam pod drzewem, przejęty i wstydem i żalem. Byłby chętnie powrócił do domu, ale nie śmiał, bał się i nie wiedział, co powié rodzicom, gdy się go o przyczynę zapytają. Zaczął zatém rozmyślać nad postępowaniem swojém: poznał, jak to nie dobrze być nieużytym i samolubem, jak potrzeba zarabiać sobie na przyjaźń drugich. Ze łzami zjadł swój posiłek i postanowił inaczéj na przyszłość postępować. Pokuta jego prędzéj skończyła się, aniżeli miał nadzieję. Po obiedzie, spółuczniowie, przebłagani prośbami Antosia, powrócili do Edwarda, podali mu rękę, uściskali go; on wzajemnie przyrzekł im, że inaczéj postępować będzie, a tak reszta rekreacyi zakończyła się w powszechnéj wesołości i zgodzie.

Odtąd Eward starał się tyle sobie zobowiązywać wszystkich, ile dawniéj o nikogo nie dbał. Wszyscy go téż polubili i sam poznał, że człowiek nie może być szczęśliwym, jeżeli się nie stara o życzliwość i przyjaźń drugich.

Franc. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

14. Imieniny Basi.

Czwartego Grudnia, w dzień świętéj Barbary, większy był ruch w domu pani P*, bo to były imieniny najstarszéj córeczki, dobréj, pilnéj, potulnéj Basi. Zaledwie otworzyła oczy i wzniosła je do nieba, by podziękować Bogu, że ją przez noc od przypadku uchronił, ujrzała na ścianie złoty krzyżyk, z takimże łańcuszkiem; był to dar ojca. Od matki dostała salopkę z futerkiem i pudełko rozmaitych zabawek. Siostra za swoje piéniądze kupiła dla Basi lalkę, a braciszek podarował jéj kanarka w klatce. Nawet służące, winszując Basi imienin, złożyły jéj bukiet z białych, żółtych i lilijowych nieśmiertelników, wśród których umieściły śliczną miesięczną różę, starannie w doniczce wypielęgnowaną. Po śniadaniu Basia poszła z matką do kościoła, pomodliła się i, wróciwszy do domu, zastała kilka powinszowań od małych swoich przyjaciółek.

Rodzice Basi pozwolili jéj zaprosić kilkoro dzieci na wieczór; kupiono ciast, gruszek, jabłek; wujaszek przyniósł paczkę cukierków, a stryjaszek, który zapomniał był o imieninach Basi, dał jéj pięć złotych, mówiąc:

— Każże za to kupić Hiszpańskich winogron, będziesz miała na wety dla swoich gości.

Przyjęła piéniądze Basia, lecz nie posłała po winne grona, tylko po obiedzie spytała matki:

— Wszak te piéniądze już są moją własnością?

— Tak, moje dziécię.

— Mogę z niemi zrobić, co mi się podoba?

— Możesz.

— Pozwól mi więc, mamuniu, wyprawić za nie podwieczorek dla biédnych dziatek z ochrony.

Matka chętnie zezwoliła na żądanie Basi, a dziewczynka zajęła się szczérze wykonaniem pięknego zamiaru. Kazała kupić mléka, i kosz białych bułeczek, ubrała się ciepło i poszła do ochrony małych dziatek, ze starą służącą. Dziateczki siedziały jeszcze na ławkach, lecz, że już się wieczór

zbliżał, dziewczynki składały swoje robótki, chłopczyki zawieszali na ścianie tablice, a nauczyciel, stojąc na środku sali, patrzał na nich z zajęciem i obmyślał nowe zatrudnienie, bo w ochronie dzieci ani na chwilę nie są bez zajęcia.

Gdy Basia weszła, powitały ją wszystkie uprzejmie; kilkoro z nich powiedziało ładne bajeczki, a, kiedy Basia własną reką rozdzielała mléko i bułeczki, dzieci smacznie je zajadały, bez łakomstwa i pośpiechu, a nawet niejedno połowę swojéj bułki dla matki, lub ojca, w kieszonkę schowało.

Po podwieczorku, podziękowały Basi i odmówiły wieczorną modlitwę, a dziewczynka, szczęśliwa i wesoła, wróciła do domu, bawiła się ochoczo przez cały wieczór z zaproszonemi gośćmi, ale, idąc spać i dziękując matce za przyjemności, których z jéj łaski w ciągu całego dnia doznała, rzekła:

— Najmilszą jednak była mi godzina, w ochronie spędzona, i tę najdłużéj pamiętać będę.

Paulina Kraków.

15. Balik dziecinny.

Już zimny Luty dochodził do połowy; już za tydzień skończyć się miały zapusty; bieliły się zdaleka rogi Warszawskich ulic, okryte uwiadomieniami o widowiskach i balach; toczyły się pojazdy, snuły się tłumnie sanki; sklepy były pełne kupujących. Wszystko było w ruchu; prawie o niczém nie mówiono, tylko o tańcach i strojach.

Dzieci pani Niesińskiéj jeszcze na żadnym baliku nie były; obiecała im wprwdzie matka, że przed ostatkami wytańczą się raz dowoli; wyglądały więc z niecierpliwością spełnienia téj obietnicy. Dzieci te bardzo były grzeczne; uczyły się dobrze, słuchały starszych i nie kłóciły się nigdy. Było ich troje: Władyś, Helenka i Cesia. Władyś skończył rok dziesiąty. Chociaż przewyższał siostry i siłą i wiekiem,

nigdy im nie dokuczał, nigdy się im nie sprzeciwiał. Kochały go też obie serdecznie i wszelkiemi sposobami starały się okazać, że go kochają. Gdy Władyś dostał piéniędzy od matki, mógł osobno miédź, osobno srébro chować, bo każda z sióstr sliczny mu podarowała woreczek. Władyś miał swój własny pokoik. Żywy, roztrzepany, często poszedł ze starym Jakubem do szkoły, a wszystkie swoje rzeczy, książki, papiery, porozrzucanemi zostawił. Łajała go surowo matka, skoro podobną niedbałość ujrzała. Spostrzegły to wkrótce dziewczynki: chodziły więc cichuteńko do brata pokoju, gdy wyszedł, i układały starannie wszystko, co zostawił w nieporządku. Władyś ze swéj strony umiał być wdzięcznym. Jak już mówiłam, nie dokuczał siostrom nigdy, różne gry im wymyślał, ustępował w zabawach, robił im często kanapki, stoliczki dla lalek, nauczył się nawet pléść koszyki, i raz, w sekrecie, na imieniny Helenki, zrobił dla dziecka jéj lalki prześliczną kolébkę.

Cieszyła matkę zgoda, w któréj żyły jéj dzieci; każdy nowy dowód ich wzajemnéj miłości radował ją więcéj, niż nowe ich postępy w naukach, bo każda dobra matka cnoty swoich dziatek nad ich umiejętność przekłada i każde dziécię wiedzieć powinno, iż lepiéj daleko być dobrym, niż uczonym nawet.

Przyszła nakoniec pora, w któréj pani Niesińska dotrzymać mogła dawnéj obietnicy swojéj. Właśnie w Tłustą Środę oświadczyła dzieciom, iż będą nazajutrz u babuni na małym baliku. Miało tam być wiele dziewczynek i chłopczyków, a, jak to zwyczajnie u babuni bywa, łakotek jeszcze więcej: kawa, herbata, pączki, cukierki, ciasta różne. Pani Niesińska umyślnie na ten balik sprawiła dzieciom nowe ubiory. Władyś miał miéć śliczne ubranie granatowe z srébrnemi guzikami, a dziewczynki—białe muszlinowe sukienki, różowemi wstążkami obszywane. Szewc przyniósł im różowe atłasowe trzewiczki. Władyś i jego siostry tak były kontente, tak wesołe, że zdawało się, iż im nic nie braknie

do zupełnego szczęścia. Ledwie o dziesiątéj godzinie spać się położyły i całą noc śniły im się mazurki, walce, pączki i nowe sukienki. Obudziły się dziewczynki raniéj, niż zazwyczaj; wstały natychmiast i cieszyły się, że pierwszy raz w życiu zawstydzą brata wcześniejszem wstaniem. Zmówiły paciérz, a Władysia jeszcze widać nie było. Chciały matce powiedzieć dzień dobry, ale nie zastały jéj w sypialnym pokoju. Zdziwione, pytają się, dokądby tak rano poszła? Powiadają im, że poszła do Władzia. Biegną prędko do jego pokoiku; otwiérają drzwi: stary Jakub kiwa na nie, żeby się sprawiały cicho; spojrzą na łóżko Władysia, a on leży cierpiący i matka głowę chustką mu wiąże. Skoro je zobaczył, rzekł im słabym głosem: Dzień dobry wam, kochane siostry; dobrze przynajmniéj, żeście wy zdrowe; pojedziecie na bal i wytańczycie się za mnie. Ja nie będę. Całą noc miałem gorączkę; Jakub powiada, żem nawet majaczył; a teraz czuję mocne pragnienie i ból głowy niesłychany.“

Twarze obudwóch dziewczynek odmieniały się przez ten czas po kilka razy: to były blade, to rumiane; widać w nich było wielkie wzruszenie. Nareszcie spojrzały na siebie i razem te słowa wyrzekły: „Nie, my nie chcemy być na balu, kiedy ty nie będziesz; tyś chory, jakżebyśmy tańwać mogły? Zostaniemy z tobą w domu.“ Władyś nie chciał przyjąć tego dowodu przywiązania. Matka, w duszy uradowana, namawiała dziewczynki, żeby pojechały na bal. „Już posyłałam po lekarza,“ powiedziała im, „bom się bała, czy to nie jaka szkodliwa gorączka; był przed chwilą u Władysia, zaręczył, że mu nic nie będzie; kazał tylko, żeby się ciepło trzymał i nie jadł wiele.“ Dobre siostry nie dały się nakłonić. Poświęciły z ochotą bratu: i ukontentowanie ubrania się w nowe sukienki i nadzieję tańców, zabawy i przysmaczków. Uszczęśliwiły tém matkę, uradowały Władysia. Uściskała je pani Niesińska serdecznie, pochwaliła przywiązanie do brata i dodała, że wszyscy

kochać je będą, jeżeli się przyzwyczają zmłodu myśléć piérwéj o przyjemności drugich, niżeli o własnéj.

Ponieważ to się działo w Tłusty Czwartek i Władyś był słaby, nie miały dziewczynki żadnych lekcyj. Przepędziły więc ranek i dzień cały w pokoiku brata, starały się go zabawić, opowiadały mu różne historyjki, powieści i bajki, a wdzięczny Władyś ściskał siostry za ręce i dziękował im serdecznie. Wieczorem pani Niesińska musiała pojechać na bal, oznajmić babuni, dla czego wnuki u niéj nie będą. Gdy przyszła żegnać się z dziećmi, jak ją zobaczyły dziewczynki pięknie ubraną, westchnęły, ale wtém spojrzały na uśmiéchającego się do nich Władysia i wnet zapomniały żalu.

Cały wieczór zeszedł im nad wyraz przyjemnie. Helenka i Cesia więcéj doznawały ukontentowania, niż gdyby były na największym balu, bo w sercu słodką czuły radość, a w oczach brata najwyższą widziały wdzięczność. Władysia jeszcze głowa bolała, ale nie śmiał narzékać, żeby sióstr nie martwić; słuchał ich opowiadań, starał się bawić i zapominał często o swojém cierpieniu.

Pani Niesińska niebawnie wróciła. Opowiedziawszy gościom, jakie dobre miała dzieci, tęsknić do nich zaczęła. Przywiozła dziewczynkom ciasteczek i cukierków, które babunia dla nich dała; zjadły wszystko, gdy od brata odeszły, bo jemu lekarz zakazał podobnych łakotek. Parę dni słaby był jeszcze Władyś; siostry ciągle go pilnowały, dopóki zupełnie nie wyzdrowiał.

Postępek Helenki i Cesi tak się ich babuni podobał, że im oznajmiła, iż w Ostatni Wtorek da umyślnie osobny dla nich balik, świetniejszy od piérwszego. Nadszedł ten dzień pożądany. Władyś był zdrów; Helenka i Cesia, ubrane w owe ładne sukienki i trzewiczki, tańcowały bardzo wiele. Niektóre matki, uwiadomione o ich dobrém sercu, pokazywały je swoim córkom, a Władyś chodził do wszystkich chłopczyków, swoich znajomych, chwalił się przed niemi i mówił im: „Może wy nie wiécie, jakie ja mam dobre

siostry?“ Słysząc to, rumieniły się obie i mówiły do siebie: „Nie zasłużyłyśmy na tyle pochwał; każdy na naszém miejscu to samo byłby uczynił.“

Tańczyli wszyscy ochoczo, a Władyś bardzo mało. Niezmiernie był zajęty: biegał, wychodził co moment; dopytywał się bezustannie babuni, kiedy będzie kolacyja, a gdy dano znać, że już na stole, przerwał niedawno zaczętego mazurka i śpiesznie siostry do sali jadalnéj zaprowadził. Zobaczyły stół, okryty różnemi przysmaczkami, a w środku wielką piramidę z przezroczystego papiéru. Ponieważ była dobrze oświetlona wewnątrz, każdy mógł przeczytać te słowa na trzech jéj stronach: „Dobrym siostrom, wdzięczny Władyś.“ Na ten widok obie rzuciły się na szyję bratu; zgadły odrazu, że to było jego pomysłem. W saméj rzeczy, Władyś skoro wyzdrowiał, zaraz nad tą piramidą pracować zaczął; sam ją skleił i napis położył, bo chciał się wywdzięczyć siostrom. Kto tylko na balu był obecny, lub posłyszał o przywiązaniu sióstr i o wdzięczności brata, nie mógł się ich odchwalić. Wszystkie przytomne dzieci przekonały się, że pięknie być dobrym, bo każdy dobry postępek dwoiście jest nagrodzony: przez własne ukontentowanie i przez wdzięczność i pochwały drugich.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

16. Nie suknia nas zdobi.

Źle to z ubioru jest sądzić, moje dzieci, bo dawne niesie przysłowie: „Nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię.“ Marcinek nieraz o tém słyszał, a jednak trudno mu się było o téj prawdzie przekonać. Zawsze rozmawiał niechętnie, a nawet niegrzecznie z temi, co skromne suknie nosili. „Ja poznam każdego, czém jest, abym tylko spojrzał na niego,“ mawiał do swoich kolegów — a chociaż nieraz mu odpowiedziano, że może się pomylić, nie chciał temu wierzyć. Jednakże miał on jednę zaletę: uczył się dobrze i bardzo cenił ludzi, którzy mieli naukę. Razu jednego przed połu-

dniem siedział przy lekcyi, kiedy usłyszał, że ktoś zadzwonił. Służącego nie było w pokoju i Marcinek sam drzwi otworzył. Młody jakiś człowiek, strojnie ubrany, wszedł do przedpokoju, ukłonił się zręcznie i zapytał: „Czy jest pan B* w domu?“ „Nié ma taty,“ odpowiedział Marcinek, „ale niech pan dobrodziéj zatrzyma się w salonie.“ I powiedziawszy to, wprowadził go do salonu, prosząc koniecznie, aby usiadł na kanapie. W téj chwili znów ktoś zadzwonił. Marcinek otworzył: wszedł jakiś człowiek średniego wieku, miléj twarzy, ale suknia jego nie była piękna: miał surdut długi, z ciemno szaraczkowego sukna.

— Czy jest pan B*? — zapytał się, zamykając drzwi za sobą.

— Nié ma.

— A kiedy powróci?

— Nie wiem... a jaki pan ma interes?

— Chciałem się z nim widzieć.

— To niech się pan tu zatrzyma.— I Marcinek wskazał miejsce na szlabanie pod oknem.

Nieznajomy uśmiéchnął się, skłonił i już wychodził, kiedy na progu zobaczył pana B*.

— A! jak się masz, jak się masz?—zawołali obadwaj i zaczęli się serdecznie całować. Marcinek stanął w osłupieniu.

— Kiedyżeś powrócił, jak dawno tu jesteś?—mówił uradowany pan B*. — Marcinku, — zawołał, —ucałuj ręce tego pana; on dla mnie tak wiele uczynił dobrego, kiedy byłem w potrzebie.

Marcinek, nie śmiejąc oczu podnieść, zbliżył się do nieznajomego, a nieznajomy nawzajem czule uścisnął chłopczyka.

— O! teraz będziesz się cieszyć, Marcinku, bo ten pan jestto profesor nauk przyrodzonych; był kilka lat za granicą; powraca znowu do kraju, może nas wiele rzeczy nauczyć.

Marcinek ciągle był zmięszany, a chcąc przyjść do siebie, powiedział: „A jeszcze tam tatko masz jednego gościa.“ Pan B* wszedł do salonu, spojrzał na młodego człowieka i zapytał: „Co mi powiész Jakubie?

„Mój kolektor mię przysłał, żeby panu przypomnieć wykupienie biletu, bo jutro ciągnienie loteryi.“

Marcinek nanowo został zdziwiony; zarówno żałował swojéj niegrzeczności dla profesora i przyjaciela ojca, jak zbytniéj grzeczności dla komisanta kolektora. Przyznał się ojcu do błędu, który popełnił, i odtąd, nie uważając na suknie, dla każdego był wmiarę grzecznym i uprzejmym.

Józefa Prusiecka. 1861.

17. Lékarstwa domowe.

Rodzice Henryka byli bardzo bogaci; skupowali mu i dawali wszystko, czego zażądał, dogadzali najmniejszemu jego kaprysowi, słowem, pieścili go i psuli pod każdym względem. Ale zbyt wcześnie Bóg zabrał ich do siebie, a młody siérota pojechał na wieś, do swego stryja, który objął nad nim opiekę.

Z początku Henryś nie mógł się przyzwyczaić do wiejskiego życia. U rodziców rzadko się czém zajmował: dzień po dniu upływał mu na zabawie, lub próżnowaniu; tu zaś większą połowę dnia musiał się uczyć, a dopiéro nad wieczorem wolno mu było się bawić. W mieście jadał najwyszukańsze potrawy, kładł się spać późno, niewcześnie wstawał; na wsi musiał nawykać do pokarmów prostych, kłaść się spać najpóźniéj o dziewiątéj, wstawać prawie ze wschodem słońca.

Jednakże, choć mu się ten rodzaj życia przykrzył, choć z początku nie mógł się z nim oswoić, powoli zaczął do niego nawykać i pojmować zbawienne skutki pracy i umiarkowania. Henryś w domu rodziców był zawsze blady, cierpiący; nie było tygodnia, aby mu doktór nie przepisał jakiego lékarstwa; tymczasem na wsi zdrowie jego zupełnie się polepszyło, nabrał mocy, jak młody dąb, policzki zakwitły

mu rumieńcem, jak listki świéżéj róży, i ani razu nie trzeba było wzywać pomocy lekarza. Dlatego też Henryś często powtarzał:

„Wujaszek ma wielką słuszność, mówiąc, że domowe lékarstwa, to jest praca, świéże powietrze i wstrzemięźliwe życie, są najskuteczniejszemi środkami do zachowania zdrowia i dobrego humoru.“

Gdy z gnuśności ciało chore,
Nie pomogą sztuczne leki;
Pracuj w porę, spocznij w porę,
A nie zajrzysz do apteki.

Jan Chęciński. 1865 r.

18. Ofiara Romanka.

Już Romankowi kończyło się lat dwanaście; ojciec uznał konieczną potrzebę oddania go do szkół i, po długich zabiegach, dostał od rektora konwinktu księży Pijarów w Warszawie obietnicę, że do grona uczniów przyjętym będzie. Romanek, przyzwyczajony do słodyczy rodzicielskiego domu, kochany od matki i ojca, pieszczony od babuni, nie smakując bardzo w nauce, drżał na samo wspomnienie szkoły. Rodzice i babunia pocieszali go, jak mogli; powtarzali mu często, że u księży Pijarów prawie tak dobrze, jak w domu; że młodemu koniecznie uczyć się trzeba; chłopiec bał się jednak i żadnéj nie miał ochoty, a prośbami swemi, jak mógł, tak dzień wyjazdu odwlekał. Aliści, w piérwszych dniach Września, odbiéra ojciec jego list od księdza rektora, w którym mu ten oznajmia, iż mając do konwinktu wielu kandydatów, jedynie do pewnego dnia czekać na jego syna może, a, jeżeli na dzień naznaczony nie przyjedzie, miejsce jemu obiecane, z żalem komu innemu dać będzie musiał. Ojciec natychmiast wszystko do podróży przygotować kazał i chciał sam odwiéźć syna do Warszawy. Romanek, rad nie rad, wybiérać się zaczął; wieczorem pożegnał z płaczem wszystkich domowych, bo nazajutrz, skoro świt, wyjechać

mieli. Babunia, życząc mu dobréj nocy, wsunęła w rękę dukata, żeby sobie co pięknego kupił w Warszawie. Romanek, cokolwiek tym darem pocieszony, z mniejszym smutkiem się położył i spał smacznie. Rano, nim słońce weszło, obudzono go; wstaje prędko, ubiéra się, wychodzi z pośpiechem na dziedzieniec. Już pojazd zaszedł, ludzie rzeczy pakowali, ale ojca nie było widać. Pyta się o niego; powiadają mu, że zachorował nagle w nocy i nie pojedzie do Warszawy, lecz zastąpi go wierny i poczciwy sługa. Romanek, przelękniony, biegnie do ojca pokoju, prosi go na klęczkach, żeby i on mógł nie pojechać, ale ojciec, bojąc się pozbawić syna dobrego miejsca, jechać natychmiast mu każe. Słucha go biédny Romanek, żegna się ze wszystkiemi raz jeszcze, jedzie i przez całą drogę płacze. Trzeciego dnia rano, koło dziewiątéj godziny, wypada im przejéżdżać przez Kalwaryjską Górę. Kiedy przed karczmą konie wydychały, dzwonić zaczęto. Romanek prosił starego sługi, żeby z nim poszedł do kościoła; ten nie odmówił jego żądaniu i poszli obaj. Idąc, chłopczyna był nie swój; widać było, że chciał coś mówić, a nie śmiał. Nareszcie, wziąwszy przewodnika swego za rękę, tak mu powiedział: „Babunia dała mi dukata, żebym sobie co ładnego w Warszawie kupił; dla mnie nic w świecie całym nié ma ładnego, kiedy tata chory!.... Mam nawet jakieś przeczucie,“ dodał, zaléwając się łzami, „że w téj chwili najmocniéj jest słaby; pójdźmy więc do kustosza tutejszego klasztoru, niech dziś jeszcze za tego dukata każe odprawić mszy kilka, ażeby tata ozdrowiał.“ Stary sługa na to chętnie zezwolił; kustosz obiecał dopełnić żądania dobrego syna. Natychmiast wyszła msza jedna, któréj Romanek z jak największą pobożnością wysłuchał. Płakał, łącząc prośby swoje z prośbami kapłana; jak Zbawiciel za wszystkich ludzi się ofiarował, tak on błagał Boga, żeby jego życie za ojcowskie przyjąć raczył. Po ukończeniu nabożeństwa, niepojętéj doznał ulgi; choć jeszcze smutny, stokroć był spokojniejszy. W kilka godzin stanął w Warszawie, właśnie na dzień na-

znaczony. Ksiądz rektor przyjął go mile; otoczyli go szkolni towarzysze, znalazł kilku z okolic swoich, ale nic mu przyjemném nie było, póki o ojcu nic pewnego się nie dowiedział. Nareszcie odebrał list od matki; donosiła mu z radością, że ojciec daleko zdrowszy; że trzeciego dnia po jego wyjeździe z domu, rano, koło godziny dziewiątéj, bardzo było źle, ale przesiliła się gorączka, i że od téj chwili coraz się ma lepiéj. Podskoczył Romanek z ukontentowaniem i podziękował Bogu, że raczył przyjąć jego ofiarę. Wkrótce naocznie się przekonał o zupełném zdrowiu ojca; w kilka bowiem tygodni, tenże przyjechał do Warszawy i z rozkoszą serca uściskał syna. Romanek jest jeszcze dotąd w szkołach. Zachęcony do nauki światłem, słodyczą, gorliwością mistrzów swoich i przykładem spółuczniów, obiecuje, że zalety rozumu jego wyrównają kiedyś serca przymiotom.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

19. Łakoma Andzia.

Andzia była bardzo dobra dziewczynka: grzeczna, uprzejma, miła, uczyła się pilnie, ale miała jednę bardzo brzydką wadę.... oto była bardzo łakoma. Nic nie uszło jéj baczności; wszystko spostrzegła, wynalazła, co tylko było do jedzenia, a choć nie mogła zjeść, to przynajmniéj skosztowała, polizała trochę. Mama bardzo to ganiła, łajała Andzię, nawet niekiedy musiała ją ukarać, ale to wszystko nie pomagało.

Raz posłała mama Andzię do drugiego pokoju, żeby jéj przyniosła ze stolika nożyczki. Andzia poszła, ale jéj długo nie było widać. Mama czeka, nareszcie woła, ale Andzia się nie odzywa. Pewna, że Andzi nié ma w tym pokoju, idzie już sama; wtém słyszy krzyk przytłumiony, jak gdyby kto kogo dusił. Wbiega do drugiego pokoju i widzi, że jéj córeczka, czerwona, łzami zalana, chce wołać, ale głos jéj się tłumi; chce usta otworzyć, ale nie może, bo zęby ma tak sklejone, że ich niepodobna rozerwać. Mama Andzi przelękniona, zawołała sługi i ledwie, z pomocą noża, otworzono zęby biédaczce. A wiécie co się stało? Oto Andzia, wysunąwszy szufladkę, aby wyjąć nożyczki, zaczęła zaraz, podług swego zwyczaju, szpérać, czy nié ma czego do zjedzenia. Uradowana, spostrzegła papiérek, w którym, jak się jéj zdawało, była tabliczka czekolady. Nie przyglądając się lepiéj, chciała tylko ugryźć i pobiédz do mamy, gdy wtém .. ząbki się zlepiły i ani rusz....., bo wiécie, co było? Maść dyjachilum.

Biédna Andzia płakała bardzo po tém zdarzeniu; wstyd jéj było sług, ale mama nie żałowała tego wcale, bo odtąd Andzia przestała być łakomą.

Józefa Prusiecka. 1861 r.

20. Dobry Leoś.

Leoś był zarówno kochany przez rodziców i nauczycieli, jak i przez wszystkich domowników. Powiem wam zaraz, jakim sposobém na to sobie zasłużył. Najgłówniejszém staraniem jego było, aby wszelkie rozkazy i życzenia rodziców wypełniać, aby im w każdéj chwili nowe dowody przywiązania okazywać. Nic go więcéj nie bolało, jak kiedy, choć przypadkiem, rodzicom swoim najmniejszą nieprzyjemność sprawił. Jeżeli które z nich zachorowało, więcéj tém był dotknięty, niż żeby go samego choroba złożyła. Jeżeli zapomniał czasem zrobić to, co mu polecili, natenczas mawiał z żalem: „Ach! jakżebym chętnie poniósł wszelką karę i oddał wszystko, co mam, aby tylko moi kochani rodzice nie gniéwali się na mnie.“ Jeżeli spostrzegł co złego w postępkach swoich braci i sióstr, albo téż służących, powiedział o tém ojcu wtedy tylko, kiedy to były rzeczy ważne i do wiedzenia potrzebne; mniéj znaczące wykroczenia ścisłém pokrywał milczeniem. Nauczyciele nigdy nie mieli potrzeby naganiać go do książki: sam wstawał jak najraniéj i z ochotą śpieszył do nauk.

Nigdy nie był ani nadto wesoły i swawolny, ani posę-

pny. Pożytecznym zatrudnieniom najwięcéj czasu poświęcał. Kiedy ojciec, lub matka, obdarzyli go choć najmniejszym podarunkiem, z niewymowną wdzięcznością im dziękował; często nawet innym dzieciom opowiadał, jak wiele rodzice czynią mu dobrego. Nic mu nie było milszego, jak sprawić im jakąkolwiek przyjemność. Kiedy jego rodzice kazali innemu dziecku przynieść co potrzebnego z drugiego pokoju, Leoś starał się wszystkich w przyniesieniu wyprzedzić. Małe nieprzyjemności, jakich nieraz od swych braci lub rówieników doznawał, wolał nieraz znieść cierpliwie, aniżeli wszczynać kłótnie, któreby mogły zmartwić rodziców.

Z tych więc przyczyn wszyscy go kochali: rodzice najwięcéj mieli dla niego czułości; nauczyciele dawali mu piérwszeństwo przed innemi dziećmi, a służący posługiwali mu z największą ochotą.

21. Dobroczynny Władzio.

Władyś, będąc raz na przechadzce, spotkał małego kalékę, chodzącego na kulach, którego odzież dowodziła wielkiego ubóstwa.

Uderzony tym smutnym widokiem, zapytał się biédnego chłopca, kto są jego rodzice.

— Rodzice moi już oddawna umarli, — odpowiedział ubogi chłopiec.

— Któż cię więc utrzymuje? — znów zadał mu pytanie Władyś.

— Ojciec Niebieski, — odrzekł chłopczyk; — On o mnie ma staranie, On zsyła ludzi litościwych, którzy udzielają mi nieco z tego, co mają nad potrzeby własne.

Te słowa, równie jak stan nieszczęśliwego kaléki, żywo wzruszyły czułe serce Władysia. Dał mu wszystkie piéniądze, które miał przy sobie, i, jeszcze tém nie zadowolniony, zaprowadził go z sobą do domu i prosił matki, aby mu stałe wsparcie co tydzień dawała.

Ubogi chłopczyk dziękował z rozrzewnieniem dobroczynnemu Władysiowi, a kto tylko usłyszał o tak pięknym postępku młodzieńca, nie mógł się go dosyć nachwalić. Serce matki jeszcze większą radość uczuło, bo z tego czynu syna powzięła wróżbę, iż wyrośnie na zacnego i cnotliwego człowieka i nie pożałuje nigdy żadnych trudów dla wspomożenia bliźniego.

22. Uczciwa rodzina.

Marcin był to uczciwy wieśniak. Nie można go było nazwać bogatym, gdyż mu brakowało wielu rzeczy, które stanowią bogactwo; miał on tylko małą chatkę i mały kawałek pola, który zaledwie wystarczał na wyżywienie licznéj rodziny. Lecz Marcin był bogaty w cnoty: bogobojność i uczciwość. Czyste sumienie było jego nieodstępnym towarzyszem pracy i czyniło mu ją lżejszą. Praca przynosiła mu zawsze więcéj korzyści, niż sąsiadom, a bojaźń Boża ułatwiała ciężar wszelkich przeciwności życia.

Marcin miał godną siebie żonę, która, podobnie jak on, myślała i czyniła. Była to gospodyni pilna, pracowita; ochędóztwem nadawała swéj ubogiéj chatce miły i przyzwoity pozór.

Dzieci tych dobrych ludzi nie miały za co chodzić do szkoły, lecz za to pracowały pilnie w gospodarstwie; dziewczęta szczególniéj zawsze coś sobie potrafiły kądzielą zarobić. Nauczyły się przecież czytać i obeznały się dobrze z religiją i nauką chrześcijańską, gdyż ją rodzice nietylko słowami, lecz i przykładem wpajali w ich serca i umysły.

Franciszek Kowalski.

23. Szkoła.

— Głupstwo ta szkoła! — zawołał Jaś rozgniéwany; — nic się z niéj nié ma, tylko trudy i przykrości! Zamiast, żeby teraz można sobie skakać po świéżém powietrzu i chodzić do zielonego boru, trzeba siedzieć w klasie i uczyć się i uważać! A potém, gdy się nakoniec skończy, znowu trze-

ba siedzieć w domu i pracować, chociażby się wolało pójść do ogrodu, lub gdzieindziéj! Chciałbym, żeby wcale szkoły nie było, albo żebym przynajmniéj ja nie potrzebował do niéj chodzić.

— Dobrze, — powiedział ojciec Jasia, — to życzenie, mój synu, jakkolwiek niezmiernie niedorzeczne, jednak zostanie spełnioném. Pozwalam ci póty nie uczęszczać do szkoły, póki zechcesz. Nikt cię nie będzie przymuszać, żebyś koniecznie tam chodził!

— Ach! ojciec tylko żartuje—rzekł Jaś.

— Nie, bynajmniéj, mówię zupełnie naprawdę, — odpowiedział ojciec. — Owszem, nie chódź do szkoły; już ja z twoim nauczycielem całą rzecz odrobię.

Pełen radości, pobiegł Jaś do swoich kolegów i zdaleka już krzyczał z tryjumfem:

— Już nie będę potrzebował chodzić do szkoły, jeśli nie zechcę, a ma się rozumiéć, że nie chcę! Ha! to dopiéro będzie wesołe życie! Już ani pióra, ani ołówka nie wezmę do ręki, a co książki, to niech je tam sobie szczury zjedzą.

Wszyscy koleżkowie zazdrościli bardzo Jasiowi, wzdychali potajemnie i mówili:

— O! żebym i ja takiego miał ojca!

Jaś nie posiadał się z radości. Piérwszego dnia biegał sobie wesoło po lesie i ledwo w domu się pokazał; drugi dzień przepędził w ogrodzie; trzeciego dnia spacerował po polach i murawach, ale czwartego — już nie wiedział, co ma począć. Dosyć się już nażywał lasu, ogrodu, pola i murawy, i zaczął uczuwać pewną próżnię, pewne znudzenie. „Gdyby to jeszcze kilku innych tu było chłopców!“ mówił z westchnieniem. Pobiegł do boru, do ogrodu, w pole; wszystko już mu się nudném wydawało. Nawpół ze wstrętem wziął do ręki książkę, aby z niéj co przeczytać, ale ojciec zawołał:

— Stój! kto nie chce chodzić do szkoły, ten i książkom

niech da pokój. Biegać sobie możesz, ile chcesz, ale czytać nie; czytać ci nie wolno!

Jaś schował książkę i zaczął myśléć o szkole. Właśnie była to rekreacyja, w któréj chłopcy zwykli wesoło z sobą się bawić. „Ach! żebym to i ja był z niemi!“ znowu rzekł z westchnieniem. Nazajutrz jeszcze więcéj było nudów. Następnego dnia znowu nudy. Siódmego dnia nakoniec już dłużéj nie mógł wytrzymać.

— Ojczulku! — rzekł smutnie i z pokorą, — pozwól mi znów pójść do szkoły; póki życia już nie powiem, że wolałbym, aby szkoły wcale nie było.

— Aha! więc tak prędko spostrzegłeś, ile życzenie twe było niedorzeczném? Wiedziałem ja, że wkrótce na to wyjdzie. Każdy człowiek koniecznie powinien miéć zajęcie pożyteczne, jeżeli nie chce sprzykrzyć się samemu sobie i drugim! Idź, idź, a na drugi raz zastanów się wprzódy dobrze, nim się wyrwiesz z podobném życzeniem.

B. PRZYPOWIEŚCI.

---

1. Rezeda.

Wesoła, ale uważna Felunia zapytała matki:

— Dla czego kochana mama najlepiéj lubi stawiać na oknach te nizkie zielone krzaczki, zasadzone w takich ozdobnych doniczkach. Wszakże w naszym ogrodzie mamy mnóstwo piękniejszych kwiatów. Radabym bardzo wiedziéć, z jakiéj przyczyny ta niepozorna roślinka otrzymuje pierwszeństwo?

— Prawda, — odpowié matka, — ta skromna roślina, zwana rezedą, nie jaśnieje ani szkarłatem wspaniałéj róży, ani białością lilii, ani rozmaitością kolorów tulipanów, ale te

kwiatki, z pozoru niepowabne, obdarzone są miłym zapachem, przyjemniejszym nawet od woni róży. Aż do końca jesieni, a nawet w zimie, kiedy wszystkie inne kwiaty dawno powiędną, rezeda napełnia jeszcze mieszkanie swoim wdzięcznym zapachem. Dlatego też ten kwiatek jest wyobrażeniem cnoty cichéj i skromnéj, która jedynie posiada prawdziwą wartość. Taka cnota przetrwa wszelkie czyny głośne, które, im żywiéj dopominają się chwały, tym prędzéj tracą powab i zupełnie idą w zapomnienie.

Jan Chęciński. 1863 r.

2. Strumyk.

W gorącym dniu Sierpniowym, mała Zosia, szukając ochłody, usiadła z matką nad brzegiem czystego strumyka. Patrzyła z upodobaniem na kamyczki, leżące na dnie; na niebo drzewa i kwiaty, odbijające się w spokojnéj i przezroczystéj wodzie. Wtém wiatr powstał, zmięszał wodę i znikły miłe obrazy. Zasmuciła się Zosia. „Niech ci ten widok nauką będzie,“ powiedziała jéj matka; „swój obraz niechcący widziałaś. Pókiś czysta i spokojna, póty czytać w sercu twojém można, póty w niém samo niebo się odbija, lecz skoro namiętności, gniéw, zazdrość, upór, powstaną w twéj duszy, zmięsza się spokojność twoja, przestaniesz być czystą, nadobną i miłą.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

3. Kręte ścieżki.

„Dla czego, ojcze, wszystkie prawie ścieżki, tu wydeptane, są kręte?“ mówił syn do ojca, chodząc z nim po górach i polach; „mnie się zdaje, że prosta droga—najkrótsza.“—„Mój synu,“ odpowiedział ojciec, „jedni tak wydeptali te ścieżki dla wygody, przez lenistwo, chcąc kamień, rów,

wzgórek ominąć; drudzy tak uczynili przez nieuwagę, nie patrząc na cel, do którego dążyć powinni; szli to w lewo, to w prawo, i tych zapewne najwięcéj się trafiło; ich torem reszta poszła. Tak i ludzie w wędrówce swojéj do szczęścia czynić zwykli. Jedni przeszkód i trudów, na prostéj drodze będących, nie chcą pracą i stałością przezwyciężyć; wolą je przebiegami, dowcipem, ominąć—i krętemi idą ścieżkami. Drudzy, nierozmyślni, udają się gdzie ich oczy prowadzą, i tak z prostéj zbaczają drogi. Synu mój, nie idź wydeptanym od nich śladem, strzeż się manowców, trzymaj się drogi prostéj, a najprędzéj dojdziesz do celu.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1844 r.

4. Dwie jabłonie.

Jeden ogrodnik miał dwóch synów; rok tylko między niemi było różnicy. W Maju darował obudwóm po śliczném drzewie, jabłoni. Jednego wzrostu, jednego gatunku, jednéj czerstwości były oba te drzewa i, lubo stały na dwóch końcach przeciwnych ogrodu, oba zarówno okryte były kwiatem. „Synowie moi,“ rzekł do nich, „daję wam piękne i jednakowe dary; od was zależéć będzie piekność ich w jednakowym utrzymać stanie, ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ Starszy, uważny i pilny, szczęśliwy z podarunku ojca, umiał się z nim obchodzić: obrał drzewo z robactwa, przywiązał je do pala, skopał wkoło ziemię, żeby wilgoć łatwiéj do korzeni dochodziła, słowem prawdziwym był opiekunem jego. Młodszy, płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojéj jabłoni i dopiéro w Październiku, gdy w całym ogrodzie do zbiérania owoców się wzięto, przypomniał ją sobie; pobiegł do drzewa, ale ani jednego jabłka nie zastał: liszki część owocu jeszcze w zawiązkach zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony, poszedł obejrzéć jabłoń brata i zdumiał się na jéj widok: drzewo znacznie się rozrosło, a jabłka piękne i duże zdaleka się

czerwieniły. Rozgniéwany i zazdrością zdjęty, pobiegł z żalem do ojca. „Tato!“ zawołał, „jak mogłeś dać memu bratu tak śliczne i rodzajne drzewo, a mnie — brzydkie i niepłodne.“

„Jednakowo was udarowałem,“ odpowiedział ojciec, „ale twój brat utrzymał i polepszył dar mój staraniem, a tyś go zniweczył niedbalstwem. Jaka praca, taki zysk.“

Ileż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia! Rodzice dadzą dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek, a dzieci nie jednakowy użytek z tych darów czynią. Lecz czyjaż w tém wina?

Klem. z Tań. Hofmanowa.

5. Drzewa i dzieci.

Wiosna wróciła, a sypiąc obficie ozdoby swoje, maiła liściem lasy i gaje, okrywała kwiatem krzewy i owocowe drzewa. Pan L* z młodą żoną przechadzał się po swoim ogrodzie. Przed kilkoma laty był to kawał nieurodzajnego gruntu; dziś, dzięki ciągłym staraniom, zamienił się w sad przyjemny. Drzewa, które pan L* sam szczepił i pielęgnował, obsypane kwiatem, już gdzieniegdzie zawiązek owocu nosiły. „Patrz, luba żono,“ mówił, „jak uwieńczona praca nasza; nie żal mi moich zabiegów; ten widok sowicie wszystkie trudy nagradza.“ Usłyszały te słowa dzieci, idące zwolna za rodzicami. „Tato,“ zawołał syn najstarszy, „i z nas będziesz miał kiedyś podobną pociechę. Równie, jak te drzewa, hodujesz nas i strzeżesz, i my się tobie równie wypłacimy!“ Pan L* uściskał syna — i z upodobaniem, to na drzewa, to na dzieci, spoglądał.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

6. Pochyłe kłosy.

Tomasz wyszedł ze swoim synem Michałkiem w pole, aby zobaczyć, jak prędko będzie można rozpocząć żniwo.

„Mój ojcze,“ zagadnął Michaś, „dla czego niektóre łodygi z kłosami są pochylone ku ziemi, a niektóre trzymają się zupełnie prosto? Zapewne proste są najlepsze, a pochyłe — nic nie warte.“

Na to rolnik zerwał dwa kłosy, a pokazawszy je synowi, rzekł:

„Przypatrz się, moje dziécię; ten kłos, skromnie pochylony ku ziemi, pełen jest najpiękniejszego ziarna, ten zaś, który z taką dumą trzyma się prosto, jest zupełnie pusty. Tak samo — i między ludźmi: rozumni są zwykle skromnemi, głupcy zaś jak najwyżéj zadziérają swoje puste głowy.“

Jan Chęciński. 1860 r.

7. Cierpliwość.

Młody kmiotek po raz piérwszy zasiał swą rolę, a licząc wielkie w myśli nadzieje, wychodził co rano oglądać, jak zasiéw wschodzi. Ale rola jego zdała mu się leniwą: zielone źdźiebełka ledwo co się wydobywały. Zniecierpliwiony, winił naturę i chciał swoją pracą jéj opieszałość nagrodzić. Schylając się przez dzień cały, aż do znoju, z ziemi źdźiebełka na wiérzch wyciągał, a gdy był wieczór, radował się, że roli swojéj dał popęd, nie myśląc o tém, że wyciągając źdźiebełka ponadrywał korzonków. Kiedy więc rano przyszedł dzieło swoje zobaczyć, ujrzał cały plon zwiędłym.

Pracuj roztropnie, a w tém, czego skutek od Boga zawisł, ufnie i cierpliwie zostaw Mu resztę.

Kazimierz Brodziński.

8. Ojciec i dzieci.

Ojciec jeden miał kilkoro dzieci. Widząc się blizkim zgonu, wezwał wszystkie do siebie, a wziąwszy kilka prętów, związał je w pęczek i dał starszemu do złamania. Ten, natężywszy wszystkie swe siły, dokazać tego nie mógł. Podał go więc drugiemu, ten trzeciemu i tak daléj—ale żaden nie złamał. Potém starzec, rozwiązawszy pęczek, dał każdemu po jednym pręcie i kazał złamać. Co gdy z łatwością wykonali, „moje dzieci," rzekł do nich ojciec, „bierzcie ztąd przykład. Po mojéj śmierci, póki będziecie zgodni, dopóty nic was pokonać nie zdoła, ale, skoro się poróżnicie, najmniejsza siła zdolna was będzie zwyciężyć."

Klem. z Tań. Hofmanowa.

9. E c h o.

Pawełek nie wiedział, co to jest echo, czyli odgłos. Biegając raz po dworze, krzyknął, potrzaskując biczykiem: „Hej! Hej!" i usłyszał, jak ze starych murów coś zawołało: „Hej! Hej!"

Chłopak się zdziwił i zawołał: „Kto tam gada?" I głos odpowiedział: „Kto tam gada?"

„Co ci do tego?" Głos odpowiedział: „Co ci do tego?"

„Głupiś!" Głos odpowiedział: „Głupiś."

„Ty sam." Głos znowu: „Ty sam."

Pawełek, wpadając w gniéw, coraz grubiéj łajał i również niegrzeczne odbiérał odpowiedzi. Wkońcu, nie mogąc wytrzymać, pobiegł do starych murów i szukał owego hardego chłopca, który śmiał ząb za ząb kłócić się z nim, i chciał go wybić, lecz ani żywéj duszy tam nie było. Czując obrazę swoję, Pawełek napół z płaczem pobiegł poskarżyć się matce, że jakiś chłopiec, w starych murach ukryty, przezywał go grubemi wyrazami.

„Rozumiem cię, mój synu," odpowiedziała matka, „zdradzasz się, bo sam przychodzisz ze skargą na siebie samego. Dowiédz się, żeś tylko swoje własne słowa słyszał, bo takie stare mury i sklepienia zwykle powtarzają każdy głos, lub huk. Gdybyś był krzyczał co grzecznego i przyzwoitego, odebrałbyś był odpowiédź grzeczną i przyzwoitą."

Tak samo bywa w życiu z ludźmi. Kto z bliźnim obchodzi się z dobrocią i uprzejmością, ten takiego samego doznaje obejścia, przeciwnie zaś, postępując po grubijańsku, grubijaństw tylko spodziéwać się może.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

10. Rzeka i potok.

Dwoje dzieci, wychowanych w górach, nawykłe były do szumu i łoskotu strumieni i potoków; gdy więc razu jednego zawieźli je rodzice do stolicy, cieszyły się bardzo, że Wisłę zobaczą, i wystawiały sobie w swoim umyśle, że z niezmiernym hałasem płynąć musi. Stanąwszy nad jéj brzegami, w piękny dzień pogodny, dziwiły się spokojności jéj biegu. „Tak wielka, tak wspaniała, tak użyteczna i tak cicha!" zawołały. „Niech ten widok was nauczy," wyrzekli tu rodzice, „iż często, gdzie szumu wiele, tam zasługi mało i że nie raz, kto wiele czyni, ten i milczy wiele."

Klem. z Tań. Hofmanowa.

11. Natura i sztuka.

Julek, przechadzając się z matką po ogrodzie, ujrzał ogrodnika, który obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa.

— Mamo,—rzekł Julek,—dla czego ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ich ani nie obcina, ani nie szczepi, ani nie obskrobuje, ani téż podléwa.

— Prawda mój synu, — odpowiedziała matka, — jednakże między leśnemi, a ogrodowemi drzewami, wielka jest różnica.

— Jakaż to różnica?—zagadnął Julek.

Matka, zamiast odpowiedzi, urwała kwiatek z klombu i owoc z drzewa—i podała oboje synowi. Julek skosztował owocu i powiedział, że jest słodki; powąchał kwiatek i przyznał mu woń przyjemną. Potém poprowadziła Julka do bliziego lasu, zerwała kwiat polny i podjęła owoc, leżący pod dziką jabłonką. Julek powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim woni; skosztował owocu i zaraz cisnął, powiadając, że cierpki i twardy.

— Teraz przekonaj się, mój synu,—rzekła matka, — i pamiętaj, że człowiek, bez wychowania i nauki, jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten, lubo piękny, woni nié ma; drzewo daje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobny do szczepionego drzewa, które słodki i smaczny wydaje owoc.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

12. Podkowa.

Pewien kmiotek, idąc ze swoim synem na jarmark do miasteczka, ujrzał leżącą na drodze złamaną podkowę i pokazał synowi, mówiąc, żeby ją podniósł i schował.

„To nie warto, tatulu, aby się po to schylać," odpowiedział leniwy Piotrek.

Ojciec sam podjął podkowę i schował do kieszeni, a w najbliższéj wiosce sprzedał ją kowalowi za cztéry grosze, za które kupił wiśni, tak, aby syn to widział. W dalszéj drodze, że upał był wielki i słońce dogrzéwało, uczuł Piotrek mocne pragnienie, a że nie było w pobliżu ani studni, ani strumienia, gdzieby je mógł ugasić, omdléwał więc z gorąca. Ojciec, to widząc, upuścił jednę wiśnię, niby przypadkiem; wnet podniósł ją Piotrek i zjadł z chciwością. Po

téj, upuścił ojciec drugą, po którą syn schylił się również skwapliwie; toż zrobił z trzecią, czwartą i tak daléj, aż do ostatniéj, a Piotrek schylał się bez szemrania po każdą zosobna, którą mu ojciec upuszczał.

Gdy się już wiśnie wyczerpały, wtedy ojciec obrócił się do syna i tak doń przemówił:

— Widzisz, Piotrze, do czego cię lenistwo przywiodło: gdybyś się był schylił wprzódy raz jeden tylko, dla podniesienia podkowy, nie schylałbyś się potém kilkadziesiąt razy po wiśnie. Niechaj drobne to zdarzenie będzie dla ciebie nauką na dalsze życie: lekceważenie i zaniedbanie małéj na pozór rzeczy, częstokroć, pozbawia nas znacznych korzyści w przyszłości, lub zmusza do podjęcia wielkich trudów, aby zyskać to, co w swojéj porze z łatwością nam przyjść mogło.

1858 r.

C.) ANEKDOTY.

1. Franuś.

Franuś niezmiernie grzecznym jest chłopczykiem i przedziwnie się uczy. Kochają go za to bardzo rodzice, kocha go i nauczyciel, pan K*, a on im najczulszą wzajemnością się wypłaca. Jednego razu zasłabł i matka mu powiedziała: „Wiész co, Franusiu, słaby jesteś, uczyć się nie możesz; dam znać panu K*, żeby napróżno dziś nie przychodził." „O! mamo," zawołał chłopczyna, „nie posyłaj; niech przyjdzie, niech go się przynajmniéj napatrzę."

Jakże te wyrazy malują wymownie przywiązanie ucznia, jaką są pochwałą nauczyciela, który podobne przywiązanie wzbudzić umiał.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Dowód przywiązania.

Pięcioletni Zenonek Ł* chował się u troskliwéj babuni. Ta, przez dzień cały go pielęgnując, nie zapominała o nim i w chwili spoczynku: kiedy się już położył, przychodziła do niego i zalecała, żeby leżał wyciągnięty i prosto, bo tym sposobem duży wyrośnie. Zenonek, jak we wszystkiém, tak i w tém słuchał babuni. Raz, niewiadomo zkąd, przyszło mu się zapytać: „Czy i babunia umrze?“ — „Umrę, moje dziécię!“ odpowiedziała mu. — „A kiedy babunia umrze?“ ponowił Zenonek ze smutkiem.—„O! już ty wtenczas dużym urośniesz.“ Chłopczyna nic na te słowa nie odpowiedział, ale, gdy w wieczór, wedle zwyczaju, babunia przyszła do jego łóżeczka, zastała go skurczonym, i chłopczyk, zawsze posłuszny, dziś na jéj wezwanie żadnym sposobem wyciągnąć się nie chciał. „Cóż ci się stało? mówiła mu, „poczekaj, kiedy nie słuchasz, nie urośniesz.“—„To dobrze,“ odpowiedział ze łzami Zenonek, „ja nie chcę urość, żeby babunia prędzéj nie umarła.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

3. Tytuł i stopień.

Dwaj mali bracia w dzień Nowego Roku nową grę sobie wymyślili. Brali pojednemu, bez wyboru, bilety, przysłane rodzicom, i, jakby kartami, który wyższéj godności osobę wyciągnął, ten zabijał bilet drugiego. Długo ta gra szła bardzo dobrze; bił wojewoda szambelana, prezes asesora, mecenas patrona, ale nareszcie jeden wyciągnął bilet hrabiego, drugi—pułkownika. Wszczęła się rozprawa wielka, który z nich ma starszą figurę. Zapytany ojciec tak im odpowiedział: „Hrabia jest to tytuł, który urodzenie przynosi, pułkownik — stopień, którego dosłużyć się trzeba.“ Ledwie tych słów dokończył, kiedy chłopczyna, trzymający bilet hrabiego, sam pułkownikowi się poddał.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

4. G u c i o.

Pięcioletni Gucio miał mamę młodą i ładną, a babunię dosyć już starą; obiedwie kochał bardzo i obie jego nawzajem. Przypadły urodziny babuni. Gucio odmawiał swój paciérz poranny i piastunka mu powiedziała: „Módl się, żeby Bóg pobłogosławił babuni i dał jéj wszystko dobre, a módl się także i za mamę, żeby doczekała lat sędziwych i była kiedyś tak starą, jak babunia!“—„O! co o to, to nie będę się modlił,“ zawołał Gucio; „ja daleko lepiéj wolę Boga prosić, żeby babunia była tak młodą, jak mama.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

5. Dar mały, lecz prawdziwy.

Pani P* była słaba i wychodzić z domu nie mogła, zawołała więc raniuteńko do siebie pięcioletniego synka i tak do niego rzekła:

„Zygmusiu! weź ten koszyk jabłek, pójdź i ofiaruj go babuni, bo dziś są jéj imieniny. Ładnie jéj powinszuj, a to jabłko zjédz sam na śniadanie.“

To mówiąc, dała mu śliczne czerwone jabłko. Zygmuś pocałował matkę w rękę, wziął koszyk, włożył jabłko do kieszeni i ze starym służącym poszedł do babuni.

„Babuniu! babuniu!“ zawołał wchodząc, „winszuję ci imienin.“ I podając jéj koszyk owoców, powiedział: „To od mamy,“ wyjmując zaś z nieśmiałością swoje jabłko z kieszeni, dodał: „a to od Zygmusia.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

III. HISTORYJA LITERATURY.

ŻYCIORYSY, OBRAZKI Z ŻYCIA PISARZY I ANEKDOTY.

1. Mikołaj Kopernik.

Mikołaj Kopernik urodził się w Toruniu r. 1473, dnia 12 Lutego, za panowania Kazimiérza Jagiellończyka. Wysłany do akademii Krakowskiéj, doskonalił się w matematyce, w starożytnych językach i w medycynie; szczególniéj jednak oddawał się z zamiłowaniem astronomii, pod Wojciechem z Brudzewa. Mając lat 23, uczuł chęć niezbędną szukania daléj wiadomości, od mistrza wskazanych, i powziął myśl udania się do Włoch. Po powrocie do ojczyzny, zapisany został w poczet akademików *) Krakowskich, roku 1504, zkąd wkrótce udał się do Torunia, gdzie wuj jego, biskup Warmiński, zapewnił mu życie swobodniejsze, do rodzaju prac jego stosowne. Tam przeszło 30 lat zajmował się ciągle, w cichości, dostrzeganym przez siebie układem świata. Dzieło jego, owoc tylu trudów i cichych starań, które taką zmianę w nauce o budowie świata zrobiło, wyszło właśnie w roku jego śmierci, która nastąpiła dnia 11 Czerwca 1544 roku, gdy miał lat 71.

Kazimiérz Brodziński.

2. Przygoda Macieja Stryjkowskiego.

Maciéj Stryjkowski, sławny niegdyś kronikarz Polski, urodził się w Osostowie, w Łęczyckiém, 1547 roku. Ledwie

*) Akademikami zwali się uczący.

odrósł cokolwiek od ziemi, o własnéj puścił się mocy i głoskiem przemówił dziecinnym, już wesołością, rozumem, cieszył rodziców, dziwił czeladkę. Świéży, jak wiosna, żywy, jak iskra, obraz swobody i zdrowia, całém był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością.

Właśnie rok piąty był zaczął, gdy raz, w Sierpniowy wieczór, rodzice jego, pod modrzewiowym siedząc dworkiem, lubą i słodką o synku swoim prowadzili rozmowę. W ciągu dnia dał on dowody nadzwyczajnego dowcipu; potém na cztérokątnym podwórcu zręcznie wyprawiał skoki i pląsy; teraz, jak hetman, pobiegł do sadu, na czele dzieci czeladki. Tam je do boju zwykle szykował; tam z niemi igrał wesoło.

Wtém odgłos przeraźliwego krzyku obija się o uszy rodziców. Był tam szczególniéj krzyk jeden, co matki serce wskroś przeszył; powstaje, drżąc cała, bieży. Ojciec, zawsze od niéj silniejszy, dziś jéj wyścignąć nie może..... Jedynak bawił się w sadzie; tam jest głęboka sadzawka; tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy: widzą rozbiegłą dziatek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzodę. Jedno za drzewem stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie, co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: „Panicz utonął, utonął!“ Już prawie bez tchu, rodzice dwoją swój krok; stają nareszcie nad brzegiem wody: zrazu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce, już bez oporu, ciało ich syna wypływa.

Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnéj matce stać przykazuje, wyciąga dziécię, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie; nie słyszy; tuli do łona; nie czuje; bierze je ojciec; toż samo! Niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach—zimniejsza od zimnéj wody, co po nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty; każdy coś rai, wskazuje; każdego ojciec i matka słucha; co tylko radzą, to robią, próbują, a dziécię zawsze, jakby nie-

żywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciałko chłopczyny; każdy go sobie podaje; każdy go cuci, trząsa, naciéra; dziécię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce; świętych wzywają pomocy—lecz niebo głuchém się zdaje i dziécię leży nieżywe. „Próżne te nasze mozoły; odbiegłéj duszy już nic nie wróci,“ tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka.

Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi spływa okropny. Już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolałéj matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban, z lekarzem, ciągną rodziców do drugiéj izby; cichaczem trumnę przynoszą.

Płacząc, sędziwa piastunka obleka dziécię w białą koszulkę, zeschłe włosy gładko czesze, równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. „Tak cię ja kładłam w kołyskę,“ mówi do niego, zalana łzami; „tak ty mnie w trumnę położyć miałeś!“ W téj chwili wpada strwożona matka. „Okrutna! cóż czynisz?“ boleśnie woła: „alboż to dziécię....?“—„Umarło,“ pleban dokończa; „umarła twoja pociecha. Ten, co ją zesłał, przyzwał ją do siebie. Ten, co ją pożyczył, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego.“ Klęka niewiasta, obok niéj ojciec; oboje ręce do nieba wznoszą; usta ich razem mówią te słowa: „Panie, możesz, oddal ten kielich, jednakże niech się wola Twoja stanie!“ Tak rzekli i, wzmocnieni, wstają i mówią głośno: „Weźcie już dziécię!“

Ciśnie się tłumem czeladka; do dwóch kościołów pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziéwa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka; drżąc cały, ojciec żonę podpiéra. Idzie przez miasto orszak w milczeniu. Wybiegli z domu mieszkańcy; co krok to grono zwiększają; każdy w cichości dziécięcia płacze, a więcéj jego rodziców.

Nagle w obudwu kościołach huczny głos dzwonów powietrze wstrząsa, a matka czuje zimnych zwłok drganie.

Krzyknęła, stają; lekarz przybiega; kładą na ziemi trumienkę, i znowu lekkie czuć drganie. Porywa matka z trumienki dziécię, osłania je suknią, rękoma, chce z niém uciekać. Wstrzymuje lekarz jéj obłąkanie, pomału iść rozkazuje, strwożonéj rzeszy krzyczéć zabrania, do swego domu matkę wprowadza, tam w ciepłe łoże dziéciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca. Matka i ojciec dech swój wstrzymują.

Po krótkiéj chwili, serce dzieciny mocniéj uderza, po całém ciałku duch się rozchodzi, dziécię do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijać się zaczyna; odmyka dziécię oczka zawarte i ku rodzicom je zwraca, blade usteczka na wpół otwiéra; chciało przemówić, uwięzły słowa, lecz się uśmiéchnąć zdołało. „O! Boże! wszechmocny Boże!“ wyrzekła cicho przejęta radością matka i łzy ulżyły jéj ciężaru szczęścia.

Zaledwie trzy dni minęło, już na podwórzu biegał jedynak; już na nowo był szczęściem rodziców.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

3. Urszulka Kochanowska.

Już to temu dawno, bardzo dawno, bo już 300 lat z górą, kiedy żyło dobre, a osobliwe dziécię, mała Urszulka Kochanowska. Rodzice jéj mieszkali w ładnéj wiosce Czarnolesiu, w Sandomiérskiéj ziemi. Byli to bardzo cnotliwi ludzie. Mieli 6 pięknych i dobrych córek. Urszulka była najmłodsza; nie skończyła jeszcze trzech lat. Ojciec Urszulki, Jan Kochanowski, był poetą. Maleńka Urszulka umiała już mówić do wiérsza i to tak sama z siebie. Było to dziécię śliczne, a dobre, jak aniołek; była rozkoszą całego domu, największą pieszczotą i pociechą ojca. Z wesołą, uśmiéchającą się twarzyczką, biegało to dziécię po domu, śpiewając, wyciągając do ojca rączki, kiedy się zbliżył do niéj. Pewnego razu Jan Kochanowski spodziéwał się swego krewnego i przyjaciela. Długo mu było czekać w domu, więc

wyszedł na jego spotkanie. Zabiegła mu drogę Urszulka. „Chodźcie ze mną na łąkę, ojcze; narwę kwiatków dla naszego gościa.“ Ojciec ją zapytał: „Czy ty wiész, moja szczebiotko, kto do nas przyjedzie?“—„A! wiém,“ odpowiedziała Urszulka i zaśpiéwała ze siebie:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.

Uradowany Jan Kochanowski zawołał: „Chodź, słowiczku mój, powtórzyć matce wierszyki.“—„O! już zapomniałam,“ rzeknie Urszulka, „ale,“ palcem wskazując na główkę, „tu są inne; powiém późniéj.“

Jednego razu przyjechał do Czarnolesia hetman Zamojski. Po długiéj rozmowie, prosił on, by mu Kochanowski swoje dzieci pokazał. Matka namawiała, by Urszulka sama poszła przywitać hetmana jakim ładnym wiérszykiem; opowiadała Urszulce różne rzeczy o nim: jaki on możny i bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, a jaki jest dobry, jak dzieci kocha, ale sam nié ma ani jednego, choć pragnąłby bardzo, osobliwie syna. Urszulka jakby tego wszystkiego nie słuchała, tylko obiecała być grzeczną. Matka wzięła ją za rękę i przyprowadziła do Zamojskiego. Kiedy ten ją ujrzał, żałował, że mu tego aniołka prędzéj Kochanowscy nie pokazali. Wziął Urszulkę na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu w oczy patrzyła, potém oglądała jego drogie suknie, dotykała się rączką pięknych pierścieni i klejnotów, jakie miał Zamojski, a gdy się jéj spytał, czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdyby'ć Bóg dał dziécię,
Dałbyś wszystko za to.

Hetman zdumiał. „Któż cię takich wiérszyków nauczył?“ zapytał. „Nikt,“ odpowiedziało dziécię; „ja sama ze

siebie mówię wiérszyki.“—„A to ja nie będę szukał innych dzieci,“ mówił hetman, „jeno sobie będę miał Urszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa.“ Ale ona rzekła:

Nie; jam dziewczyna;
Tobie trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny,
Aniołek niewinny;
Ja poproszę Boskiéj Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Wieczorem goście się rozjechali; dzieci się położyły spać. Matka, okrywając Urszulkę, dostrzegła, że główka jéj i rączki bardzo były rozpalone. Dobra dziéweczka zachorowała nieboga. Matka niezmiernie się przestraszyła, całą noc nie spała i siedziała przy Urszulce, któréj gorączka coraz była większa. Co tylko było można, uczyniono, lecz nic nie pomagało. Urszulka coraz większą miała gorączkę, leżała bez przytomności. Obracając się do matki, całowała jéj ręce i mówiła prawie wesoła:

Nie płacz, matko, proszę;
Ja idę do nieba
Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba:
Twoja luba córka
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siędzie.
Matko, źleż ci będzie
Miéć swego aniołka?

Potém zaczęła Urszulka płakać i przywołała siostry; żegnała się z niemi, zwłaszcza z najmłodszą Hanusią, żegnała się ze sługami, ze wszystkiém się żegnała. Matkę i ojca przyciągała do siebie, całując im ręce i mówiąc żałośnie: „Już ja wam służyć nie będę; już nie zasiądę mego miejsca za stołem; muszę jechać w ciemną i nieznaną drogę; muszę pożegnać wasz dom na zawsze.“

Przez trzy dni ciągle choroba się wzmagała. Czwartéj

nocy, nad ranem, Urszulka wyrzekła głośno : „Jezus, Maryja, Józef!“ i umilkła i skonała, a jéj czysta duszyczka poszła do nieba, jak to sobie przepowiedziała.

Oj! smutno było w Czarnolesiu po śmierci Urszulki! Zapłakany ojciec chodził i powtarzał sobie żałośnie : „Już nié ma wdzięcznéj *) dziéweczki mojéj; ujął ją sen żelazny, twardy; Urszulka spoczywa w głuchym grobie.“ Ten wielki swój smutek i żal po śmierci kochanéj dziéweczki wylewał w poezyi i pisał takie żałosne wiérsze, że aż się na płacz zbiéra, kiedy się te smutne wiérsze o Urszulce czyta.

Ewaryst Estkowski.

4. Piotr Skarga.

Piękny przykład wspaniałomyślnego przebaczenia doznanéj krzywdy przedstawia nam Skarga, sławny kaznodzieja i pisarz XVI wieku **). Kiedy raz w Wilnie, wymownemi usty gromił wszelkiego rodzaju nieprawości, wówczas rozpowszechnione, i przedstawiał złe skutki, jakie z nich wyniknąć miały, niejaki Ślepowroński, wziąwszy te nauki za osobistą dla siebie urazę, dopatrzył pory, gdy Skarga z pobożnéj wracał posługi, i nie tylko zelżył go słowem, ale nawet ośmielił się znieważyć policzkiem. Oburzenie w mieście było powszechne; wszyscy głośno żądali, aby, dla powściągnięcia na przyszłość podobnych bezprawi, śmiercią zuchwały postępek ukarać. Znalazł się wtenczas jeden tylko człowiek, broniący Ślepowrońskiego, a tym był sam Skarga, który dopóty nalegał i prosił, aż otrzymał dla niego przebaczenie winy. A gdy wzruszony Ślepowroński przyszedł mu dziękować, Skarga przyjął go najuprzejmiéj i tylko po ojcowsku napominał, aby odtąd dobremi czynami starał się naprawić swój nierozważny postępek. 1858 r.

---

*) Wyraz *wdzięczny* znaczył dawniéj *miły*. **) Urodził się w r. 1536 w Grójcu, umarł 1612 r. w Krakowie.

5. Ignacy Krasicki.

Ignacy Krasicki, urodzony ze starożytnego domu w Galicyi r. 1734, obok łask fortuny i wszelkich darów przyrodzenia, najstaranniejsze odebrał wychowanie. Przeszedłszy niższe stopnie w stanie duchownym, wkrótce otrzymał biskupstwo Warmińskie i, przez cały ciąg piastowania téj dostojności, poświęcał się pracom uczonym. Na dziełach nigdy nie kładł swego nazwiska, ale całéj powszechności znane były litery: X. B. W., czyli Xiąże Biskup Warmiński. W r. 1795 mianowany był arcybiskupem Gnieźnieńskim, a w roku 1801 umarł w Berlinie, gdzie znaczną część życia przepędził.

Kazimiérz Brodziński.

6. Ignacy Krasicki w Skierniewicach.

Gdy Krasicki otrzymał arcy-biskupstwo Gnieźnieńskie, zamieszkał w Skierniewicach, mieście, które dawniéj do arcy-biskupów Gnieźnieńskich należało. Wspaniały pałac miłego udzielał mu schronienia, a obszerny ogród, rozszérzony i upiększony za naszych czasów, stał się ulubioném miejscem jego przechadzek.

Gdy raz, podług zwyczaju, przechadzając się po ogrodzie wieczorem, wstąpił na małe wzgórze, z którego odległe mógł widziéć okolice, ujrzał małego chłopczyka, na pochyłości wzgórza siedzącego, który na jednéj ręce wspiérał głowę, a w drugiéj trzymał książkę. Długie jasne włosy spadały mu w pierścieniach na ramiona i zakrywały twarz do połowy, tak, iż tylko widać było czarne oczki, które często wznosił do góry; niekiedy nawet wzdychał, a z całéj jego postawy widać było, że jest w jakimciś kłopocie. Krasicki zbliżył się ku niemu niepostrzeżony, chcąc się dowiedziéć, coby to był za filozof, na którego przypadkiem natrafił, i zapytał go :

— Co tu robisz, chłopcze?

Na takie zapytanie, chłopiec powstał nagle, ale zdumiony widokiem nieznanéj mu osoby, nic nie odpowiedział, a, po chwili zastanowienia, wpadł na domysł, że nieznajomy jest jednym z kanoników.

— Któż jesteś i czyim jesteś synem?—zapytał Krasicki.

A chłopczyk kłaniajac się nizko, odpowiedział nakoniec:

— Jestem synem mojego tatula, wielmożny kanoniku.

— Rozumiem, — rzekł Krasicki z uśmiechem, — lecz któż jest twoim ojcem?

— Mój ojciec jest tu ogrodnikiem i pozwolił mi przyjść się tutaj uczyć.

— Jeżeli tak, to dobrze,—rzekł łagodnie Krasicki. — I czegóż się uczysz?

— Czego? Ciężka nauka! wszakci to wokabuły, bo to jutro środa, a dwa razy na tydzień czeka nas taka biéda· Jabym wolał cztérech bajek uczyć się, niż dziesięciu wokabuł.

Rozśmiał się w duchu Krasicki, znalazłszy nowego prac swoich wielbiciela, chłopczyk zaś tak daléj mówił:

— Kto się zająknie trzy razy, ten dostanie ośle uszy.

— Ośle uszy! — przerwał Krasicki; — zgrozą byłoby zasłużyć na nie; wszakże, kiedy możesz nauczyć się bajek, łatwo spamiętasz kilkanaście wokabuł; a przytém, widzisz, mój chłopczyku, bajki to są tylko dla zabawki, a nauczywszy się wokabuł, będziesz potém umiał po łacinie i pójdziesz do wyższéj klasy.

Na te słowa chłopczyk, który dotąd stał z smutną minką, podniósł głowę; oczy zaiskrzyły mu się z radości; spojrzał na Krasickiego, jakby chciał z twarzy jego wyczytać, czy istotnie jest pewnym, że się tyle nauczyć można z łatwością, i chciał go utrzymać w pochlebném o sobie rozumieniu.

— A jużci, — rzecze, — nauczyć się ich, nauczę, bo cóż z tém robić?

Krasicki wdał się w dalszą rozmowę z tym chłopcem:

— Powiédzże mi jaką bajkę.

— A którą? — zapytał się chłopiec, — bo ich wiele umiem.

— Którą chcesz: ot! o małéj rybce i szczupaku.

Powiedział ją chłopczyk, a Krasicki zapytał go:

— Jakże ci się wydaje ta bajka?

— Nie wiem,—rzekł chłopczyk,—ale, jeżeli dobrze jest być małą rybką, to zapewne lepiéj być dorosłym człowiekiem, aniżeli małym chłopcem. I teraz nie musiałbym męczyć się nad temi wokabułami, a robiłbym, co mi się podoba.

— Nie wiész, co gadasz,—odpowiedział Krasicki. — Alboż ty myślisz teraz o czém? czyliż się turbujesz, co będziesz jadł, pił, w czém chodził? Pokażno książkę, dopomogę ci w nauczeniu się twoich wokabuł.

Usiadł przy nim Krasicki na ławce, przesłuchał go parę razy, zachęcił, zwrócił jego uwagę, a chłopiec sam się zadziwił, zobaczywszy, że tak prędko nauczył się zadania, nad którém się tak bardzo wprzódy męczył.

— Widzisz, chłopcze,- rzekł Krasicki,—że nie brakowało ci pamięci, ale dobréj woli.

Chłopiec, uradowany, podziękował mu za pomoc i radby już był popisywać się w szkole, wystawiając sobie, jakie za to otrzyma pochwały. Krasicki, zaleciwszy mu pilność i uwagę przy nauce, kazał nazajutrz przyjść do pałacu.

Po skończeniu lekcyj, które mu się nadzwyczaj powiodły, nie omieszkał przyjść na oznaczone miejsce. Rodzice, uwiadomieni od niego o rozmowie, jaką miał z jednym z kanoników w ogrodzie, domyślili się, kto był tym nieznajomym, nic jednak o tém nie powiedzieli chłopcu; lecz jakież było jego zadziwienie, gdy tego, jak mniemał, kanonika, z którym dniem piérwéj tak długo rozmawiał, ujrzał siedzącego na piérwszém miejscu, otoczonego licznym duchownym orszakiem. Pomięszany, nie zdołał słowa przemówić. Uprzedził go sam Krasicki, oznajmując, iż go bie-

rze pod swoję opiekę, byleby się szczérze do nauk przykładał. Uszczęśliwiony chłopczyk wszystko czynić przyobiecał; jakoż, w istocie, odpowiedział oczekiwaniu dobroczyńcy swego i zawsze błogosławił tę chwilę, która mu do chlubniejszych przeznaczeń otworzyła drogę.

Konstanty Gaszyński. 1829 r.

7. Fryderyk Wielki i Krasicki.

Fryderyk Wielki, król Pruski, lubił towarzystwo ludzi uczonych i dowcipnych. Gdy, bawiący u niego na dworze, sławny filozof i poeta Francuzki, Wolter, odjechał z powrotem do Francyi, Fryderyk zaprosił do Potsdamu Krasickiego, będącego naówczas biskupem Warmińskim.

Zdarzyło się raz, że Krasicki, w świetnym płaszczu biskupim, przyszedł do króla na wielką ucztę. Fryderyk, chcąc go, w obecności wielu gości, wprawić niespodzianie w ambaras, rzekł:

— Biskupie, jeżeli umrzemy razem, przyjmij mię pod swój płaszcz i wprowadź do nieba — bo ja mogę się tam dostać chyba tylko ukradkiem.

— Daruj, Najjaśniejszy Panie; nie mogę, — odrzekł na to Krasicki,—bo mi bardzo płaszcz mój okroić kazałeś.

Fryderyk zrozumiał, że ów płaszcz obcięty był przymówką do dochodów biskupa, zmniejszonych jeszcze przedtém z rozkazu króla. Roześmiał się więc z tak dowcipnéj odpowiedzi Krasickiego i przywrócił mu dawne jego dochody.

1857 r.

8. Stanisław Staszic.

Stanisław Staszic urodził się w mieście Pile w r. 1775 i, ukończywszy szkoły, poświęcił się stanowi duchownemu. Niezmordowaną pracą, oszczędnością, skąpstwem nawet dla siebie, zebrał ogromny majątek, ale, jak za życia używał go

na cele dobroczynne, tak przed śmiercią przeznaczył cały dla uszczęśliwienia tych, których los jego opiece powierzył. Możecie sobie wystawić, ile on zrobił dobrego, gdy wam wyliczę te tylko dobrodziejstwa, o jakich światu wiadomo. Tak: za życia, wystawił dla Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie gmach wspaniały; a w testamencie zapisał 200 tysięcy złotych na szpital Dzieciątka Jezus, drugie 200 tysięcy na założenie domu zarobkowego, 140 tysięcy na utrzymanie i pielęgnowanie chorych, pod dozorem profesorów i uczniów uniwersytetu Warszawskiego, 60 tysięcy na utrzymanie czwartego profesora w szkole powiatowéj w Hrubieszowie, 45 tysięcy na Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Ale co najważniejsza, dobra Hrubieszów, w których mieszkało 4 tysiące włościan, tymże włościanom swoim na wieczne czasy darował. Umarł dnia 21 Stycznia 1826 roku w Warszawie; pochowany na Bielanach.

Jan Papłoński. 1858 r.

9. Stanisław Trembecki.

Stanisław Trembecki *), głośny poeta za czasów króla Stanisława Augusta, przez lat trzydzieści, na rok przed śmiercią, nie jadał mięsa i nie pijał wina. Z tego powodu żartobliwie przezwany został Pytagorasem **), co raz było przyczyną następującego zabawnego wypadku. Stanisław August, jadąc do Petersburga, w Lutym 1797 roku, zatrzymał się w Wilnie, a chcąc widzieć Trembeckiego, zapytał się: „Gdzie jest nasz Pytagoras? Czy już tu przybył?“ Usłużni urzędnicy policyjni, w mniemaniu, że to jest rzeczywiste nazwisko jakiegoś dworzanina, należącego do orszaku króla, rozbiegli się natychmiast po mieście, ażeby go wyszukać, ale go nigdzie znaléźć nie mogli. Dopiéro potém dowiedzieli

*) Żył od roku 1722 do 1812. **). Pytagoras—sławny filozof i matematyk Grecki, urodzony około 584 roku przed Chrystusem.

się, o kogo król zapytywał i kogo tak nazywał, dla tego, że Trembecki, podobnie jak Pytagoras, mięsa nie jadał.

10. Kazimiérz Brodziński.

Brodziński był wzrostu średniego, szczupły, niewydatny, światły blondyn, oczu jasno-niebieskich, twarzy ściągłéj, bladéj, na któréj ani zdrowia, ani szczęścia, pomimo jakiéjś rzewnéj i tkliwéj łagodności, dostrzedz nie można było. Uśmiech miał dziwnie przyjemny; mało mówił, rzadko wpadał w zapał, od wszelkich dysput się usuwał, hucznych i świetnych towarzystw unikał, nowych znajomości zabiérać nie lubił. Nauki, mianowicie odpowiednie swemu zawodowi, posiadał w wysokim stopniu; znał język Łaciński, Włoski, Niemiecki i Francuzki, nie licząc własnego, nad którego gruntownem poznaniem całe życie pracował. Celniejsze téż dyjalekty Słowiańskie mniéj więcéj były mu znajome. Zawsze cichy i skromny, przechował do zgonu jednostajną duszy pogodę, bo téżto był prawdziwie bogobojny i głęboko religijny człowiek. Jeżeli miał jaką słabość, to chyba tę, iż zbytecznie łatwy, ufny i dobrowolny, często dobroci swojéj nadużywać pozwalał. Obyczajów był czystych: żadna namiętność, prócz chyba zbytniego, z ujmą zdrowia, zamiłowania do nauk, nie zamąciła jego prostego, zawsze umiarkowanego życia. Mając wieku lat 34, zawarł w roku 1825 związek małżeński, z którego zostawił córkę Karolinę. Oddawnego czasu, a zwłaszcza na kilka lat przed śmiercią, pomimo szczęśliwego z żoną pożycia, pomimo szacunku ziomków, tajemny, coraz większy udręczał go smutek, co może w nim przyśpieszyło rozwinięcie się choroby piersiowéj. Dnia 10 Października 1835 roku zakończył dni, pełne zasług i poczciwie nabytéj sławy.

Dominik Chodźko. 1844 r.

11. Jan Paweł Woronicz.

Niedaleko Warszawy jest wioska, zwana Powsin, należąca do obszernych dóbr Wilanowskich. Ma ona ze 20 chat wiejskich, folwark dworski i kościół parafijalny. Za czasów gdy w Warszawie rządzili Prusacy, proboszczem w Powsinie był ksiądz Paweł Woronicz. Byłto człowiek uczony, zacny, pobożny, a nadto jeszcze znakomity poeta. Nie lubił zabaw, ani głośnych towarzystw, ale za to najgorliwiéj zajmował się swojemi parafijanami, a mianowicie włościanami. Chodził od chaty do chaty, zachęcał do pracy, do rządności i ładu—urządził szkółkę w plebanii dla dzieci wiejskich, nauczanie w któréj poruczył organiście. Sam prawie codzień przychodził do szkółki, doglądał nauki, a pilnym dziatkom przynosił za nagrodę obrazki świętych i drukowane nabożne piosenki, albo moralne bajeczki. Wszyscy go téż kochali i szanowali, jak ojca.

Folwarkiem Powsińskim zarządzał wtedy Ignacy Łanowski, dawny żołniérz. Ożenił się mając lat 46, i żył z żoną bogobojnie i przykładnie. Był to człowiek nieposzlakowanéj uczciwości, z prostym zdrowym rozsądkiem. Znał się na hodowaniu i szczepieniu drzew i na pszczołach, a to właśnie zrządziło, że go bardzo polubił ksiądz Woronicz, któremu dopomagał do założenia na probostwie ogrodu i pasieki. Zacny kapłan często przychodził do mieszkania Łanowskich; szczególniéj polubił Stacha, starszego z dwojga ich dzieci. Chłopak skończył już rok dziesiąty—codzień przybiegał na probostwo, a nasz wielki kaznodzieja, poeta i uczony, chętnie i z przyjemnością, przez godzinę, a czasem i dłużéj, uczył go czytania i rachunków. Ksiądz Woronicz darował Stasiowi piękną książeczkę, z obrazkami kolorowanemi, którą właśnie wtedy wydrukowano. Były w niéj ciekawe powieści i opisy. Staś pragnął jak najprędzéj przeczytać ją, a potém opowiedzieć swojéj młodszéj siostrze, Maryni.

Łanowscy zajmowali w dworku dwie izby po jednéj stronie i alkierzyk. Na drugiéj stronie była izba czeladna,

a za nią komora, do któréj jedyne wejście było przez alkiérz, bo drugie drzwi, wychodzące na ogród, oddawna zaryglowano i zabito gwoździami. W piérwszéj izbie, którą zajmował sam Łanowski, był stół do pisania, szafa z papiérami, łóżko, kilka krzeseł, zwierciadło i stolik. W drugiéj izbie, mniejszéj, sypiała pani Łanowska z Marynią, a w alkiérzu, stało łóżko Stacha.

Dawnym obyczajem, wszyscy w domu Łanowskich szli spać bardzo wcześnie, a wstawali o świcie. Było to w kilka dni po świętym Wojciechu, kiedy Stach dostał owę książeczkę w podarunku od księdza Woronicza. Zaciekawiony, dopuścił się piérwszy raz w życiu swojém winy nieposłuszeństwa. Wiedząc, że mu rodzice nie dadzą świécy do czytania, porwał nieznacznie lichtarz ze świécą, próchno, krzemień, krzesiwko i siarniczkę, bo wtedy nie robiono jeszcze zapałek chemicznych, a posiedziawszy przez chwilę w ciemności, gdy już miarkował, że matka zasnęła, skrzesał ogień, zapalił świécę i, postawiwszy ją na łóżku przy sobie, czytać zaczął. Ale go sen owładnął, oczy mu się skléiły, książka wypadła mu z ręki i sam nie wiedział kiedy zasnął, nie zgasiwszy świécy, która przy nim stała zapalona na łóżku. Ma się rozumiéć, że za piérwszem poruszeniem się biédnego chłopca, przewrócił się lichtarz i zajęła się kołdra wełniana, którą był Stach okryty. Wełna nie pali się tak prędko, jak płótno, a przytém była w tém wola i łaska Boża, że ogień posunął się ku nogom, przepalił kołdrę i śpiącego sparzył. Bólem obudzony Stach zerwał się, a widząc ogień wokoło siebie, z krzykiem wyskoczył z łóżka, wpadł do komory i drzwi zatrzasnęły się za nim.

Ludzie wiejscy, po całodziennéj pracy na świéżém powietrzu, spią mocno, więc téż i pani Łanowska, napracowawszy się w ogrodzie przy sadzeniu warzywa, nie usłyszała krzyku Stacha i dopiéro wtedy zbudziła się, kiedy płomień i dym buchał do izby. Porwała Marynię, wybiegła do męża, zbudziła go i oboje uciekli na dwór, wołając ratunku.

Za chwilę cały dom był w ogniu. Przybiegło kilku ludzi na pomoc, ale cóż mogli poradzić? Najtrudniéj przychodzi zerwać się ludziom z piérwszego snu przed północą; dla tego téż nie wielu włościan zebrało się w piérwszéj chwili.

— Gdzie jest, Stach? gdzie mój syn?—zawołała matka, postrzegając, że go nié ma i tylko Marynia, drżąca od zimna i strachu, tuli się do niéj.

Wszyscy struchleli i spojrzeli wokoło: Stacha nie było.

— Ach! on został w płomieniach, o! Boże!—zawołała nieszczęśliwa matka i padła bez zmysłów.

W téj chwili uderzono w dzwon kościelny i ksiądz Woronicz nadbiegł ze swoją czeladzią; dwóch z nich miało bosaki, a dwóch siekiery.

Znać, było takie rozrządzenie Boże, iż czcigodny kapłan siedział w swoim gabinecie i, wśród ciszy i samotności, pracował nad pieśniami, któremi wiecznotrwałą sławę zyskał w narodzie.... kiedy nagle uderzyło go nadzwyczajne światło, bijące od zabudowań dworskich. Poznał, że to pożar; zarzucił na siebie sutannę, zbudził służących i pośpieszył z pomocą.

Ratujcie! ratujcie! kto w Boga wierzy! — wołał Łanowski.—Mój Stasio został w palącym się domu! — Lecz wszyscy tak byli zmieszani i przerażeni, iż nikt nie wiedział, co robić, a płomień tymczasem ogarnął dach cały.

Na szczęście noc była spokojna zupełnie; płomień wzniósł się w górę, lecz ani żagwie, ani iskry nie leciały na sąsiednie budowle.

W téj chwili nadbiegł proboszcz, a widząc przerażenie i bezprzytomność wszystkich, krzyknął:

— Bracia! uklęknijmy, odmówmy modlitwę Pańską? — i natychmiast szybkim, ale wyraźnym głosem odmówił Ojcze-nasz, przyklękłszy razem ze wszystkiemi. Ta

chwila zastanowienia się i zebrania myśli przywróciła porządek i wszyscy wzięli się do ratunku.

— Gdzie Staś?—zawołał ksiądz Woronicz.

— Płomień zagarnął go w alkowie i może już nie żyje,—rzekł Łanowski, załamując ręce z rozpaczą.

Natychmiast proboszcz, z trzema swojemi ludźmi, pośpieszył na drugą stronę domu, a przyszedłszy do zabitych drzwi od komory, usłyszał jakiś słaby pisk, odzywający się wewnątrz.

— On jeszcze żyje! on tam! słuchacie! ratujmy go!— krzyknął. Ale dom cały już stał w ogniu. Dach mógł zarwać się co chwila i palącemi się krokwiami przywalić ratujących. Najśmielsi wahali się. Wtedy szanowny kapłan, uczyniwszy znak krzyża świętego i zawoławszy: „Boże! pod Twoję obronę!“ porwał siekierę z ręki parobka, nieustraszony podstąpił pod ścianę, i zaczął odrąbywać drzwi zaparte. Wierny i przywiązany jego sługa, zagrzany przykładem pana, rąbał z nim razem. Po kilku silnych uderzeniach, drzwi pękły i upadły na ziemię; ksiądz Woronicz wbiegł do komory napełnionéj dymem, i, wraz ze sługą, schwycili omdlałego Stacha i wynieśli go na dwór. Tylko co dokonał tego czynu, dach załamał się z łoskotem i cały dom zamienił się w jeden stos ognisty.

— Wody zimnéj! — zawołał na obecnych,—a gdy ją niezwłocznie przynieśli, oblał nią twarz i piersi omdlałego chłopca, kazał go zanieść do najbliższego domostwa, a tam rozciérać i cucić.

Matka, odzyskawszy przytomność, pobiegła za synem. Łanowski, pamiętając na obowiązki swoje, został przy ogniu i czuwał, żeby pożar nie ogarnął zabudowań dworskich.

Więcéj, niż przez godzinę, daremne czynili usiłowania; już myśleli, że biédne dziecko udusiło się dymem i żarem, lecz nareszcie Bóg ulitował się nad biédną matką i wynagrodził męztwo i poświęcenie zacnego kapłana. Stach dał znak życia i wkrótce przyszedł do zmysłów.

I w rzeczy saméj, szczególném tylko zrządzeniem Boskiém, chłopiec ten uniknął niechybnéj śmierci.

W komorze stała wysoka skrzynia, napełniona mąką i kaszą, a dla ochrony od wilgoci, była trochę odsunięta od ściany zewnętrznéj. Stach wcisnął się między tę skrzynię a ścianę, gdzie były owe drzwi zabite, i tym sposobem mniéj ucierpiał od dymu, który wydobywał się okienkiem, zrobioném w górze—i od żaru. Po wyrąbaniu drzwi, zaraz go spostrzegł jego zbawca i omdlałego wyciągnął na świéże powietrze.

Chłopak chorował przez kilka dni; lekarz, sprowadzony z Warszawy, zapobiegł grożącemu zapaleniu płuc i mózgu, a w dwa tygodnie już ani śladu choroby na nim nie było.

— Widzisz, chłopcze — rzekł wtedy do niego ksiądz Woronicz, — jakie to skutki nieposłuszeństwo rodzicom i rządzenie się waszą wolą dziecinną prowadzi za sobą. Kazali ci pójść spać, a ty, tak mały i jeszcze nierozumny chłopiec, porwałeś ukradkiem świécę, a nie umiejąc obchodzić się z ogniem, zapaliłeś dom, nabawiłeś ciężkiéj straty ojca i matkę—i sam o mało nie spłonąłeś żywcem. Naucz się własną szkodą, że starszych trzeba słuchać, bo ich rozkazy idą zawsze na wasz pożytek i dobro.

Państwo Potoccy, dziedzice Wilanowa, uwiadomieni o tym wypadku, przyjechali nazajutrz odwiédzić swego czcigodnego proboszcza, który, ze wzruszenia i przeziębienia w owéj nocy, był trochę słaby. Zawołali Łanowskiego, uspokoili go, oświadczając, że nie obwiniają go o zdarzoną szkodę, i dali mu sześćset złotych na sprawienie najpotrzebniejszych sprzętów i bielizny; nic bowiem nie wyratował z ognia i został w tém tylko, co na siebie w pośpiechu zdołał zarzucić.

Taka jest natura nasza, że, im więcéj dobrego świadczymy komu, tém więcéj przywiązujemy się do niego. Ksiądz Woronicz jeszcze bardziéj polubił Stasia, od chwili,

gdy go ocalił z narażeniem swojego życia. Chłopiec uczył się coraz chętniéj i gorliwiéj; wziął go więc jego zacny dobroczyńca zupełnie na swoję opiekę, oddał go do szkół publicznych w Warszawie i umieścił na stancyi u ludzi porządnych, którzy nad jego sprawowaniem się baczny mieli nadzór.

Fran. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

12. Ludwik Dmuszewski.

Przed siedemnastu, czy osiemnastu laty, Ludwik Dmuszewski siedział w swoim gabinecie, porządkując materyjały do Kuryjera Warszawskiego, gdy wszedł dyspozytor drukarni, z oznajmieniem, że jakiś młody rzemieślnik chce się z samym panem redaktorem widzieć. Pan Ludwik kazał go przywołać.

Przybyły mógł miéć lat około dwudziestu; ubrany był w granatowy szpencer, dobrze już podszarzany, twarz miał ogorzałą od dymu, a ręce czarne, zapracowane.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. A co mi powiész, mój chłopcze?— zapytał łagodnie pan Ludwik.

— Z przeproszeniem, czy to jegomość sam majster od Kuryjera?

Uśmiéchnął się poważny czcigodny wydawca i odrzekł:

— Tak, moje dziecko, ja nim jestem; a na cóż ci ten majster od Kuryjera potrzebny?

— Ej, bo widzi jegomość, ja siła o nim słyszałem, że on człowiek miłosierny i nad biédnemi ma zlitowanie.

— Nie zawsze, — odrzekł wesoło pan Ludwik i dodał: — Ale o cóż to chodzi?

— Nie o mało, bo ja przyszedłem prosić jegomości, żeby mi pożyczył sto złotych.

— Sto złotych, a to na co?

— Ej, wieleby o tém gadać, a jegomość by nie uwierzył i jeszcze by się naśmiał. Ot, ja jegomości powiém, że,

dalibóg, jak Matkę Boską Częstochowską kocham, tak za sześć lat oddam jegomości piéniądze co do grosika i jeszcze do nóg upadnę za łaskę.

— Cóżeś ty za jeden?

— Chłopiec kowalski, proszę jegomości. Jestem u kowala Jankowskiego na Chłodnéj ulicy; może się jegomość o mnie dowiedzieć.

— Przyjdźże jutro; ja wprzódy każę się o ciebie zapytać.

— Jutro! to już ja dziękuję jegomości za łaskę; do jutra inaczéj sobie poradzę.

— Jak naprzykład?

— Ej, co tam gadać! dość, że poradzę; trudno ręce opuścić, kiedy potrzeba.

Pan Dmuszewski popatrzył uważnie na ogorzałą twarz chłopca. Co tam dojrzał, nie wiémy; dość, że odsunął szufladkę biurka i wyliczył na stole piętnaście rubli srébrnych. Chłopcu z radości łzy się zakręciły w oczach, zagarnął piéniądze do kaléty, ujął za kolana dobroczyńcę i znów po małéj chwili pan Ludwik porządkował daléj materyjały do Kuryjera.

Czy zasięgał wiadomości o swoim dłużniku u kowala Jankowskiego, mieszkającego na Chłodnéj ulicy, w domu, który teraz zowią: „Pod zégarem,“ nie wiémy; dość, że lata mijały, jak zwykle, a pan Dmuszewski ani razu nie wspomniał o chłopcu od kowala.

W sześć lat, nasz redaktor zajmował się znów w swoim gabinecie taką samą czynnością, gdy już bez meldowania wszedł jakiś jegomość, w długim, czarnym, porządnym surducie, w cienkiéj bieliźnie, i, nie czekając zapytania, ujął go za kolana.

— A co mi pan powié?—rzekł, usuwając się w głąb fotelu.

— Cóż to? jegomość nie poznał swego dłużnika, chłopaka od kowala Jankowskiego?

— A! to ty!—rzekł pan Ludwik, z twarzą uradowa-

ną, pewnie nie dlatego, że odzyskał swoje sto złotych, ale że spotkał taką uczciwość w człowieku prostym, nieoświeconym.

Gdy dłużnik odliczył znów na tym samym stole piętnaście nowych srébrnych rubli, pan Dmuszewski zapytał:

— Powiédzże mi teraz, mój kochany, na co ci te piéniądze wtenczas tak pilno były potrzebne?

— Widzi bo jegomość, że ja wtenczas byłem bardzo biédny, siérota bez ojca i matki, a nawet i krewnych, ot na łasce kowala, u którego, za kawałek chleba i starą odzież, terminowałem. W tym samym domu była w służbie u jednéj wdowy dziewczyna, także siérota po żołnierzu. Ja ją lubiłem, bo to była uczciwa i ślicznie wyśpiéwywała wiejskie piosenki. Trafiło się nieszczęście, że téj pani, u któréj służyła, zginęło cztéry srébrnych łyżek i daléj w posądzenie na nią. Nieboga płakała serdecznemi łzami, wywoływała z grobu ojca i matkę, ale nic nie pomogło. Zawzięta pani powiedziała, że, jeżeli nie zapłaci jéj zaraz sto złotych, to odda ją na ratusz. Myślałem, że biédna zemrze z żałości; nie spała, nie jadła, tylko przemyśliwała nad swoją dolą. Żal mi się jéj zrobiło, a nie miałem sam ani szeląga przy duszy. Ej, trzeba ją ratować, pomyślałem sobie i poszedłem do jegomości, bo wiedziałem, że jegomość ma nad biédnemi zlitowanie.

— I jakże ci się wywdzięczyła za ten ratunek?

— Czekała na mnie, dopóki nie wygrzebałem się na ludzi. Termin za pięć lat się skończył, zostałem piérwszym czeladnikiem i niedawno się z nią ożeniłem.

Pan Ludwik schował piéniądze do téj saméj szufladki, z któréj przed sześcioma laty wyszły, i coś sobie zanotował na karteczce. Nie wyszło i pół roku, a ów czeladnik kowalski założył sobie warsztat na swoję rękę przy ulicy Orléj; roboty miał poddostatkiem, że czasem nie mógł wydążyć. Ludzie mówili, że w tém wszystkiém dopomagał mu bardzo ów pan majster od Kuryjera. Może mówili prawdę, bo pan Ludwik lubił takie ciche sprawki płatać, ale dowodnie nikt się o tém nie przekonał.

Około roku 1847, kowal, uzbiérawszy sporo grosza, zatęsknił do stron rodzinnych i przeniósł się do niewielkiego miasteczka w Podlaskiém. Jak mu tam idzie, nie wiémy, dość, że byt swój winien jednemu szlachetnemu uczynkowi.

Gr. K. 1854 r.

13. Śmierć Addisona.

Addison, jeden z najlepszych pisarzy Angielskich *), był przytém człowiekiem bardzo cnotliwym i pobożnym. Kiedy po życiu, pełném pracy i sławy, czuł, że już nadchodzi jego ostatnia godzina, a przejęty nadzieją, oczekiwał spokojnie téj chwili, kazał do siebie przywołać młodzieńca, którego losem się zajmował. Ten młodzieniec nie bardzo dobrze sobie postępował: był leniwy, zuchwały, płochy, a nic nie obiecywało, ażeby w dalszém życiu miał być cnotliwym i użytecznym człowiekiem. „Zbliż się do mnie,“ powiedział mu słabym głosem Addison; „siądź i patrz, z jaką spokojnością umiéra człowiek, który starał się żyć dobrze.“ Młodzieniec usłuchał, nie opuścił opiekuna do ostatniéj chwili, a piękna śmierć tego męża takie uczyniła na nim wrażenie, że odtąd zupełnie inne życie wieść zaczął.

Stanisław Jachowicz.

14. Łagodność Newtona.

Newton **) był wielkim flegmatykiem; zalecała go szczególniéj łagodność charakteru, nie zmącona żadną namiętnością. Miał on psa, którego nazywał Fryponem. Pewnego dnia wyszedł, zostawiwszy psa samego w gabinecie, a za powrotem spostrzegł dopalające się papiéry. Pies bowiem, zamknięty, obalił stoliczek, a dzieło matematyczne,

*) Józef Addison urodził się r. 1672, umarł r. 1719. **) Izaak Newton (wymawia się Niutten), sławny matematyk, urodził się w r. 1642, umarł w r. 1727.

nad którego napisaniem Newton znaczny przeciąg czasu strawił, wydał na pastwę płomieni. Strata była nie wynagrodzona, albowiem Newton był już wtedy zgrzybiałym starcem. Z tém wszystkiém nie pokazał po sobie najmniejszego znaku gniéwu, rzekł tylko: „Oj! Fryponie, ani wiész, jakąś mi szkodę wyrządził.“

15. Otwartość Malerba.

Francuzki poeta Malherbes *) wracał raz wieczorem do domu z latarką. Wtém spotkał jednego z ówczesnych dowcipnisiów, który go zatrzymał i zaczął mu opowiadać rzeczy małéj wagi. Przez jakiś czas słuchał go znudzony Malherbes z grzecznością, lecz wkońcu, nie mogąc dłużéj wytrzymać, rzekł do niego z gniéwem: „Żegnam pana; to, co mi powiedziałeś, nie warto szeląga, a ja niepotrzebnie wypaliłem świéczkę za 5 groszy.“

IV. HISTORYJA.

A). OBRAZKI, OPOWIADANIA I ANEKDOTY HISTORYCZNE.

1. Solon i Krezus.

Gdy Solon **) przybył do Sardes, miasta stołecznego Lidyi ***), Krezus, król tamtejszy, monarcha bogactwy znamienity, przyjął go z wielką czcią i, ażeby mu dał poznać wspaniałość i dostatki, któremi wszystkich innych przewyższał, kazał mu pokazać skarby, w osobnych gmachach złożone. Gdy już Solon wszystkie obejrzał, zapytał go

*) Wymawia się Malerb; żył od r. 1555—1628. **) Solon—mędrzec i prawodawca Grecki; żył około roku 594 przed Chrystusem. ***) Lidyja był kraj w Małéj-Azyi, dzisiejszéj Turcyi Azyjatyckiéj.

Krezus, czy zna kogo, któryby szczęśliwszym był od niego.

— Znałem, — rzekł Solon, — i tym był niejaki obywatel w Atenach, zwany Tellus: cnotlitwe on życie wiódł, podobne sobie dzieci zostawił, potrzeby żadnéj nie znał, życie nakoniec za kraj położył.

— A po nim, — rzekł zdziwiony Krezus, — kogobyś najszczęśliwszym osądził?

— Znałem,—rzekł Solon,—dwóch braci; nazwiska ich były Kleobis i Biton. Ci dla wszystkich byli przykładem braterskiéj zobopólnéj miłości, matkę zaś własną tak kochali, iż, gdy raz miała czynić ofiarę na cześć Junony *), a koni na pogotowiu do powozu nie było, sami się wprzęgli i zaciągnęli ją do miejsca ofiary... a gdy ta prosiła o nagrodę tak rzadkiéj cnoty, obadwaj przeszli z tego życia do innego po nagrodę.

Rozgniéwany takowemi odpowiedziami Krezus, przyzwyczajony do pochlebstwa, rzekł z zapalczywością:

— A mnie to nie masz za szczęśliwego?

— Królu Lidyi,—rzekł na to Solon, — ten tylko zdaje mi się być szczęśliwym, któremu los do zgonu życia dobre powodzenie zdarzył; ten zaś, co żyje, płynie w słabéj łódce, wśród skał na morzu burzliwém, zawsze trwożny, czy lądu dojdzie.

Słowa te przeraziły Krezusa i zasmuciły, ale się w dumie swojéj jednakowo nie poprawił.

Nastała wkrótce potém wyprawa Cyrusa **) przeciw tamtejszym narodom. Krezus, zwyciężony, w niewolę się dostał, a gdy po wzięciu stolicy, miał być na stosie spalony, przypomniał sobie owę rozmowę i zawołał wielkim głosem: „O! Solonie, Solonie, Solonie!“ Słysząc to, Cyrus, kazał go spytać, co by to było za bóstwo ten Solon, którego on pomocy wzywał.

*) Junona — najwyższa bogini starożytnych Greków i Rzymian. **) Cyrus, król Perski, panował od 560 do 529 przed Chrystusem.

— Człowiek to był i mędrzec Grecki,—odpowiedział pytającemu Krezus;—widział moje skarby, świadkiem był mojéj mocy i wspaniałości, nie wielbił mię jednak, ani nad innych ludzi wynosił, ale kazał mi się oglądać na koniec życia, w którym, widzę teraz, jak czcze i nie trwałe było to wszystko, na czém swoję szczęśliwość zasadzałem.

Zastanowił się nad taką odpowiedzią Cyrus, a czując prawdę zdania Solonowego, więźnia natychmiast życiem i wolnością udarował i do śmierci potém przy sobie z wszelką czcią utrzymywał.

Stało się więc, iż Solon, jedném słowem, zachował Krezusa przy życiu, Cyrusa przy cnocie.

Ignacy Krasicki.

2. Dyjogenes.

Dyjogenes *) urodził się w mieście Synopie, w Paflagonii **). Oskarżony, jakoby z ojcem monetę fałszował, musiał uciekać z kraju i przybył do Aten. Tam, nie mając od nikogo pomocy, żył bardzo biédnie. Spostrzegł raz myszkę, igrającą swobodnie, bez kłopotu, gdzie nocleg i strawę znajdzie; za jéj przykładem pójść umyślił i postanowił zmniejszyć, ile możności, swoje potrzeby. Podszył więc płaszcz, aby mu za posłanie i nakrycie mógł służyć; kij, torbę i czarę jedynemi swemi sprzętami uczynił i cały ten dobytek zawsze nosił. Chodził boso, bez sandałów, nawet w czasie, gdy śnieg okrywał ziemię. Prosił raz jednego ze znajomych, ażeby mu pozwolił małego kącika w swém mieszkaniu; gdy ten zwłóczył z odpowiedzią, wziął beczkę, toczył ją przed sobą i już odtąd służyła mu za mieszkanie. W największe upały tarzał się w gorącym piasku; w zimie obejmował posągi, śniegiem okryte, ażeby się przyzwyczaić do zimna

*) Żył za czasów Aleksandra Wielkiego. **) Paflagonija był to kraj w Małéj-Azyi, wzdłuż brzegu morza Czarnego.

i gorąca. Gdy raz, przechadzając się, obaczył dziécię, pijące wodę z dłoni... „Co!“ zawołał zawstydzony, „dziécię ma lepiéj wiedzieć odemnie, bez czego obéjść się można?“ i wyjąwszy czarę z torby, rzucił ją o ziemię, jako sprzęt niepotrzebny.

Jednego dnia mówił w przedmiocie bardzo poważnym; każdy go mijał, a nikt nie słuchał. Zaczął więc śpiéwać, a natychmiast mnóstwo ludzi się zbiegło. Strofował ich mocno za tę pogardę rzeczy ważnych, a zamiłowanie — próżnych.

Ganił muzykantów, że nastrajali muzyczne narzędzia, nie myśląc o przyzwoitém nastrojeniu własnych umysłów. Strofował matematyków, że patrzą na słońce, księżyc i gwiazdy, a nie widzą tego, co na ziemi się dzieje. Gniéwał się na mówców, że więcéj myślą o tém, jak dobrze mówić, aniżeli,—jak dobrze czynić. Nareszcie mawiał, że we wszystkich względach każdy chce być piérwszym, tylko na drodze cnoty nikt o ten zaszczyt się nie dobija.

Jeden człowiek niegodziwy na drzwiach domu swego napisać kazał: „Niech nic złego tędy nie wejdzie.“—A którędy pan wchodzi? — zapytał się Dyjogenes.

Platon określił człowieka temi słowy: „jest to zwiérzę o dwóch nogach, bez piór.“ Dyjogenes oskubał koguta, skrył go pod płaszcz i poszedł do akademii, gdzie Platon nauczał. Tam, stanąwszy w pośrodku szkoły, zawołał, rzucając koguta na ziemię: „Oto człowiek Platona.“

Zobaczywszy człowieka złéj sławy, myjącego się w wodzie, rzekł: „Nic ci to nie pomoże, dopóki się z występków nie oczyścisz.“

Gdy raz przechodził marnotrawca, Dyjogenes prosił go o sztukę złota. „Dla czego,“ zawołał tamten „od drugich obola tylko żądasz, a odemnie tyle?“. „Bo tamci mi nie raz jeszcze dadzą, ale ty podobno już nigdy.“

3. Bolesław Krzywousty.

Piękny przykład miłości ku rodzicom zostawił nam król Bolesław III, zwany Krzywoustym *). Przez pięć lat po śmierci ojca swego, Władysława Hermana, w żałobie chodził, wizerunek jego zawsze na piersiach nosił, a gdy na niego spojrzał, zwykle mawiał: „O! niech mię Bóg zachowa, ażebym co niegodnego błogosławionéj pamięci ojca popełnił.“

1837 r.

Bolesław ojca swego bardzo kochał, a nawet po śmierci wolę jego szanował. Zawsze nosił na piersiach swoich złoty medalijon, na którym był z jednéj strony wizerunek ojca, a na drugiéj stronie przestrogi ojcowskie następujące:

„Mowa twoja, wprzód, nim z ust wyjdzie, patrz, aby była przyzwoitą i uczciwą; ojciec bowiem ją słyszy.

„Uczynki twoje niechaj mają woń sprawiedliwości i prawdy, bo ojciec je widzi.

„Niech wszystkie drogi królewskie sprawiedliwością się rządzą.

„Cokolwiek myślisz, lub czynisz, bądź mądrym, szanując obecnego Boga i rodzica.“

Król ten umarł w Płocku, ówczesnéj stolicy Mazowsza; prochy jego spoczywają w tamtejszéj katedrze, obok prochów ojca jego, Władysława Hermana.

Ewaryst Estkowski. 1853 r.

---

*) Panował od r. 1102 do 1139.

4. Trzebnica.

Henryk, zwany Brodatym *), książę na Wrocławiu i Lignicy, wystawiwszy z natchnienia żony swéj, świętéj Jadwigi, klasztor w Szląsku i uposażywszy go bogato, sprowadził doń zakonnice z Bamberga—a kiedy, oddając klasztor, zaopatrzony we wszystko, ksieni Petrucyi, zapytał, czyliby jeszcze czego nie brakowało, ta odpowiedziała z niemiecka: „Trzeba nic.“ Przytomni temu dworzanie śmiać się poczęli, książę zaś, który się biédził z wyszukaniem nazwy dla téj nowéj osady, pochwycił słowa ksieni i nadał klasztorowi nazwę Trzebanic. Ta, późniéj w wymawianiu na Trzebnic zmieniona, dostała się i miasteczku, w którém klasztor się mieści.

1857 r.

5. Swięta Kunegunda.

Żyła w Węgrzech święta dziewica, córka króla Beli; zwała się Kunegunda. Prosta była w swych obyczajach i nie poznałbyś jéj, że była królewną, tylko po tém, że czyniła ludziom więcéj dobrego, niżby kto inny mógł uczynić. Kochał ją ojciec wielce, więc u niego upraszała wszystko, czémby mogła poddanym jego przyjść w pomoc.

Najmilszém było jéj zatrudnieniem zaglądać do chat nędzarzy, odwiédzać chorych, pielęgnować ich w nieszczęściu, pocieszać w strapieniu, a szczególniéj serca ich podno-

---

*) Henryk Brodaty umarł w r. 1238.

sić modlitwą do Boga. Więc błogosławili ją ludzie; sława jéj cnót rozeszła się daleko; w kraju, po za krajem, mówiono o świętéj dziewicy na Węgrzech. Posłyszał o niéj Bolesław *), książę Polski, posłyszeli biskupi i pomyśleli, jakby to dobrze było, gdyby taka niewiasta była naszą królową. A że Bolesław był młody i nieżonaty, więc prosił króla Belę o rękę jego córki.

Kunegunda, która wiedziała, że w każdém miejscu jest pole czynienia dobrze, bo w każdém miejscu płyną głośno, albo cicho łzy... bez wahania przystała **). Dzień przyjazdu jéj do Polski był dla wszystkich dniem radości. Żywot jéj stał się dla narodu pociechą, dla męża osłodą, dla historyi i kościoła zaszczytem. Potrzebna zaś była jéj pomoc, bo ciężkie dnie przyszły na kraj i wiele łez było do osuszenia; a kiedy męża swego przeżyła i w klasztorze święty zakończyła żywot, policzono ją w poczet błogosławionych.

Bronisława Kamińska. 1851 r.

6. Chrześniak królewski.

Słońce już zaszło; ludzie z pola powracali i ku spoczynkowi się mieli; gwar we wsi ustawał—gdy jakiś podróżny, obdarty, nędzny i bardzo znużony, szedł przez wieś. Że było późno, chodził od chaty do chaty, sztukał od okna do okna, ode drzwi do drzwi, prosząc o przytułek na noc... ale gdzie tylko zapukał, a gospodarz wyjrzał oknem i zobaczył biédaka w obdartéj odzieży, odpowiadał mu: „Nié ma u nas miejsca, przyjacielu; niech was Pan Bóg gdzieindziéj prowadzi.“

*) Bolesław V, zwany Wstydliwym, który panował od roku 1227 do 1279.
**) Małżeństwo to przyszło do skutku w roku 1239.

Rozżalony nieczułością ludzką, podróżny chciał już ze wsi wychodzić, chociaż ciemna noc zaszła, kiedy ujrzał na końcu wsi domek, w którym się jeszcze świéciło, a w którym nie był. Była to najlichsza we wsi chatka. Zbliżył się do niéj i zapukał lekko do drzwi. Wyszedł ubogi wieśniak z izby i rzekł: „Czegóżto potrzebujecie, mój przyjacielu?“

„Umiéram prawie z głodu i utrudzenia,“ odpowiedział podróżny; czybyście mię, mój miły człowieku, nie chcieli przyjąć na noc?“

„Żałuję was,“ odrzekł wieśniak, wprowadzając strudzonego podróżnego do izby; „bardzo wam tu będzie niewygodnie, lecz w chałupie nie będziecie przynajmniéj zięble i zjécie z nami, co Bóg dał.“

Podróżny uścisnął rękę gościnnemu gospodarzowi i rzekł: „Niech wam to Bóg wynagrodzi, dobry przyjacielu, że ubogiego nie oddalacie od swego domu i dajecie mu przytułek, gdy się nié ma gdzie schronić. Chodziłem ja od chaty do chaty, prosząc o zmiłowanie się, ale wszędzie zamknęli drzwi przede mną.“

Wieśniak wprowadził podróżnego do izby, gdzie było siedmioro dzieci. Potém wyszedł, a po chwili przyniósł grubego chleba i miodu i rzekł: „Oto wszystko co mamy w domu; posilcie się z mojemi starszemi dziećmi, a ja tymczasem pójdę do żony.“

Po tych słowach poszedł kmiotek do komory, a w godzinę wrócił uradowany, niosąc nowonarodzone dziécię na ręku, by je pokazać podróżnemu. „Oto ósme,“ rzekł, „niech je Bóg chowa tak zdrowo, jak tamte.“ Podróżny cieszył się razem z ojcem, wziął dziecko na rękę i rzekł: „Wierzcie mi, gospodarzu, to nowonarodzone dziécię wniesie w dom wasz szczęście i dostatek.“

Wieśniak uśmiéchnął się na to, odebrał dzieciątko od podróżnego i zaniósł je do matki; potém wrócił z komory,

przyniósł słomy do izby, zrobił posłanie na ziemi i prosił podróżnego, aby się spać położył i po podróży odpoczął.

Skoro zaświtało, wieśniak się obudził. Podróżny wstał także, zjadł ubogie śniadanie, a żegnając się z cnotliwym wieśniakiem, tak rzekł do niego:

„Miły przyjacielu, powracam ja do miasta; znam tam pewnego dobrego człowieka; powiém mu o was, a pewny jestem, że go zaraz namówię, aby wam trzymał do chrztu to nowonarodzone dziéciątko.“

„Niech wam Pan Bóg wynagrodzi waszę dobrą chęć,“ odpowiedział kmiotek, „ale któżby tam z miasta chciał przyjść do mojéj nędznéj chaty?“

„Wstrzymajcie się z chrztem, gospodarzu, tylko do południa, a ja wam ręczę, że ojciec chrzestny przybędzie.“

Wieśniak przyrzekł, że poczeka; tymczasem uprzątnął izbę i przywdział najlepsze swoje odzienie. Już jednak nadeszło południe, a chrzestnego z miasta, jak nie widać, tak nie widać; zwątpił więc, czy kto z miasta przybędzie i zaczął się wybiérać z dziecięciem do kościoła. Wtém dał się słyszéć przez wieś tentent koni i turkot powozów. Wieśniak wyjrzał okienkiem i spostrzegł pełno wspaniałych powozów i ludzi bogato ubranych. Nagle wszyscy zajechali przed jego chatkę. Wieśniak nie mógł pojąć, coby to znaczyło; wyszedł więc z izby i patrzał, co będzie daléj. Aż się przeląkł, kiedy z piérwszego powozu, ujrzał wysiadającym tego samego podróżnego, którego w dniu poprzedzającym przyjął do siebie na noclég. Ale nie był to już ów biédak w podartém odzieniu: szaty na nim królewskie świéciły się od złota i drogich kamieni, a za nim stało pełno dworzan, bogato ubranych.

Wieśniak struchlał, bo poznał, że to niezwyczajny człowiek, ale sam król Kazimiérz, który miał ten zwyczaj, że się często po chłopsku przebiérał i tak, niepoznany,

chodził między ludem swoim, wstępował do ubogich chałup i białych dworków, jadł i rozmawiał z kmieciem i panem—bo chciał wiedzieć, co naród myśli o jego rządach, i przekonać się, jak się powodzi ludowi jego po chatach, dworach i miastach.

Przelękniony wieśniak stał, jak wryty, i słowa przemówić nie umiał. Ale dobrotliwy król rzekł łagodnie do niego: „Tyś mię gościnnie przyjął w ubogi dom swój na noclég, nie wiedząc, że ja królem jestem; za to obiecałem ci dla dziécięcia przyprowadzić ojca chrzestnego. Dotrzymuję słowa; daj mi dziécię i jedź ze mną do kościoła.“

Ubogi kmiotek, jakby skamieniały, stał jeszcze i patrzał na króla z bojaźnią i radością; przyglądał się z podziwieniem bogatym jego szatom, drogim błyszczącym kamieniom i świetnemu orszakowi królewskiemu. Bał się wsiąść do wspaniałego powozu, bo myślał sobie: „Jakże ja, ubogi człowiek, siadać mam razem z królem?“ Ledwie go król mógł namówić, że siadł do powozu z nim razem.

W drodze rzekł monarcha do kmiotka: „Wczoraj zrobiłeś to, co religija i ludzkość nakazują; dziś przychodzę do ciebie, jako panujący król, abym nagrodził twoję poczciwość i gościnność. Nie chcę ja, żebyś porzucił swój stan, któremu zaszczyt robisz; ale dam ci trzody, piękne sady i wygodny dom, w którym będziesz mógł wygodniéj przyjmować gości. Nakoniec biorę na swoję opiekę to dziécię, które się przy mnie urodziło.

Jakoż król w saméj rzeczy dotrzymał obietnicy: opiekował się chłopcem starannie i posyłał go do szkół. Gdy wyrósł chłopiec, został księdzem; był sławnym kaznodzieją i kanonikiem; nazywał się Trzaska.

7. Założenie Państwa Rossyjskiego.

Przed lat tysiącem, na téj ziemi, którą obecnie zajmuje Rossyja, żyły rozrzucone plemiona, które rządziły się patryjarchalnie: to jest, lud wybierał zpośród siebie rządców, którzy o jego dobru mieli staranie, bronili go od nieprzyjaciół zewnętrznych i pilnowali porządku wewnątrz.

Te plemiona, które żyły nad brzegami i w okolicach rzek: Dniestru, Dniepru, Bugu, Oki, górnych części Wołgi, Dźwiny zachodniéj i północnéj, około jezior Ilmeń i Pejpus, mówiły językiem słowiańskim, podobnym do polskiego; oddawały cześć bożkom z gliny i drzewa, i rządziły się prawem zwyczajowém, nie zebraném w księgi, nie pisaném jak dzisiaj.—Miały one różne nazwy, i tak jak między Polakami, jedni nazywają się Mazurami, drudzy Kujawiakami, trzeci Podlasianami, ale wszyscy mimo to są Polakami... tak i te plemiona nazywały się: jedne Polanami, drugie Krywiczami, inne prost Słowianami, a wszystkie były Słowiańskie. Przytykały one na północy do morza Baltyckiego, na południe zaś rozciągały się do morza Czarnego.

Powiedzieliśmy już, że te plemiona nie były z sobą połączone; każde więc zosobna wzięte było słabe i nie mogło oprzéć się nieprzyjacielowi, któryby z większą siłą na ziemię ich chciał napad uczynić. Żeby go odeprzeć, trzeba było te rozrzucone plemiona z sobą powiązać, i dać im jednego księcia, czy wodza, któregoby wszystkie słuchały i za pana swego uznawały.

Taki wódz zjawił się w roku 862 i na pana im się narzucił.

Za morzem Baltyckiém, w dzisiejszéj Szwecyi, mieszkały także różne plemiona, którym ciasno było we własnéj ziemi; chłodno i głodno; bo kraje te są bardzo zimne i nieurodzajne. Mieszkańcy tych krajów znani są w dziejach pod imieniem Normannów, to jest ludzi północnych, ale słynęli i pod innemi nazwiskami. Otóż garstki tych ludzi zachartowanych na głód, zimno i niewywczasy, puszczały się na wędrówkę w obce kraje, cieplejsze i bogatsze, a puszczały się z bronią w ręku: co napotkały na drodze, to zabierały przemocą; lub z bojaźni, ludzie sami im oddawali całe swoje mienie, byle tylko życie uratować. Przewodnicy tych gromad wojennych, czyli drużyn, nazywali się *Królami morskiemi*, bo głównie po morzach pływali i na ziemie nadbrzeżne napadali.

Jeden z takich królów, czyli książąt, imieniem Ruryk, wziąwszy z sobą drużynę uzbrojoną, a z plemienia Warago-Russów pochodzącą, napadł na Słowian, mieszkających około jeziora Ilmenu, zabrał ich główne miasto Nowogród i sam na prawo i na lewo zaczął podbijać inne ziemie Słowiańskie, i wszystkie związał w jedno państwo, jednemu księciu posłuszne.

Ziemię przez niego zagarniętą, nazwano ziemią Russów, czyli prosto Rusią. Było to w roku 862.

J. P.

8. Charakter cnotliwy.

Piękny przykład cnót, godnych pamięci, przedstawia nam Władysław Jagiełło. Nietylko życzliwi, ale nawet nieprzyjaciele jego Krzyżacy, mówią, iż król ten nie znał ani cienia obłudy, nie umiał ukryć niczego. Urazy domowe szły u niego dziwnie prędko w niepamięć, komu innemu zaś wyrządzoną zniewagę przebłagiwał ze łzami w oczach.

Co do jego miłosierdzia, dobroci, rzadkiéj ludzkości, żaden chwalca nie mógłby przyznać mu więcéj od jego nieprzyjaciół, nieprzebaczających mu najmniejszéj wady, jak np. zbytniego zamiłowania w polowaniu i skłonności do zabobonów. Mówią oni, że Jagielle, jak łatwo przychodziło nagradzać, tak trudno—karać; ztąd najwinniejsi często otrzymywali przebaczenie, zwyciężeni pewni byli łaski. Troskliwość dla wdów, siérot, ubogich, których sprawy zwyczajnie sam rozsądzał, była jak największa. „Z przed oblicza panującego," mawiał Jagiełło, „nie powinien nikt odchodzić bez pociechy." Choćby więc małym datkiem, choćby upominkiem w suknie, żegnała łaska pańska poddanych. Wdowy, siéroty, biédni, odnosili w dwójnasób. Ponieważ zaś, ośmieleni łaskawością, nieraz zbyt wielkich domagali się datków, miał przeto zwyczaj udzielać tylko połowę tego, o co go proszono. Widok każdego szlachetnego czynu rozgrzéwał mu serce, pobudzał do radości i pochwał, otwiérał rękę do nagród; ztąd prawie wszystkie wojny Jagiełły miały niezwykłe powodzenie, bo pod jego okiem najwaleczniejsi stawali się jeszcze waleczniejszemi. Kto raz zacnym czynem zwrócił na siebie oczy, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę króla — tylko urazy szły w zapomnienie. W wieku, kiedy nietylko wszyscy królowie, ale nawet lada zamożny mieszkaniec zbytkował w strojach, Jagiełło chodził w prostéj odzieży, nie cierpiał złota na sukni. Toż za to prawdziwie złotém było serce jego. Kiedy spółcześni mu słynęli w późne wieki z chciwości i przedajności, on nie miał serca dla wziątki. Nie było téż pobożniejszego księcia nad Jagiełłę; często przedsiębrał pobożne pielgrzymki; wśród bitwy nieraz na klęczkach błagał Pana nad Pany. Ztąd téż wojenne czyny jego łączą się z zasługami religijnemi.

1858 r.

9. Królowa Jadwiga.

Otoczony gronem senatorów, siedział na tronie Władysław Jagiełło, gdy nagle, u drzwi wchodowych, powstał hałas—i dworzanie królewscy, w groźnych postawach, zastąpili drogę kilku nędznie ubranym kmiotkom, którzy, obciérając zwilżone łzami oczy, rzekli:

— Dozwólcie nam widziéć Najjaśniejszego króla; już pięć dni napróżno staramy się o to; pięć dni, jak przyszliśmy do Krakowa; przez ten czas żony i dzieci nasze, nie mając ani gdzie głów wesprzéć, ani co do ust włożyć, może pomarły z głodu i zimna!

Kiedy się to działo, nagle ukazała się żona Władysława Jagiełły, cnotliwa, pobożna i młoda Jadwiga. Odrazu spostrzegła ona surowe miny sług królewskich i łzy, błyszczące w oczach kmieci, a że litościwe jéj serce nie mogło patrzéć na niedolę bliźniego, rozkazała przeto przywołać do siebie zasmuconych i, uprzejmie odpowiadając na nizkie ukłony, zapytała:

— Co chcecie, poczciwi ludzie?

— Ach! miłościwa królowo,—zawołał jeden z nich,— wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy.

— Zaraz będziecie zaspokojeni, — odpowiedziała Jadwiga i natychmiast udała się do Władysława Jagiełły i w wymownych słowach zaczęła mu wystawiać wyrządzoną krzywdę.

Wzruszyła monarchę mowa cnotliwéj pani; uznał słuszność jéj żądań i natychmiast z własnéj szkatuły wynagrodził pokrzywdzonych. Uczyniwszy to, z uśmiéchem zwrócił się do Jadwigi i rzekł:

— Stało się, jak chciałaś; za piéniądze, które im dałem, będą mogli domy postawić, sprzęty i bydło kupić....

— Prawda — odpowiedziała z anielską dobrocią Ja-

dwiga, — wynagrodzone są ich szkody, lecz któż im łzy wylane powróci.

Edward Bogusławski.

10. Krupa.

O pół mili od Krasnego-Stawu leży wieś Krupe, bardzo miła, z pięknym ogrodem; jest w niéj cerkiew' i rozwaliny wspaniałéj warowni. Jak mówią, dojść z pewnością nie można, kiedy i przez kogo założoną była. Podanie niesie, że w niéj bronił się majętny obywatel, od miejsca mieszkania swego Krupą nazwany, przeciwko Władysławowi Jagielle, którego królem swoim uznać nie chciał. Ta jego śmiałość i przydomek dały podobno powód Janowi Kochanowskiemu do następującéj słów igraszki:

Że Jagiełło bił Krzyżaki
I pan Krupa chciał być taki.
Na co porwał się nieboże!
Krupa Jagłą być nie może.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1826 r.

11. Filip z konopi.

Pan Filip z Konopi *), płoszywszy przez lat 40 Turki, Tatary i Wołoszę, osiadł nareszcie w swoim majątku. Pojechał on raz na sejmik. Wychowany w obozach, wprawny więcéj do ściérania się z pohańcem, niż do rozpraw publicznych, nie zważał bynajmniéj na przedmiot obrady i zaczął wcale o czém inném prawić. Powstał śmiéch powszechny. „Któż tam taki wyrwał się?“ zapytał ktoś z obecnych. „To pan Filip z Konopi,“ krzyknęli usłużni sąsiedzi, i odtąd wychodzi na stół Pan Filip, przy każdém niedorzecznem słówku.

*) Konopie—wieś w Sandomiérskiém.

12. Alfons V.

Alfons V, król Neapolitański, przezwany Wspaniałomyślnym *), był nadzwyczaj dobry i ludzki. Zwykle udawał się na przejażdżkę sam jeden, bez żadnego orszaku. Wczasie jednéj takiéj wycieczki, napotkał zakłopotanego bardzo wieśniaka, którego osieł, obładowany worami mąki, ugrzązł po kolana w błocie. Król zsiadł natychmiast z konia, przywiązał rumaka do drzewa i pośpieszył chłopkowi na pomoc. Daléjże więc znosić na swych królewskich barkach wory z mąką, ciągnąć osła w tył i naprzód, dopóki go nie wydostali. Król przy téj robocie unurzał się straszliwie w błocie, zabielił mąką, podarł na sobie odzież. Trafem nadjechał orszak, złożony z dworzan królewskich. Widząc pana swego w tym stanie, przybiegli natychmiast i oczyścili go, jak mogli, z błota, a jeden z nich dał mu swój płaszcz. Wieśniak oniemiał na ten widok, lecz któż wypowié jego pomięszanie, gdy się dowiedział, że człowiek, któremu dawał przed chwilą rady, jak ma wyprowadzić osła i nieść worki, był królem. Padł na kolana, zaczął mu gorąco dziękować i prosić o przebaczenie. Alfons obdarzył go hojnie i rzekł: Mój bracie, na to nas Pan Bóg stworzył, abyśmy się wszyscy kochali i wzajemnie wspiérali,“

1862 r.

13. Jędrzéj Górka.

Jeden z bogatych panów polskich, Jędrzéj Górka, kasztelan Poznański, generał Wielkopolski, w sędziwych latach często mawiał: „W młodości pycha łechtała mię do ubiegania się o godności i szeptała mi: „Górko, Górko kiedy pójdziesz w górę?“ a teraz rozum mi powiada: Górko, Górko, kiedy będziesz w dole?“

*) Panował od roku 1412—1458.

14. Portret Stefana Batorego.

Był ten król wzrostu więcéj niż pomiernego, dosyć otyły i ciężki, twarzy dosyć ogromnéj i wielce przystojnéj, postacią twarzy i mową wspaniałość majestatyczną okazujący, płci śniadéj, ale i rumieńcem żywym okraszonéj, nosa trochę zadartego, włosów czarnych, zębów na przodzie białych. Brodę dosyć krótko podstrzygał, a wąsy bardzo długie, Węgrów obyczajem, nosił. W pokarmie był bardzo skromnym. Obraz jego w zamku Warszawskim, w pokoju marmurowym, malowany z wielkiego obrazu Jezuitów w Połocku, bardzo go doskonale wyraża.

Jan Albertrandy.

15. Piotr Wielki, założyciel Petersburga.

Największym z monarchów, z domu Romanowych, był Piotr Wielki, który panował od r. 1689 do 1725.

Wiedział, że obszar ziemi nie oznacza jeszcze siły narodu, że jedynie oświata prowadzi lud do szczęścia i spokoju, że handel i przemysł podnoszą bogactwo kraju, i dla tego postanowił użyć wszelkich środków... żeby lud swój oświecić, i uczynić go zdolnym do przyjęcia nowych obyczajów.

Chcąc lud zachęcić do fabryk i handlu, Piotr Wielki udał się w podróż za granicę, do Holandyi, gdzie trzy lata pracował z siekiérą w ręku, na okręcie, a w wolnych chwilach uczył się różnych rzemiósł. Sam był tokarzem, kowalem, ślusarzem; szył nawet buty i trzewiki.

Powróciwszy do kraju, wziął sie do zaprowadzenia pożytecznych zmian: uorganizował wojsko, wybudował

flotę morską, pozaprowadzał biura rządowe, urządził senat, do rozsądzenia spraw w najwyższéj instancyi, synod do spraw duchownych, Kollegija, dla różnych wydziałów, Akademiję Nauk, szkoły wojskowe i cywilne, mnóstwo fabryk..... a wszędzie był sam; wskazywał, uczył, napominał, a winnych własną ręką karał. Chcąc zaś być bliżéj do Zachodu Europy, stolicę państwa przeniósł z Moskwy do nowo-założonego przez siebie miasta, które, od swego imienia, *Petersburgiem*, czyli Piotrogrodem nazwał.

J. P.

16. Cecylija Renata.

Cecylija Renata, żona Władysława IV, króla Polskiego, gdy, odprawiając wjazd uroczysty po raz piérwszy do Krakowa, dostrzegła, iż służba królewska oddala lud zebrany, z miejsca, którędy jechać miała, obruszona tém, rzekła: „Dajcie im pokój; niech każdy do nas wolno przystępuje; wszak mię nie dla niektórych tylko osób, ale dla całego narodu, za królowę obrano.“

1857 r.

17. Róże cudowne świętéj Elżbiety.

Dawnemi laty, królowe i księżniczki nie siadywały zamknięte w pałacach, ale opuszczały je często, przebiegając okolice, wyszukując biednych, niosąc wsparcie chorym i ratunek sierotom, wdowom i niedołężnym starcom.

Z cnót, wielce słynęła królewna Węgier, Elżbieta, zaślubiona księciu Turyngii, Ludwikowi. Jakie tylko miała dochody, zamiast na przepych, uczty i stroje, wydawała na wsparcie kalek i biédnych—a często, gdy jéj za-

brakło piéniędzy, zastawiała klejnoty swoje i drogie szaty, i niosła pomoc potrzebującym.

Jednego razu, pani ta pobożna, rozdawszy wszystkie piéniądzie jakie miała przy sobie, ujrzała starca chorego, który nic był nie dostał. Nie namyślając się długo, ściąga rękawice, złotem haftowaną, i oddaje ją nędzarzowi. Widząc to, jeden z rycerzy, dał garść złota starcowi, wzamian za rękawiczkę, którą, przypiąwszy do chełmu, nosił jako znak Bożego błogosławieństwa.

Królowa Elżbieta nie wyręczała się dworzanami, lecz, zasłyszawszy o jakim nędzarzu lub chorym, biegła do ubogiéj chaty, pielęgnowała złożonych niemocą, opatrywała rany, pocieszała nadzieją w ufności Bożéj, płaciła długi uwięzionych i zabezpieczała los wdów i sierot.

Książę Ludwik czcił swą małżonkę, wielbił jéj cnoty, czasem wszelako miał jéj za złe, że, nie zważając na porę roku, na zimno i słoty, szła do odległych chat wiejskich, dźwigając częstokroć brzemiona z żywnością i lekami.

Jednego dnia Elżbieta wyszła z domu, niosąc w połach płaszcza mięsiwo, chleb, leki i inne potrzeby dla biédnych, gdy nagle, na zakręcie ścieżki, ujrzała męża, wracającego z polowania.

Ujrzawszy ją, Ludwik zmarszczył brew i zapytał niechętnie, coby dźwigała w płaszczu.

Elżbieta milczała.

Wtedy książę, rozgniéwany tém milczeniem, szarpnął płaszcz, a z niego wysypało się.... mnóstwo róż. Białe, różowe, pąsowe, a wszystkie tak piękne, tak cudnie woniejące, że ni książe, ni dworzanie, tak ślicznych w życiu nie widzieli.

A była to ostra zima, śniegi pokryły góry, a w całéj okolicy, za tysiące, róży świéżéj byłby nie dostał.

Więc książę stanął jak skamieniały, spuściwszy oczy z zawstydzenia ku ziemi—kiedy zaś je podniósł ku obliczom

żony, ujrzał po nad jéj głową jasność, na wzór krzyża świętego. Padł więc na kolana, nie śmiejąc stóp świętéj pani uścisnąć.

Potém prosił ją o jedną różę, iżby mu ją dała—i dozwoliła na wieczną pamiątkę nosić przez całe życie. Odtąd księżna Elżbieta nawiedzała chorych swych, bez przeszkody, zasilana hojnie skarbami męża w dobrych uczynkach.

Na tém miejscu, gdzie książę Ludwik napotkał swą świątobliwą małżonkę, wzniesiono z jego rozkazu filar marmurowy, a na nim wyryto krzyż, podobny temu, jaki książe po nad głową swéj żony widział.

18. Szabelka Piotra Wielkiego.

Dziecinne nawet lata wielkich ludzi odznaczają się często godnemi uwagi zdarzeniami. Trzy lata dopiéro liczył Piotr *), gdy w dzień świętych apostołów Piotra i Pawła, 29 Czerwca, obchodzono jego imieniny. Oprócz kosztownych rzeczy, przeznaczonych dla maleńkiego solenizanta od rodziców, tudzież innych osób monarszéj rodziny, mnóstwo podarunków złożonych było w jednéj z sal zamku Kremlina **). Gdy weszło dziécię, z ciekawością przypatrywało się wszystkiemu. Nagle zabłysły mu oczy radością: Piotr spostrzegł małą szabelkę stalową. Chwila nie upłynęła, a już ją trzymał w ręku; już się dowiedział, że była podarunkiem jednego kupca; już kazał kupca przywołać. Skoro ten wszedł, Carewicz rzucił się ku niemu na spotkanie, kazał się wziąść na ręce i rzekł, iż nigdy nie zapomni o tak pięknym podarunku. Nie wypuszczając szabli z rąk, pobiegł do ojca i prosił usilnie o jaką nagrodę dla kupca i o prze-

*) Piotr Wielki urodził się w roku 1672, panował od roku 1689 do 1725.

**) Kremlin jest część miasta w środku Moskwy, opasana wysokiemi murami.

pasanie jego samego orężem. Z rozkoszą spoglądał car Aleksy na radość trzechletniego dziécięcia, która zapowiadała w nim miłość sławy wojennéj. Stało się wszystko według życzeń Piotra: kupiec został godnością zaszczycony, a szabla maleńkiemu Carewiczowi przypasana. Car więcéj jeszcze uczynił: widząc bowiem w synu szczególną do wojennych zabaw skłonność, zebrał dzieci jednego wieku z Piotrem, kazał porobić dla nich małą broń i wyuczyć je wszystkiego, czego się uczyli żołniérze. Wtedy każdy dzień był dla Piotra uroczystém świętém; od rana do wieczora bawił się i uczył z małemi towarzyszami, szabelki nigdy prawie nie zdéjmował, niekiedy nawet z nią zasypiał.

Leon Rogalski. 1851 r.

19. Uległość Piotra Wielkiego prawu.

Piotr Wielki z wielką ścisłością przestrzegał sprawiedliwości. Pewnego razu przyszedł do magistratu miasta Rygi, dokąd go zaskarżył jeden mieszczanin Rygski, o to, że kawał ziemi, do niego należący, z rozkazu monarchy oddany został komu innemu. Piotr, sam będąc obecnym podczas rozpoznania skargi, uznał się za winnego wedle prawa, a gdy sprawa była już rozstrzygnięta i wyrok magistratu, zapadły na korzyść mieszczanina, objawiony został, wtedy monarcha, pochwaliwszy bezstronność sędziów, każdego z nich ucałował. „Ja sam posłuszny jestem prawu,“ rzekł wtenczas—„i biada temu, kto się ośmieli je naruszyć.“

Leon Rogalski.

20. Maryja Leszczyńska.

Maryja Leszczyńska, córka Stanisława Leszczyńskiego, króla Polskiego, a żona Ludwika XV, króla Francuzkiego,

tak była dobroczynną, iż razu pewnego, gdy podskarbi czynił jéj uwagi, że wszystkie piéniądze jéj kassy mogły zaledwie wystarczyć na same ogromne jałmużny, rozdawane ubogim, odpowiedziała: „Czyliż bogactwa matki nie są własnością jéj dzieci?“

Taż królowa, utraciwszy najstarszego syna, a wkrótce potém i ukochanego ojca, ulegając pod ciężarem smutku, w silną popadła chorobę. Kiedy się nad środkami leczenia jéj naradzali lekarze, rzekła: „Wróćcie mi ojca i syna, a uzdrowicie mię.“

Ze wszystkich cnót, jakie zdobiły Maryję, najwięcéj podziwiano jéj nieograniczone miłosierdzie dla biédnych. Jednéj niedzieli, przechadzając się po ogrodzie w Weissenburgu, posłyszała jęk żałosny zpoza muru. Zbliżywszy się do niego, ujrzała starą i wychudłą żebraczkę, która wyciągnęła do niéj drżącą rękę, prosząc o wsparcie. Wzruszona widokiem takiéj nędzy, Maryja rzuciła jéj ostatnią sztukę złota, którą miała przy sobie. „Niech cię Bóg błogosławi, moja księżniczko,“ zawołała żebraczka radośnie, wznosząc ręce ku niebu: „doczekam, że będziesz królową Francuzką.“ Zdarzyło się to wówczas, kiedy mówiono powszechnie o ożenieniu Ludwika XV z infantką Hiszpańską.

Maryja więcéj rozdawała na jałmużny, niż miała dochodów; całe domowe jéj kółko musiało się przyczyniać do jéj miłosiernych uczynków. Kiedy raz proszono młodego Delfina *), o piéniądze na cel dobroczynny: „Dałbym,“ odpowiedział, „ale nié mam ani grosza; mama zabrała mi wszystko.“ U ojca, Maryja wyrobiła sobie roczną pensyję na ubogich. Gdy jéj zabrakło piéniędzy, pożyczała od drugich i zdarzało się, że była dłużną 300,000 franków. Raz sprze-

*) Delfin był tytuł następcy tronu we Francyi.

dała wszystkie swoje klejnoty, a na miejsce prawdziwych kamieni kazała wprawić fałszywe. Przez cały rok nikt nie domyślał się tego fortelu—i byłby się może ukrył do końca jéj życia, gdyby jedna z jéj służebnic niezdradziła tajemnicy.

Lud Francuzki ubóstwiał Maryję i nigdy się jéj dość napatrzéć nie mógł. Raz, gdy się przechadzała po ogrodzie w Tuilleries, takie się zeszło mnóstwo ludzi, że w tym tłoku ani naprzód, ani wtył posunąć się nie mogła. Napróżno straż, koło niéj będąca, rozpędzać chciała pospólstwo; cisnęło się coraz więcéj, pragnąc widziéć bliżéj monarchinię. Nareszcie królowa dała znak, że chce mówić; stanęli wszyscy, a ona powiedziała z uśmiéchem: „Wiem, dzieci moje, że się do mnie ciśniecie, bo mnie kochacie tak, jak ja was kocham; dla téj więc saméj miłości, zamiast mię dusić, dozwólcie mi przejść.“ W jednéj chwili lud zgromadzony wydał okrzyk radości i otworzył wygodne dla królowéj przejście.

Niezabitowski. 1828 r.

21. Przykłady nadzwyczajnéj siły.

Dzieje krajowe zachowały nam liczne przykłady tak wielkiéj w dawnych ludziach siły, iż dziś trudno nam nieraz uwierzyć w podanie, a raczéj gotowibyśmy je do cudów, lub bajek zaliczyć. A jednak tak było rzeczywiście.

Janusz II, ostatni książę Mazowiecki, kruszył podkowy, rwał grube sznury z łatwością, rzucał ogromném kołem, lub kamieniem.

Zygmunt I przerywał w ręku sznury i taliją kart do grania. Za tego króla żyjący Jan Tarło, krajczy nadworny, porywał przeciwnika w gonitwach konnych i z konia zsadzał; drzwi żelazne, lub zamek, nie wytrzymały uderzenia jego ręki, a oszczepem niedźwiedzia pokładał.

August II, srébrny puchar, gniótł jedną ręką, jakby z wosku ulany—zginał szyny żelazne, a wołu jedném cięciem pałasza zabijał. Stanisław Radzimiński, kasztelan Zakroczymski, konia dzikiego chwytał za uszy i osadzał go, a najtęższego chłopa bujał na ręku. Wojciech Brudzyński sześciu zbrojnych huzarów do góry podnosił, a Prokop Sieniawski, marszałek wielki, poszóstne karety w pędzie zatrzymywał, jednym zamachem pałasza konie i woły w obecności króla przecinał.

O Stanisławie Ciołku, bracie wojewody Mazowieckiego, mówi podanie, iż dzwon, którego czterdziestu ludzi dźwignąć nie mogło, na wieżę kościelną zaniósł; dwie podkowy, razem złożone, łamał; miecz skręcał, jak powrósło; z drzewa sosnowego, gdy je ścisnął, aż sok pociekł, a łyka bartników zrywał, jak nitki. Umarł on w roku 1356.

Za króla Zygmunta III, żył Teodor Lacki, człowiek nadzwyczaj mocny. Przejechał on świata kawał duży, a wszędzie podziwiano jego nadludzką siłę: wyrywał z ziemi młode dąbki z korzeniem; dzikiego wołu, gby ujął za rogi, rzucał nim o ziemię i kark mu skręcał.

Za Augusta III, Kopczak, piwniczy Branickiego, zagrzęzłą karetę wyciągnął, któréj sześć koni rady dać nie mogło.

I. M. 1858 r.

22. W r ó ż b a.

W miesiącu Listopadzie 1705 roku, ustanowiony został w Tykocinie, przez Augusta II-go, order Orła Białego. Na skrzydłach gwiazdy, którą noszono na lewym boku, był napis: *pro fide, rege et lege* *), na téj zaś gwieździe, którą król nosił, były wyszyte słowa: *pro fide, grege et lege* **). Powiadają, że gdy August III, wysyłając, w poselstwie do Petersburga, Stanisława Poniatowskiego, stolnika Litewskiego, przyozdobił go tym orderem, kamerdyner królewski, przydając podług zwyczaju gwiazdę do orderu, z prędko-

---

*) Za wiarę, króla i prawo. **) Za wiarę, naród i prawo.

ści dał mu tę, która była z napisem: *pro fide grege et lege*, co miało być przepowiednią, że, po Auguście, Poniatowski królem zostanie.

Leon Potocki. 1859 r.

23. Szkoda czasu i atłasu.

Stanisławowi Poniatowskiemu, po jego obraniu na króla i koronacyi w roku 1764, ofiarował jeden z miernych poetów wiersze z powinszowaniem, z téj okazyi, na atłasie napisane. Uczony król, przeczytawszy te wiérsze, nagrodził wprawdzie pracę poety, lecz wyrzekł o nich zdanie: „Szkoda czasu i atłasu.“ Słowa te zaczęto powtarzać i ztąd poszły w przysłowie.

24. Odkrycie wysp Sandwich i śmierć Jakóba Cook'a *).

Z pomiędzy wszystkich żeglarzy, najsławniejszym był Kook, anglik. Urodził się on przed stu czterdziestu laty i był synem rolnika. Od młodości miał wielką ochotę do żeglowania po morzu, i, mając lat trzynaście, przystał za chłopca okrętowego, na statek rozwożący węgle po brzegach angielskich. Na tym statku zostawał aż do dwudziestego roku życia.

Późniéj, chciał się dostać na okręt większy kupiecki, ale to mu się nie udawało. Kiedy nareszcie, po wielu trudnościach, dostał się do służby kupieckiéj, poznał, że, chociaż umie statkiem kierować, przecież żadnych innych marynarzowi potrzebnych nauk nie posiada—wziął się więc całemi siłami do nauki.

Przebywszy parę lat na okręcie kupieckim, dostał się wreszcie do służby królewskiéj. Tu dopiéro poznali się na Kooku, który, przez swoją pilność, zasłużył sobie wkrótce

*) Czyta się: Kuk'a..

na względy i przyjaźń swoich przełożonych. Tutaj także kilka razy okazał wielką odwagę, bijąc się z nieprzyjaciołmi, więc téż za to został porucznikiem na okręcie królewskim, który to stopień bardzo wiele znaczy w służbie morskiéj.

Rząd wysłał właśnie wyprawę na morze południowe, z samych uczonych złożoną, a naczelnym dowódzcą tejże wyprawy naznaczył Kooka. W czasie téj wyprawy, Kook poodkrywał wiele wysp, należących do Australii i, po trzech latach bawienia na morzach, powrócił do Anglii, okryty sławą i wynagrodzony sowicie od rządu.

Rząd ten poznał się na zdolnościach niepospolitych Kooka, więc zaraz w następnym roku, oddał mu pod dowództwo dwa znaczne okręty, ażeby szukał nowych wysp na oceanie, czyli ogromném morzu południowém. Kook popłynął na Ocean Spokojny, przezimował przy wyspach Taiti, gdzie go mieszkańcy bardzo dobrze przyjmowali, i puścił się na wiosnę ku północy, kędy natrafił na takie ogromne lody, że mu te dalszą zagrodziły drogę. Burze, mgły i okropne zimna, dokuczały niezmiernie żeglarzom, a Kook sam rozchorował się śmiertelnie i byłby umarł, gdyby nie starania doktora okrętowego. W téj podróży, poodkrywał także dużo wysp nieznanych, których mieszkańcy dzicy nigdy nie widzieli Europejczyków.

Nakoniec, gdy powrócił, po trzech latach żeglowania, rząd wysłał go po trzeci raz w podróż, z dwoma okrętami. Po niezliczonych trudnościach, Kook, odkrył kilka wielkich wysp, zwanych Sandwich. Mieszkańcy tych wysp, ujrzawszy go, wzięli za Boga i padli przed nim na kolana. Znosili żywność i wszystkie wyroby, jakie tylko umieli sporządzać. Wkrótce przecież przyjaźń ta zamieniła się w nieprzyjaźń, gdyż wyspiarze poczęli kraść z okrętów, co tylko mogli, a kradzieże te do tego stopnia posunęli, iż odważyli się ukraść jednę z łodzi okrętowych.

Kook postanowił koniecznie łódź odebrać, a złodziei ukarać, wysiadł więc na ląd z porucznikiem swoim i kilkunastu żołnierzami, ażeby króla pochwycić i na okręt uprowadzić, a tym sposobem zmusić dzikich do oddania łodzi. Ale wyspiarze zbiegli się w ogromnéj liczbie i poczęli wydawać straszne krzyki, grożąc Anglikom bronią. W téj nieszczęsnéj chwili rozeszła się pogłoska, że anglicy kilku najznakomitszych naczelników rozstrzelali. Dzicy wpadli w okrutną wściekłość: poczęli rzucać na anglików kamieniami, a na Kooka i porucznika wpadli z pałkami i nożami. Kook cofał się zwolna ku brzegowi... wyspiarze zasypywali anglików gradem kamieni, anglicy zaś poczęli strzelać. Kook napróżno wołał na swoich żołnierzy, żeby przestali strzelać — hałas i krzyki zagłuszyły jego wołanie, a kiedy odwrócił się ku brzegowi, ażeby wstrzymać żołnierzy od strzelania, jeden z krajowców rzucił się na niego z tyłu i między łopatki ugodził sztyletem. — Kapitan padł, a wtedy wyspiarze rzucili się nań i dobili pałkami. Stało się to przed sześćdziesięciu laty.

Załoga okrętowa znajdowała się w wielkiém niebezpieczeństwie, ponieważ maszty i żagle okrętów, z pomocą których tylko płynąć można, były na brzegu — udało jéj się przecież zrobić pokój z wyspiarzami, i okręty zostały wyporządzone. Ciało dzicy poćwiertowali i podzielili pomiędzy swoich wodzów. Przecież, udało się Anglikom odebrać dzikim kilka kawałków, które, zwyczajem okrętowym, włożyli do woru, obciążonego kulą armatnią, i spuścili je w głębiny morskie — poczém powrócili, doznawszy wiele przykrości, do Anglii.

Tak odważny marynarz życiem przypłacił gorliwość, z jaką szukał nieznanych krajów.

1864 r.

25. Jan Guttenberg.

Czytacie książki pożyteczne, modlicie się na książkach od nabożeństwa, a nie pomyśleliście może nad tém, jak ludzie przyszli do wynalezienia druku.

Otóż, trzeba wam wiedzieć, że w dawnych czasach, a nawet przed czterystu trzydziestoma laty, ani jednéj książki drukowanéj nie było i ludzie wcale druku nie znali. Były wprawdzie księgi rozmaite, ale tylko pisane.

Przepisywanie książek bardzo wiele czasu zajmowało. Nie jeden całe życie poświęcił dla przepisania księgi: bo najprzód trzeba było pisać bardzo wyraźnie, a zatém, powoli, a to dla tego, ażeby wszyscy z łatwością czytać mogli; powtóre, pisarze zadawali sobie wiele pracy, malując początkowe litery pięknemi farbami i wyzłacając je, wedle ówczesnego zwyczaju. Drogość książek i z tego pochodziła, że pisano je na wyprawnych skórach, czyli pergaminie: raz dla trwałości, a powtóre, że papier także bardzo późno wynalezionym został.

Jakież ztąd wynikały skutki? Oto, z powodu drogości ksiąg, mogli je miéć tylko — albo bardzo bogaci ludzie, gdyż często za jednę kilka tysięcy złotych trzeba było zapłacić — albo téż klasztory, w których zwykle zasadzano zakonników do przepisywania książek. Mała liczba książek i drogość ich była przyczyną, że oświata nadzwyczaj pomału się rozszerzała — i na tysiąc ludzi ledwie może jeden umiał czytać i pisać, a ztąd niższe i uboższe klassy w narodach były ciemne; żyły w nędzy i poniżeniu.... bo tylko oświata może człowieka uzacnić i wynieść go nad bydlęta i barbarzyńce.

Dopiero około roku 1440, Jan Guttenberg, wynalazł druk, a to tym sposobem. Jeszcze przed Guttenbergiem, na paręset lat, robiono karty do grania, tym sposobem, że figury wyrzynano na drzewie, a potém wyrzynanie, po-

mazawszy farbą, odciskano na papierze, znanym już wtedy. Później zaś robiono na drzewie obrazki Świętych Pańskich, z podpisem u spodu, i odbijano na papierze, tym samym sposobem jak dziś drzeworyty. Guttenberg, przypatrując się temu, wpadł na myśl, ażeby, podobnie jak na obrazkach napisy, wyrzynać całe stronnice liter i wierszy, i potém je drukować. Sam był ubogim, aby mógł taką drukarnię założyć, ale wnet znalazł dwóch wspólników: Fausta i Szefera, i razem naspół założywszy drukarnią, odbili na niéj *Ojcze nasz*, którego blizko 30 tysięcy sztuk rozprzedali. Po téj próbie, wydrukowali pierwszą księgę: *Biblię* czyli *Pismo święte*, ale już nie z drewnianych, wyrzynanych tablic, lecz z liter odlewanych z ołowiu.

Odtąd, przez wynalazek Guttenberga, książki ogromnie staniały i oświata zaczęła się szybko szerzyć, z Niemiec, ojczyzny jego, i po innych krajach.... najprzód pomiędzy mieszczanami i szlachtą, a dzisiaj dzięki Bogu rozpowszechnia się i pomiędzy włościanami.

1864 r.

26. Drukowanie książek.

Mało kto z was widział jak się książki drukują, więc wam króciuteńko opowiem ten wynalazek Guttenbergowski. W każdéj drukarni, są najprzód stoły, mające po kilka szuflad. Te szuflady są podzielone na bardzo wiele przegródek, a w każdéj z nich znajduje się inna litera; osobno duże, osobno małe, osobno znaki pisarskie. Pracownik, zwany składaczem, wystawia sobie szufladę z potrzebnym gatunkiem pisma i, wyjmując po jednéj literze, ustawia je w porządku jak potrzeba, w całe wiersze, a gdy złoży kilka wierszy, przenosi je na osobną deszczułkę, listwami obitą, żeby się nie rozsypały. Gdy ustawi całą stronnicę, wiąże ją szpagatem, i, skoro już jest tyle stronnic ustawionych liter, ile do drukowania arkusza trzeba, poprawia omyłki i ustawia na żelaznéj prasie, a założywszy ramy żelazne, zabija klinami, żeby się litery nie ruszały. Tak ułożoną formę z liter pociera się czarną farbą, przykłada papier i przyciska wierzchem żelaznym, za pomocą prasy, a litery potarte farbą, odbijają się na papierze i jest arkusz z jednéj strony gotowy. Potém przewraca się go na drugą stronę i znów odbija. Z kilku lub kilkunastu arkuszy, składa się potém książkę, którą *introligator* oprawia.

Tym sposobem, w prędkim czasie, powstaje kilka tysięcy egzemplarzy książki.

1864 r.

27. Benijamin Franklin.

Sławny Benijamin Franklin, jeden z prawodawców północnéj Ameryki, jeden z najużyteczniejszych i najcnotliwszych ludzi, w następującym liście zostawił wzór rozsądnéj i przemyślnéj jałmużny: „Posyłam Ci 20 dukatów; nié mam śmiałości darowania ci téj summy; pożyczam ją tylko. Gdy wrócisz do swego kraju, znajdziesz w nim zapewnie jakie zatrudnienie, za pomocą którego będziesz mógł spłacić swoje długi; wtedy, skoro upatrzysz uczciwego człowieka w potrzebie, zapłacisz mi, pożyczając jemu 29 dukatów, pod warunkiem uiszczenia się kiedyś tymże samym sposobem. Spodziéwam się, że przejdą rąk wiele, zanim u jakiego podłego człowieka uwięzną. Jestto jeden z moich wynalazków czynienia wiele dobrego, małą ilością piéniędzy.“

28. Towary kolonijalne.

Napoleon I, chcąc zniszczyć morski handel Anglików, z któremi ciągłą prowadził wojnę, wydał w roku 1806 rozkaz, aby palono wszystkie towary kolonijalne, jako przywożone morzem. Wkrótce po tém rozporządzeniu, przejéżdżał przez jednę wieś i poczuł zalatający go zapach pa-

lonéj kawy. Zbliżywszy się do plebanii, spostrzegł plebana, obracającego przy ogniu kawę w piecyku. „A! złapałem cię“ zawołał cesarz, „pokażno, co tam robisz“—„Jak widzisz, najjaśniejszy panie,“ odpowiedział niezmieszany pleban; robię to, co Wasza Cesarska Mość kazałeś: palę kolonijalne towary.“

29. Wojna 1812 roku.

W roku 1812 Napoleon wplątał się w wojnę z Rosyją i postanowił ją zawojować. Zebrał więc pół milijona żołniérzy i z tém wojskiem wyprawił się przeciw Rosyi.

Ale zwycięzca tylu monarchów nie wiedział, co to znaczy zaczepić lud, gdy jest przywiązany do swéj ziemi. Miał już przykład z Hiszpanii, a na tę przestrogę nie zważał. Otóż, co się stało.

Wojska Rosyjan cofały się w głąb' kraju; Napoleon ścigał je wciąż, aż do saméj Moskwy. Tam Francuzi chcieli przebyć zimę, lecz Rosyjanie podpalili stolicę, która jednym płomieniem zgorzała, i najezdnik musiał uchodzić.

Nadeszła okropna zima z roku 1812, w któréj mrozy od świętego Michała do Wielkiéj nocy ciągle trzymały. Francuzi, wygłodniali, wynędzniali, źle okryci, w złém obuwiu, nie mając dachu, pod którymby wypocząć mogli, szli przez ogromne pola, śniegiem okryte, a dokoła uwijały się chmary jazdy nieprzyjacielskiéj. Tysiącami ginął waleczny żołniérz, nie od kuli, lub miecza nieprzyjacielskiego, z chwałą, lecz od mrozu i głodu, z rozpaczą. Nakoniec napotykają rzekę Berezynę, pokrytą krami płynącemi i—pod strzałami Rosyjan—przechodzą wązkie mosty bez poręczy. Tu wszystko się tłoczy, jedni drugich spychają w wodę, koła armat druzgoczą, konie tratują ludzi, wreszcie jeden z mostów załamuje się i pochłania tysiącami ofiary.

Otóż do czego duma i chęć sławy Napoleona doprowadziły nieszczęsnych żołnierzy!

Wład. Lud. Anczyc. 1862 r.

30. Miłość ludu ku Monarsze.

Niepodobna opisać gorącéj miłości, jaką mają Włosi ku swemu teraźniejszemu królowi, Wiktorowi Emanuelowi. Gdziekolwiek się ukaże, oczy wszystkich zwracają się na niego: jest to więcéj, niż przywiązanie dzieci do najlepszego ojca.

Kiedy w roku 1860 Wiktor Emanuel przybył do Florencyi, w Cascine *) wieśniak jakiś gwałtem cisnął się do niego. Adjutanci nie chcieli go dopuścić, ale król, pewnym będąc, że ma jakąś prośbę, kazał go do siebie przywołać.

„Czegóż to chcesz odemnie?“ zapytał.

„Najjaśniejszy Panie,“ rzekł wieśniak, „oto chciałbym się do ciebie dotknąć.“

„Dobrze, mój przyjacielu,“ odpowiedział król i wyciągnął do niego rękę.

Wieśniak, szorstką, spracowaną dłonią, uchwycił rękę monarchy, ścisnął ją mocno i długo i odszedł szczęśliwy. Uczynił sobie ślub, żeby koniecznie przed śmiercią dotknąć się uwielbianego króla.

1861 r.

31. Mała przejażdżka.

Lord Palmerston, piérwszy minister Angielski, liczy obecnie **) 77 lat życia, ale wiek ten nie pochylił go, nie znużył. Możnaby mniemać, że posiada tajemnicę, dzięki któréj prawie się nie starzeje.

Pewien Amerykanin, opisując odwiédziny u niego w Broadlands ***), powiada, że nazajutrz po przyjeździe, uprzejmy gospodarz zaproponował mu konną przejażdżkę przed obiadem.

*) Cascine (wymawia się Kaszyne) jestto piękna willa blizko Florencyi. **) W roku 1861. ***) Wymawia się Brodlends.

„Pokażę Panu New-Forest," rzekł szanowny lord.

„Czy to daleko?" zapytał.

„Bynajmniéj, tylko 10 mil drogi *)."

Amerykanin wymawiał sie grzecznie.

„Czyż ta mała przejażdżka wydaje się panu zautrudzająca?" zapytał gospodarz.

Było to w roku 1851. Lord Palmerston liczył zatém przeszło 66 lat i nie pojmował nawet, jak mała przejażdżka 20 mil drogi, licząc tam i na powrót, może się komuś wydawać zaodległą.

1861 r.

32. Dobroczynność Pijusa IX.

Hrabia Jan Maryja Mastaï, papież, panujący dziś pod imieniem Pijusa IX, urodził się dnia 13 Maja 1792 roku, a w 25 roku życia był wyświęcony na kapłana.

Zostawszy księdzem, Mastaï poświęcił życie swoje cichym cnotom i miłosiernym uczynkom. Ubodzy i nieszczęśliwi rzemieślnicy stali się szczególniejszym przedmiotem jego pieczy i troskliwości; długie w pośród nich spędzał godziny, badał ich potrzeby, pocieszał, zachęcał i, na ulżenie smutnéj ich doli, poświęcał większą część swoich dochodów. Wyniesiony do godności kardynała, w powiększonych dochodach znalazł nowe źródło zwiększenia swych jałmużn i miłosiernych czynów. Nie rachował nigdy, ilekroć szło o wsparcie nieszczęśliwych, i nie raz zdarzyło się, że ostatnią złotówkę oddawał biédnemu. Pewnego razu, kiedy właśnie rozdał wszystko do ostatniego grosza, przyszła jakaś bardzo biédna kobiéta i ze łzami prosiła go o jałmużnę. Kardynał nie miał co dać, gdy wtém spostrzegł na stole srébrne nakrycie.

„Weź to, moje dziécię," rzekł do proszącéj, „zastaw w lombardzie; wykupię, jak będę miał piéniądze."

Służący, który nic o tém nie wiedział, długo szukał nakrycia, a nakoniec, nie mogąc go wynaléźć, przyszedł

*) Angielskich t. j. 2 i pół polskich.

oznajmić panu, że chyba musi być ukradzione. Czcigodny kardynał uśmiechnął się tylko i wtedy służący domyślił się wszystkiego.

Kardynał Mastaï obrany został papieżem, po śmierci Grzegorza XVI, w miesiącu Czerwcu 1846 roku.

1862 r.

33. Podarunek ślubny.

Z powodu małżeństwa Napoleona III, miasto Paryż przeznaczyło 600 tysięcy franków na ślubny podarunek dla dostojnéj jego małżonki. Cesarzowa Eugenija przyjęła ofiarę, ale pod warunkiem, że zamiast na kupno drogich kamieni, obróconą będzie na założenie domu wychowania dla biédnych siérot. Zgodnie z życzeniem cesarzowéj i według zrobionego przez nią planu, summa, wyznaczona przez radę municypalną, została użytą na założenie zakładu, w którym siéroty znajdują rodzinę, wychowanie i pewność, że praca do któréj nawykną z dzieciństwa, zapewni im w przyszłości spokojne, odpowiednie stanowi utrzymanie.

1859 r.

B). LEGENDY I PODANIA BAJECZNE.

1. Chléb, obrócony w kamień.

Około roku 1217, w okolicach Gdańska, nastał głód wielki: ludzie nie mieli co jeść i wielu śmierć głodna już groziła. Jest zaś pod Gdańskiem klasztor na górze, zwanéj Oliwą. W klasztorze żyli bogobojni mnisi; trawili dni swoje na chwale Boga i niesieniu pomocy biédnym ludziom. Nie troszczyli się ani o pokarm, ani o odzienie, a mieli to wszystko, bo Bóg wiedział, czego potrzebują. Czy Bóg cudownie rozmnażał zapasy, czy je zwiększała ręka miłosiernych ludzi, dość, że zawsze było wszystkiego poddostatkiem i dla nich i dla ubóstwa.

Kiedy nadeszły owe dni głodu, mówili do nich niektórzy ludzie: „Chowajcież, co macie, aby wam jutro, lub pojutrze, nie zabrakło.“ Ale opat odpowiedział: „Jakże ja mogę myśléć, że mi się jutro będzie jeść chciało, kiedy mój bliźni—dzisiaj głodny?“ I uczynił tak jak mówił. Kazał zemléć wszystko zboże—i piec chléb, który rozdawał codzień każdemu, kto od niego żądał. A nie zabrakło ani zakonnikom, ani okolicy.

Jednego dnia, pewien człowiek chciwy pomyślał sobie: „Dostałem wprawdzie jeden bochen chleba i mam go dosyć na dzisiaj, ale kto wié, czy księża będą jutro dawali. Trzeba więc myśléć o jutrze i poprosić jeszcze o jeden bochen.“ Zwraca się więc do klasztoru i do furty przysuwa wraz z innemi. Temu, który rozdawał, zdało się, że go już widział z bochnem; więc rzecze:

„Azaliż jeszcze nie dostałeś, człowiecze?“

„Jako żywo nie dostałem,“ odpowiedział, kłamiąc. Chowa chléb pod suknie i ucieka czém prędzéj do domu, a mieszkał na wsi. W drodze zachodzi mu niewiasta z dziéciątkiem, a była słaba i wynędzniała, bo od głodu ledwo się wlokła. Skoro zoczyła człowieka z chlebem, wyciągnąwszy błagalną rękę, rzekła doń:

„Zmiłuj się, człowieku, daj mi chléba.“

„Zkądżebym go wziął, matko; nicem nie dostał dzisiaj,“ odpowiedział i skłamał po raz drugi.

„Myślałam, że chléb niesiesz pod suknią,“ przemówiła smutnie niewiasta.

„To kamień, nie chléb,“ odrzekł ów człowiek bezczelnie i skłamał po raz trzeci.

„Niech będzie kamień,“ powiedziała, westchnąwszy, i powlokła się daléj ku klasztorowi.

Przycisnął mocniéj ów człowiek bochen swój do siebie i szedł prędko, radując się, że się kobiécie wymówił. Zmęczony drogą, siada i myśli sobie, że może się już teraz

posilić, bo w domu ma drugi bochen. Dobywa więc noża i chce ukrajać, ale, o! dziwo, chléb stwardniał i zamienił się w kamień. Przestraszył się ów kłamca, pobiegł do klasztoru, opowiedział wszystko, co się stało, i szczérze się ukorzył... i złożył ów kamień, który odtąd chowają w klasztorze—i pokazują ludziom na świadectwo, że chléb, którego sam nie potrzebujesz, a biédnemu nie dasz, kamieniem ci na duszy ciężéć będzie.

Bronisława Kamińska. 1851 r.

2. Orły Herburtów.

W blizkości Dobromila *), na wyniosłéj górze, widać po dziś dzień rozwaliny dawnego zamku Herburtów. Jest podanie gminne, opowiadające przyczynę wygaśnięcia téj sławnéj i możnéj rodziny. Każdy umiérający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obiérał mieszkanie na skałach, zamkowi przyległych, gdzie, gnieżdżąc się, młode wyradzał pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty szczęście sprzyjało Herburtom. Lecz naraz zniszczył wszystkę pomyślność jeden niebaczny potomek tego rodu, który, niepomny na oddawaną cześć tym orłom, ośmielił się ubić jednego z rusznicy. Powróciwszy z polowania do domu, dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła skonał jego mały synek, którego całkiem zdrowym jeszcze w domu był zostawił. Od tego czasu orły przestały się gnieździć na skałach; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina, z powodu zabicia orła, wygasła na owym osiéroconym ojcu.

Lucyjan Siemieński. 1845 r.

3. Piotr z Janiszowa.

Biskup Krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego kościół nasz za świętego uznaje, a cały kraj dzień ósmy Maja, pamięci jego poświęcony, uroczyście obchodzi, nabył

*) Dobromil leży w Galicyi, w dawnéj ziemi Przemyskiéj.

od Piotra z Janiszowa wieś Piotrowin, na przeciwnym brzegu Wisły leżącą. Ale gdy Piotr ten umarł, spadkobiercy jego zaprzeczyli sprzedaży i pozwali biskupa przed sąd Bolesława Śmiałego, żądając zwrotu wsi, jakoby nieprawnie zagarniętéj. W dniu oznaczonym zjechał król do Solca, gdzie miał tę sprawę rozstrzygnąć; przybyli i krewni zmarłego Piotra i biskup Stanisław. Król zażądał od biskupa świadków, jako rzeczywiście wieś tę nabył; a świadków żyjących nie było. Biskup, ufny w swoję niewinność i w miłosierdzie Boskie, z zupełną wiarą, że Bóg nie opuszcza w potrzebie tych, którzy wiernie Mu służą, zawołał głosem wielkim: „Piotrze! Piotrze! powstań z grobu, a daj świadectwo prawdzie słów moich.“ I otóż na jego wezwanie Piotr wstaje z grobu, blady i wynędzniały, przebywa rzekę, idąc po wiérzchu wody, a potwierdziwszy prawdę słów biskupa, odchodzi napowrót do grobu. Struchlał król, struchleli panowie; krewni Piotra odeszli zawstydzeni, a lud odtąd biskupa, jeszcze za jego życia, za świętego uważał.

Jan Papłoński. 1858 r.

4. Co jest mitologija?

Nie wszystkie ludy oświéca światło prawdziwéj wiary; pogrążone w niewiadomości i błędzie, nie znają świętéj religii naszéj. Jednakże mają wrodzone wszystkim ludziom uczucie, że jest wyższa istota od człowieka, która go stworzyła i włada jego dolą. W ciemnocie swojéj, jedni czczą, albo czcili, jakieś potworne kamienie, węże i drzewa; drudzy—gwiazdy, księżyc i słońce; inni nareszcie wystawiają sobie, że jest kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu bogów, którzy panują nad rozmaitemi przedmiotami: jedni—nad ziemią, drudzy—nad niebem, inni—nad pokojem, tamci — nad wojną, inni nareszcie — nad lasami, drzewami, rzekami, a nawet pojedyńczemi domami. Takie uwielbienie wielu bogów i bożków nazywa się bałwochwalstwem, a opisanie ich przymiotów i nazwisk—mitologiją.

Z pomiędzy ludów, przed wiekami żyjących i zamieszkałych w najpiękniejszych południowych krajach Europy, słynęli Grecy i Rzymianie. Pozostały się po nich zwaliska wspaniałych gmachów, posągi, lecz mianowicie dzieła, to jest książki, tak znamienite, że, chociaż to plemię oddawna zaginęło, a raczéj pomięszało się z innemi ludami, a jego językiem już teraz pospolici ludzie nie mówią, jednakże, z powodu tych pamiątek i książek, młodzi ludzie uczą się w szkole języka Rzymian i Greków i praca ta stanowi ważną część szkolnych nauk. W dziełach, pozostałych po Rzymianach i Grekach, co krok napotykamy wzmiankę o ich bożkach, przeto wiadomość o religii tych ludów, czyli mitologija starożytna, jest potrzebną i ciekawą nauką. Z niéj przekonywamy się, w jakieto dziwne i śmiészne błędy wpaść mogą ludzie, chociaż oświéceni i sławni, i tym bardziéj powinniśmy dziękować Bogu, że nas prawdziwém światłem wiary oświécił; żeśmy się nie urodzili w Chinach, Indyjach, albo téż w innych krajach, gdzie ludy są jeszcze pogrążone w grubéj ciemnocie, barbarzyństwie i bałwochwalstwie.

Fran. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

5. Początek drzewa oliwnego.

Starożytne ludy Grecyi, oceniając liczne użytki oliwnego drzewa, początek jego od bogów wywodziły. Neptun, bożek morza, i Minerwa, bogini mądrości, wiedli między sobą spór o to, kto z nich ma nadać nazwisko wznoszącemu się miastu Atenom. Dla rozstrzygnięcia sprawy wezwali bogów na sędziów; ci postanowili, że miasto od tego nazwisko przybierze, kto stworzy rzecz najużyteczniejszą dla człowieka. Bóg morza, uderzywszy swym trójzębem *) w ziemię, wyprowadził z niéj rączego konia, godło bitwy; Minerwa

*) Grecy wyobrażali sobie Neptuna stojącym na wozie z muszli morskiéj i trzymającym w ręku pocisk, zakończony trzema ostrzami, który nazywał się trójzębem; Minerwę zaś przedstawiano w kształcie dziewicy, z szyszakiem na głowie, trzymającą w jednéj ręce włócznię, a w drugiéj tarczę.

zaś, pogrążywszy w ziemię swą włócznię, wydała z niéj drzewo oliwne, kwiatem i owocem uwieńczone. Bogini pozyskała wszystkie głosy niebieskiego areopagu *), a na znak zwycięztwa, bogowie ofiarowali jéj koronę z gałązek oliwnego drzewa, które odtąd stało się symbolem **) pokoju.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

6. Narcyz.

Prawie wszystkie gatunki narcyza rosną na starym lądzie, a szczególniéj zdobią brzegi morza Śródziemnego. Nazwisko téj rośliny wzięte jest, jak się zdaje, od zwieszonych ku ziemi kwiatów, które przypominają mitologicznego Narcyza, przeglądającego się w wodzie. Ten Narcyz był synem Cefiza i Liryjopy. Wieszczek przepowiedział rodzicom smierć syna, skoro tenże ujrzy swój obraz. Nie było wtedy ani zwierciadeł, ani szkieł, lecz wypolerowane kamienie i metale odbijają także przedmioty. Wypadało więc usunąć Narcyza z miejsc, w którychby mu jakiekolwiek wygładzone rzeczy mogły pokazać jego obraz. Umieszczono go zatém wśród lasów... i wychowania jego zupełnie zaniedbano. Tak rósł z umysłem uśpionym; tylko fizyczne ćwiczenia wzmacniały jego ciało. Raz jednak, w gęstym trawniku, ocienionym drzewemi, których liście, tamując lekko przejście promieni słonecznych, nie pozbawiały go zupełnie światła, ukazały się oczom Narcyza przezroczyste wody pięknego strumienia, sączącego się po drobnych kamykach, dno jego pokrywających. Strudzony długiém polowaniem, schyla się Narcyz, składając ręce, i chce w nim ugasić pragnienie. Pochylony, widzi nowy obraz i w nim odbitą całą świéżość, całe wdzięki młodzieńczego wieku i oczy iskrzące, lecz niewzruszone, ciekawie wpatrujące się w kryształy wody. Głowa jego pozostała schyloną, ręce — zwieszonemi. Narcyz

*) Sądu. **) Znamieniem, czyli godłem.

już nie żyje, a w miejscu jego wznosi się kwiat tegoż imienia. Tak więc bogowie dokonali metamorfozy *) młodego strzelca.

Mimo okazałość kwiatu, Narcyz ma na sobie coś melancholicznego—i dlatego starożytni uważali go za godło wiecznego snu i między kwiaty pogrzebowe policzyli; poświęcili go bogom piekielnym, wieńczyli nim głowę nieubłaganéj Nemezys **) i skronie umarłych.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

C.) Obrazy z domowego życia.

1. Obchód Kurka w Krakowie.

W Krakowie corocznie zgromadzała się szkoła strzelecka i z nią mnóstwo ciekawych na rynku. Tam wystawiano tarczę, wyobrażającą wielkiego koguta, Kurkiem zwanego. Ubić go było celem uroczystości. Król i dwór cały, panowie najmożniejsi, nieraz byli temu obchodowi przytomni, a znakomita młodzież puszczała się w zawody ze strzelcami. Ubijający skrzydła, ogon i łeb Kurka, dostawali w nagrodę półmiski cynowe, z wyobrażeniem tych samych szczegółów; kto zaś ostatnią szczelinę tarczy ustrzelił, ten, przy hucznych oklaskach, królem kurkowym był mianowany. Cała szkoła strzelecka i wielki orszak ludzi odprowadzał go w tryjumfie, z muzyką i weselem, do domu. Jeden z członków niósł przed nim Kurka srébrnego, który aż do następnego roku, wraz z tytułem króla, u niego zostawał.

Król kurkowy tak wielkie, w nagrodę zręczności swojéj, odbiérał przywileje, iż rząd w roku 1765 wolał je zmienić na dar piéniężny, 3000 złotych polskich wynoszący; następnie zniósł zupełnie i płacę i obyczaj, a teraz nie tylko obrząd ustał, ale i towarzystwo strzeleckie znikło.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1827 r.

*) Przemiany. **) Bogini zemsty.

2. Górale.

O kilkanaście mil za Krakowem, są wysokie, bardzo wysokie góry, a nazywają się Tatry. Na niektórych wierzchołkach, przez cały rok śniegi leżą, takie tam zimna, — bo trzeba wam wiedzieć, że im wyższa góra, to tém zimno na niéj większe.

Góry te składają się z samych skał, kamieni i głazów, a mieszka na nich lud, zwany Góralami, od gór. Ziemi tam urodzajnéj bardzo skąpo, ledwie miejscami trzyma się na skałach; a że zima trwa długo, a wiosna późno się zaczyna, więc téż i rola rodzić nie chce, bo oprócz owsa, żadne tam ziarno nie dojrzeje. Sadzą miejscami ziemniaki, ale o pszenicy, życie, kapuście, ani myśleć: szkoda zasiewać, bo się nie urodzi.

Naród tam mieszkający utrzymuje się jak może: jedni utrzymują dużo owiec... i jak je wypędzą na górskie łąki, na wiosnę, to już nie wracają, aż późną jesienią. Najstarszy pasterz zowie się *Baca*, a młodzi, co mu podlegają, jakby parobcy gospodarzowi, nazywają się *juhasy*. Siedząc tam w górach przez całe lato, sami pasterze doją owce, robią z mléka sérki owcze i potém po miastach sprzedają. Żywią się zaś serwatką i kawałkiem owsianego placka. Oj! moi ludzie, żebyście widzieli ten placek owsiany, tobyście się bardzo dziwili, jak to człowiek może jeść: bo to czarne jak święta ziemia; jak ugryziesz, to się tak mocno zębów uchwyci, że je trudno oderwać—a pełno w tém plew i ości owsianych, aż język kole. Przecież biédne góraliska zajadają z ochotą te placki, które idą im na zdrowie, a wyglądają dobrze i wyrastają na tęgich chłopów.

Drudzy kupują w lesie drzewo i robią z niego konewki, cebrzyki, balije, stoły, stołki, grabie, cierlice; wożą jednokonnemi wózkami na targi, sprzedają, a za utargowane pieniądze kupują kapustę, lub zboże—i zawożą do domu.

Inni znowu, skoro ma się ku sianożęci, zbierają się w gromady i zchodzą w niziny na zarobek.

Przez całe lato, od wsi do wsi, wędrują i, uzbierawszy grosza, wracają do domu, aby tym zarobkiem żywić przez całą zimę żonę i dzieci.

Inni wreszcie chodzą po lasach i górach, za kwiczołami i jemieluchami; łowią to ptastwo różnemi sposobami i wynoszą na targi, aby zarobić na pożywienie dla rodziny.

Góralki znów, latem, zbierają jagody i sprzedają w mieście, a grzyby zebrane, pourzynawszy im korzenie, suszą na sznurkach same główki i przynoszą do Krakowa, dopomagając mężom w zarobku.

Góral nosi na nogach skórzane *krypcie*, to jest kawałki skóry surowéj, rzemykami poprzywiązywane do nogi: raz dla tego, że ich na buty nie stać, a drugie, że choćby i stać było, nosić butów w górach nie można, bo ciężko chodzić i łatwiéj w nich ześliznąć się i spaść ze skały. Spodni nie noszą szerokich, tylko sukienne, obcisłe, przylegające do nóg, a pod kolanem, aż do stopy, zasznurowane. Koszule mają z grubego płótna, tłustością nasmarowane, żeby się ich nic nieczystego nie chwytało, bo nie mają czasu mężczyzni, na letnich wędrówkach, prać sobie bielizny. Na koszuli wisi na rzemieniu torbka ćwieczkami mosiężnemi nabijana, w któréj chowają sobie nóż, krzesiwo i inne rzeczy, potrzebne w drodze. Na wierzchu odziewają się guńką, jakby króciutkim płaszczem, z szerokiemi rękawami, kasztanowatą, którą na ramieniu zwieszają; na głowie mały okrągły kapelusz.

Górale lubią tańczyć... i oprócz skrzypków i basów, mają *kozę* albo *dudę*. Jest to skóra z kozy zdarta i zeszyta, a do niéj przyprawione trzy piszczałki: jedną opiera na ramieniu i ta ma głos najgrubszy, druga wisi od dołu, a trzecią trzyma przy gębie i przebiera na niéj pal-

cami. Ow zaś worek z koziéj skóry, wydęty powietrzem, trzyma pod pachą i gniecie z całéj mocy, wpychając wiatr do piszczałek... a drudzy tymczasem, na długich nogach, wyprawiają skoki.

Ci, co do nas przychodzą garnki drutować, nie są górale tatrzańscy, ale słowacy z Węgier i nie mówią po polsku, ale po słowacku; górale zaś z Tatrów mówią językiem polskim. Między kosiarzami ich najwięcéj.

1864 r.

3. Wychowanie dzieci w dawnych czasach.

Celem wychowania dziewczynki było zrobić z niéj dobrą żonę i rządną gospodynię; przy wychowaniu chłopca starano się o ukształcenie jego serca, rozwinięcie umysłu, nauczenie religii, zaszczepienie zasad sprawiedliwości.

Dziewczynki wychowywała sama matka; uczyła je czytać, szyć i pięknych obyczajów. Trzymała je zawsze przy sobie, zdaleka od czeladzi, aby się nie uczyły nieprzyzwoitych słów i nieskromnych żartów. Następnie uczyła je matka gospodarskich zatrudnień: jak prać chusty i suszyć je pięknie, jak pracować w ogrodzie, utrzymywać śpiżarnię, doglądać przędziwa, nabiału, drobiu... i znać się na kuchni.

W wychowaniu chłopca uważano na to, ażeby nie przyzwyczajał się do pieszczot i nie nawykał do wykwintności, lecz za młodu hartował ciało; ażeby był przyzwoitym w zachowaniu się i miał uczciwe obyczaje. Nauka na tém się zasadzała, aby umiał nie wiele, ale doskonale, to wszystko, czego się uczył; ażeby żył i postępował podług tego, co wié i co poznał. Naprzód uczono chłopca religii; nauczyciel odmawiał z nim paciérz, uczył go czytać i pisać, a następnie obcych języków. Obmyśliwano stosowne książki elementarne, jakoto: elementarze we cztérech językach (po Polsku, po Łacinie, po Włosku i po Niemiecku); rozmowy dla wprawienia dzieci w Łacinę; zbiory piękności

języka i t. d. Młodzieńca, już nieco rozwiniętego, uczono rano loiki i historyi, a po południu rozbiérano z nim pisarzy Rzymskich. Po skończeniu lekcyj, młodzieniec dosiadał konika i uczył się nim kierować, jak należy. Wprawiał się na koniu w wyrabianie dzirytem, godził nim do pierścienia, lub zdéjmował wysoko gdzie zawieszoną czapkę; zabawiał się sztuką szermierską; wprawiał się w taniec, lub wygrywał na lutni.

4. Lud wiejski w Lubelskiém.

Lud wiejski w Lubelskiém ma więcéj oryginalności i przymiotów od Mazurów. Ubiór tu wprawdzie nie tak strojny; kobiéty prawie zupełnie biało, a raczéj szaro się noszą, ale ubiór ten świadczy o ich pracowitości: bo zwykle, jak koszula, tak i spódnica i fartuch i parcianka *) i zawijka **) i owo na gładkim czépku owinięcie, które zawojem zowią, wszystko to jest z płótna własnéj ich roboty. Podobnyż jest i letni ubiór mężczyzn; kapelusze słomiane sami sobie plotą, a na zimę używają sukna, z wełny własnych owiec, któremu nawet przyrodzony kolor brunatny zostawiają. Niemal każdą chatę sad cieni... prawda, że do ego sama ziemia im sprzyja. Na polach — rozsiane grusze i jabłonie; w lasach — pełno drzew wiśniowych, trześniami zwanych. Pszczoły powszechnie hodują; lnu i konopi sieją i obrabiają wiele.

Lud ten cechuje wzajemna uczynność, smak w życiu towarzyskiém. Raz, wracając wieczorem z przechadzki, postrzegłam na małém pólku, niedaleko wiejskiéj chaty, z 10 kobiét, sadzących rozsadę. „Cóż to znaczy?“ spytałam się. „To sąsiadki i kumoszki gospodyni téj chaty,“ odpowiedziano mi, „dowiedziawszy się, że ona kapustę rozsadza, przyszły jéj pomódz, bo tak wzajemnie czynić zwykły i to niemal przy każdéj robocie.“ Nieraz, w czasie żniwa, skończywszy

*) Kaftan długi za kolana. **) Szal.

pańską powinność, zbiérają się parobki i dziéwki i przy świetle księżyca idą do którego z gospodarzy. Tam, razem z jego rodziną i czeladką, żną mu ochoczo zboże; trwa to zwykle późno w noc, gdyż nie odejdą, póki wszystkiego nie położą. Gdy już ostatnia garść leży na ziemi, gospodarz wyprawia im na tém samém polu ucztę: daje im piérogi z tatarczanéj mąki, kaszę jeczmienną, piwa i wódki. Kto chce miéć wyobrażenie wesołości i apetytu, niech słucha, jak śpiéwają i śmieją się przy téj dobrowolnéj robocie; niech patrzy, z jakim zajadają smakiem. W zimie mają także miłe schadzki i zabawy. Obiérają sobie dwie lub trzy chaty, największe we wsi całéj, i codzień w wieczór do tych gospodarstwa się schodzą. Tam dziéwki przędą na wyścigi, śpiéwają, nowinki sobie szepcą, bajki opowiadają; tam i parobcy się schodzą: niektórzy przędą, drudzy siécie wiążą, powrósła kręcą. Tam znajomości nowe początek mają; — wesołości miara nieprzebrana. Zabawa z pracą do północy sen odgania. Ażeby gospodarstwu nie być natrętnym i na sucho nie pracować, zawsze w dniu poprzednim układają się z gospodynią, co ma gotować na jutrzejszą wieczerzę, i, stosownie do tego, przynoszą miarkę kaszy, mąki, lub kartofli, kęs okrasy, szczyptę soli. Parobcy, ze swéj strony, to piwem, to wódką częstują; każdy także pęczek drzazeg i wiązkę słomy dostarczyć jest obowiązany. Przez ostatni tydzień roku, chociaż bywają schadzki, nie przędą wcale, ażeby im się, jak mówią, z końcem roku nić nie wysnuła i wszystko dobre nie skończyło. Bo już to, na nieszczęście, przesądów, zabobonów, guseł, między włościanami Lubelskiemi, bez liku.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1826 r.

5. Rusini.

Jako we wschodnich częściach królestwa, tak téż i we wschodniéj Galicyi, po wioskach, mieszkają Rusini, mówiący nieco odmienną mową, od włościan w zachodniéj części mieszkających. Mazury, a szczególniéj téż krakowiacy, odznaczają się zuchwałością i gotowością za lada czem do bitki; rusin jest daleko łagodniejszy i cichszy: nie lubi zaczepek, ani bijatyk, ale kiedy mu kto wyrządzi krzywdę, to ją daleko dłużéj pamięta od mazura, lub krakowiaka, i rad mści się za nią. Śpiewa smutno i zwolna... i na taką smutną nutę, że aż się płakać chce, a śpiewy te nazywają się szumki, lub kołomyjki. Rusini lubią bardzo przyśpiewywać i tańczyć po swojemu, to téż przy każdéj uroczystości, nie tylko jak u nas na weselach, ale przy chrzcinach, zrękowinach i odpustach, tańczą kołomyjki i śpiéwają.

Rusini są uboższemi od włościan na zachodzie mieszkających, a to głównie dlatego, że ziemie ruskie były wystawione na ciągłe rabunki tatarskie i wojenne zniszczenia. Co roku poganie uprowadzali ztąd mnóstwo narodu, niewiast, parobków, dziewcząt i dziewic... i, zamieniając ich w niewolników swoich, wyludniali wsie ruskie. Większą część roku, Rusin, chroniąc się przed napaścią tatarską, siedział w leśnych kryjówkach, albo chował się w polach i stepach, i tym jedynie sposobem unikał sromotnéj niewoli. Dla tego téż do dzisiejszego dnia podźwignąć się nie może z niedoli. Przytém i inne były przyczyny niedoli i biédy ruskiego włościanina; z jednéj strony trapiła go pańszczyzna, któréj przecież dzięki Bogu Najwyższemu dzisiaj już nie odrabia; z drugiéj znowu gorzałka — trzeba bowiem wiedzieć, że rusini bardzo wielką mają skłonność do téj trucizny, a między niemi znajduje się wielu takich, coby wszystko wywlekli z chałupy i przepili w karczmie. Nadto Rusini są trochę leniwi do pracy i nie biorą się do niéj ostro, jak Mazury lub Krakowiacy, ale powolnie i leniwie; więc im téż nie idzie robota ogniście, i prawie dwa razy tyle czasu potrzebują na odrobienie tejże, co tamci, pracy. Nie odmówił im Pan Bóg krzepkości i siły; ale dłu-

gie nieszczęścia i pociąg do wódki, nieco upośledziły ten piękny i poczciwy lud. Pobożność ich wielka: pieśni w cerkwiach śpiewają pięknie i modlą się rzewnie, a gorąco.

1864 r.

V. GEOGRAFIJA.

1. Kościół Panny Maryi w Krakowie.

Któż nie słyszał o wspaniałym kościele Panny Maryi w Krakowie i o wysokiéj wieży Maryjackiéj? Wszędzie u nas krąży przysłowie: „Wysoki, jak wieża Maryjacka.“ W żadnéj ze świątyń w całéj Polsce nié ma tak pięknego i tak nieocenionego ołtarza, jakim jest wielki ołtarz Panny Maryi. Mówią, że nawet w całym świecie nié ma drugiego takiego. Ołtarz ten jest dziełem Krakowianina, znanego széroko i daleko rzeźbiarza, Wita Stwosza, który żył przed 300 laty. Najpiękniejszą także gotycką budową jest kościół Panny Maryi. Również w całéj Polsce nié ma być tak pięknych malowań na szkle, jakiemi słyną okna w tymże kościele. A co do wspaniałości wewnątrz, to tylko katedrze Krakowskiéj piérwsze miejsce ustąpić musi.

Kościół Panny Maryi, zbudowany z wielką doskonałością, z nadzwyczaj trwałego materyjału, jest pobożném dziełem biskupa Krakowskiego, Iwona Odrowąża. Fundował go w roku 1226, a przecież budowa trwa nienaruszenie, dzielnie opiérając się zębowi czasu.

O kościele tym powiedział poeta:

W jego sklepie oko ginie, za myślą poleci,
Aż tam, gdzie w skroniach Maryi gwiazd dwanaście świéci.

Budowa téj ogromnéj i wspaniałéj świątyni trwała długi przeciąg czasu. Po biskupie Odrowążu wielu jeszcze znaczne summy łożyło na jéj wykończenie. Tak, Wierzynek, ów bogaty mieszczanin Krakowski za Kazimiérza Wielkiego, wymurował tę część kościoła, gdzie stoi wielki ołtarz. Jeszcze w roku 1394 obciosywano głazy na sklepienie, a dopiéro 1397 sklepienie to malowano.

Kościół ten pokryty miedzią, zdobią dwie wysokie wieże: jedna wyższa, druga niższa. Na niższéj znajduje się podziśdzień pięć dzwonów, z których największy wyniósł samotrzeć na wieżę Stanisław Ciołek, o którym powiadają, iż był tak silny, że, gdy drzewo ścisnął, to woda z niego ciekła. Na wyższéj—znajduje się dzwon zegarowy, a każdą godzinę na wszystkie cztéry strony świata otrąbują. Tam także, jako w miejscu bardzo wysokiém, dzień i noc znajduje się strażnik, który wciąż upatruje, czy jakie złe miastu nie zagraża, a, w razie niebezpieczeństwa, daje o niém znać mieszkańcom wołaniem przez tubę i biciem w dzwon, zwany gwałtownym, albo alarmowym. Z wieży téj jest wspaniały widok na Kraków i piękne jego okolice, ciągnące się aż do Karpat.

Ewaryst Estkowski.

2. Plantacyje w Krakowie.

Jeszcze niedawno Kraków opasany był wysokim murem z basztami (pięć bram go zamykało), ale to opasanie, lubo piękne, szacowne i starożytne, jednak w wielu miejscach zniszczone i upadkiem grożące, już nie od nieprzyjaciół, tylko od świéżego powietrza, Kraków zasłaniało. Musiano więc je zrzucić; została na pamiątkę Floryjańska brama i kawał muru z basztami. Na rozwalinach tych dawnych murów, w miejscach błotnistych, nieczystych, niezdrowych, porobione zostały przechadzki przyjemne, plantacyjami zwane, które teraz Kraków, jakby ogrodem, opasują. Tam codzień, osobliwie w święta, zgromadza się cała ludność Krakowa. Kto plantacyje obejdzie, cały prawie Kraków okrąży. Sposób sadzenia drzew na nich bardzo mi się podobał: są przeplatane kasztany z akacyjami.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1827 r.

3. Syberyja—jéj klimat i płody.

Syberyja ciągnie się wzdłuż całéj Azyi północnéj; przerzyna ją mnóstwo rzek, z których najznaczniejsze są: Ob, Jeniséj, Lena i Amur. Kraj ten dzieli się na dwie nierówne części. Jedna z nich nazywa się Syberyją Zachodnią, do któréj należą dwie gubernije: Tobolska i Tomska, i ziemie koczujących Kirgizów; główne miasto Tobolsk, leży nad rzeką Irtyszem, wpadającą do Obi. Druga część nazywa się Syberyją Wschodnią, do któréj należą dwie gubernije i trzy obwody. Z tych najurodzajniejszą i najzdrowszą jest gubernija Irkucka. Inne części Syberyi, jakkolwiek ze zdrowym klimatem, są bardzo zimne; lato w nich nader krótkie, trwa ledwo parę miesięcy, przez resztę roku śnieg zaściela ziemię, a mieszkańcy, nie mogąc chodzić koło roli, zajmują się handlem, myśliwstwem, lub pracują w zakładach górniczych. Mało tam paszy dla koni, co wyrodziło potrzebę wynalezienia innego sposobu odbywania podróży. Chcąc jechać w drogę, mieszkańcy zaprzęgają do sanek wyuczone psy—i te ciągną wozy pocztowe, przebiegając szybko, od stacyi do stacyi.

J. P.

4. O morzach obléwających Rossyję i rzekach w nie wpadających.

Siedem mórz otacza Rossyję: Ocean Północny, czyli lodowaty i ocean Wschodni, czyli wielki; morza: Białe, Kaspijskie, Czarne, Azowskie i Baltyckie. Niezliczone mnóstwo rzek przerzyna kraj, w różnych kierunkach, a rzeki znaczniejsze, połączone z sobą kanałami, ułatwiają przewóz żywności i towarów z południa na północ, ze wschodu na zachód. Wisła, przerzynająca Królestwo Pólskie, płynie od południa ku północy: zaczyna się w górach Karpackich, a wpada do morza Baltyckiego. Gdyby nie przewóz przez kraj obcy, to jest Królestwo Pruskie, w granicach którego Wisła do morza się wlewa, byłaby to najdogodniejsza droga komunikacyjna — wodna, między miastami nadwiślańskiemi, Warszawą, Płockiem i t. d., a miastami nad samem morzem Baltyckiém, lub blizko niego leżącemi w Cesarstwie Rossyjskiém, a mianowicie, między Rewlem, Rygą, Petersburgiem. Statek parowy, idący od Warszawy, potrzebuje dwóch dni czasu, żeby dopłynąć do Gdańska, nad Baltykiem, a ztamtąd, we dwa, najdaléj we trzy dni, już stanąć może w Petersburgu, i to bez względu, mniejszy czy większy ciężar dźwiga na sobie. Wisłą téż możemy dopłynąć i do innych miast, nad drugą wielką rzeką leżących, naprzykład do Grodna, do Kowna, nad Niemnem. Bo Wisła łączy się z Niemnem, uchodzącym także do morza Baltyckiego, za pomocą rzek pomniejszych, które do nich swe wody wlewają — i za pomocą kanału Augustowskiego, przekopanego jedynie w celu udogodnienia przewozu towarów, szczególniéj zaś zboża i materyjału leśnego. Jadąc z Warszawy drogą lądową do różnych miast Cesarstwa, musimy przebywać większe i mniejsze rzeki, nad któremi leżą miasta ważne, czy to pod względem handlowym, czy administracyjnym, czy wojennym. Gdybyśmy naprzykład chcieli jechać do stolicy Cesarstwa, do Petersburga, musielibyśmy przejeżdżać przez Niemen, pod Kownem. Niemen, rzeka spławna przez kilka miesięcy wiosennych i jesiennych, w lecie niekiedy w rożnych miejscach jest tak miałką, z powodu nagromadzających się piasków, że zaledwo ma kilka cali głębokości... co, w czasie wielkiéj posuchy, wstrzymuje przewóz tą drogą towarów, do morza Baltyckiego. O 6 mil za Kownem, przebywamy inną rzekę, Wiliję, która pod Kownem do Niemna wpada. Nad Wiliją, ku południowi, leży miasto Wilno.

Jadąc daléj, pod Dyneburgiem, przejeżdżamy przez Dźwinę Zachodnią, nazwaną tak, dla różnicy od Północ-

néj, wpadającéj do morza Białego. Nad Dźwiną Zachodnią leżą dwa miasta gubernijalne: Witebsk i Ryga. Za Dźwiną, aż do Petersburga, większych rzek nié ma. Petersburg, stolica Cesarzów Rossyjskich, założony w r. 1703, przez Piotra Wielkiego, liczy obecnie do pół milijona mieszkańców. Jest to miasto jedno z najpiękniejszych w Europie.

Drogę, od Warszawy do Petersburga, możemy przebywać lub wodą, lub po drodze bitéj, czyli szosse, a także i koleją żelazną. Wsiadłszy do wagonu, czyli dużego wozu, pojedziemy przez Grodno, Wilno, Dyneburg, Psków, do Petersburga. A ztamtąd koléj żelazna prowadzi do Moskwy, dawnéj stolicy Wielkich Książąt i Carów Ruskich, miasta rozległego i mającego ludności przeszło 300 tysięcy mieszkańców. Z Moskwy, gdybyśmy chcieli drogą bitą, czyli szossą, wracać do Warszawy, musielibyśmy przebywać rzekę Dniepr, która płynie z północy na południe i wpada do morza Czarnego. Nad tą rzeką leżą miasta gubernijalne: Smoleńsk, Mohilew, Kijów, Jekaterynosław i Cherson. Kijów był niegdyś stolicą całéj Rusi; należy do miejsc świętych Rossyi, dokąd corocznie, ze wszystkich stron państwa, udają się pobożni pielgrzymi, dla uczczenia świętych Patronów, których zwłoki w pieczarach, czyli podziemiach klasztoru Pieczerskiego spoczywają. Cherson leży u samego ujścia Dniepru do morza. Prócz Dniepru, przebywamy, po drodze z Moskwy do Warszawy, jednę tylko większą rzekę, Niemen; a, przejechawszy przez Bug, już jesteśmy w Królestwie Polskiém.

Wprost z Petersburga jadąc na wschód, omijamy dwa wielkie, największe nawet w Europie jeziora, Ładogę i Onegę, z których pierwsze szczególniéj morzem nazwać by można. Z Ładogi to wypływa rzeka Newa, nad którą leży Petersburg.

Daléj przebywamy wielką rzekę, Dźwinę Północną, wpadającą do morza Białego, które jest częścią oceanu

Północnego, czyli Lodowatego. Nad Dźwiną, u samego jéj ujścia do morza, leży miasto Archangielsk, ważne pod względem handlowym.

Jadąc do gór Uralskich, z Moskwy, przebywamy największą w Rossyi Europejskiéj rzekę, Wołgę, która przeszło 3 tysiące wiorst płynie, od zachodu i północy na wschód i ku południowi, a wpada do morza Kaspijskiego. Przepływa ona dziewięć gubernij, a po drodze przyjmuje do siebie mnóstwo rzek, z których najważniejsze są: Oka i Kama.

Dziewięć miast gubernijalnych leży nad Wołgą, a z tych najważniejsze są: Niżny Nowogród, słynny swym jarmarkiem, na który zjeżdżają się kupcy z różnych stron świata; Kazań, który był przed trzystu laty stolicą cesarstwa Kazańskiego,—i Astrachań, niedaleko ujść Wołgi do morza Kaspijskiego, niegdyś stolica cesarstwa Astrachańskiego.

Z Kijowa, jadąc do gór Kaukazkich, przebywamy rzekę Don, wpadającą do morza Azowskiego. Morze to jest częścią morza Czarnego, z którém się łączy cieśniną Kerczską.

J. Papłoński.

5. Miasta Polskie w XVI wieku.

Prócz Krakowa, miasta polskie w XVI w. nie były bardzo ludne i nad 20,000 mieszkańców nie liczyły. Niektóre z nich jednakże były bardzo piękne; miały kamienice o trzech i cztérech piętrach, ale wązkie, zwykle na trzy tylko, lub cztéry okna — wspaniałe ratusze, a nadewszystko kościoły okazałe z wysokiemi murami. Wkoło szedł mur: naprzód niższy, od pola, lub przedmieść, za nim—kanał, wodą zalany, i dopiéro mur wyższy, z wieżami fortecznemi po rogach i bramach.

Miasta murowane, utwierdzone, z zamkami murowanemi, były: Kraków, Sandomiérz, Lublin, Krasnystaw, Poznań,

Konin, Płock, Warszawa, Pułtusk, Lwów, Przemyśl, Krosno i Kamieniec.

Miasta koronne, w drzewo budowane, nie dochodziły nigdy ludności 10,000. Miasta przyczepione do miast murowanych, czyli, mówiąc właściwie, przedmieścia, wszędzie były drewniane, słomą pokryte, bez bruków i nędzne. Przy mieście drewnianém znalazł się czasem zamek murowany, albo je też mur w koło opasywał, lecz najpospoliciéj całą warownię stanowiły: wielki rów, ostrokół dębowy i wał.

Wszystkie miasta przewyższał Kraków. Miał zamek królewski z kościołem Katedralnym, mury naokół wzniosłe, a kościołów i gmachów wspaniałych, kamienic misternie budowanych, wież i wszelkich ozdób, moc wielką. Wkoło rozciągały się znaczne sady i ogrody, wiele stawów i sadzawek rybnych. Kaźmierz i Kleparz, miasta, a Stradom wieś, były przedmieściami Krakowa.

Za Krakowem w drugim rzędzie stał Poznań, murowany, z podwójnym murem i kanałem wokół, wieloma wieżami fortecznemi, ale w bardzo małéj przestrzeni. Główne miasto nie liczyło nad 15,000, a z innemi przybudowanemi, miastami i przedmieściami, może drugie tyle mieszkańców.

Przedmieścia Poznańskie, jak i innych większych miast polskich, były drewniane, z chatkami, nieregularnie budowane, bez bruków i do wsi całkiem podobne, a mieszkali na nich rzemieślnicy partacze i lud najuboższy.

Przedmieścia, jako nieobwarowane, cierpiały wiele, podczas wojen, a Lwowskie, razporaz, palili Tatarzy.

Jędrzéj Moraczewski.

6. Dubiecko.

Dubiecko jestto małe miasteczko, położone na wysokiém brzegowisku, nad Sanem, w ziemi Sanockiéj, w dawném województwie Ruskiém, w prześlicznéj okolicy górskiéj. Z ciasnego skalistego wyłomu, w którym San przerzyna pasmo gór, zwane Słonném, wychodzi tu on na rozległe błonia, w dolinę podłużną, i przewijając się srébrną wstęgą, odkrywa rozległe widoki. Cały krajobraz leży w ostępie szumiących lasów, któremi porosły góry; a urodzajność błonia, świéża zieloność łąk, szum wody, gra mgły, stroją dziwnym urokiem ten kraj. Najkorzystniéj przedstawia się ta okolica z wyniosłego brzegowiska zamkowego dziedzińca, u którego stóp San wężem się zwinął.

Od kilku wieków jest Dubiecko gniazdem ojczystém rodziny Krasickich i w zameczku nad Sanem urodził się Ignacy Krasicki, dnia 2 Lutego 1734 roku.

Wincenty Pol. 1852 r.

7. Upiększenie Warszawy
ZA STANISŁAWA AUGUSTA.

Wiadomo wszystkim, co Poniatowski zrobił dla ozdoby Warszawy, i jakiemi publicznemi budowlami podniósł ją do znakomitszych miast w Europie. Długo byłoby wyliczać pałace i domy osób prywatnych, powstałe za jego czasów, a nawet całe ulice, nowo zabudowane; wspomnimy więc tylko o gmachach i zakładach publicznych. Zaraz w samém rozpoczęciu rządów tego króla, w dawnéj rezydencyi Jana Kazimiérza, na Krakowskiém-Przedmieściu, urządzono koszary dla kadetów i odnowiono opuszczony pałac. Zamek, w zaniedbaniu i prawie ruderach zostawiony przez Augusta II, zaczynający się podnosić za jego syna, przyszedł do zupełnego urządzenia i wspaniałości królewskiéj, staraniem Stanisława Augusta. Znakomici malarze: Smuglewicz, Bacciarelli i Canaletti, pięknemi dziełami pędzla swojego, ozdobili sale i komnaty tego gmachu. Tuż przy nim stanął pałac *pod blachą*, przez Lubomirskich zbudowany. Sam król, dom swój, gdzie ojciec jego mieszkał, przy ulicy Bielańskiéj, obrócił na mennicę. Na Podwalu urządzona została ludwisarnia, własnym kosztem króla, jeszcze przed 1780 rokiem.

Nie wzniesiono wprawdzie pod tém panowaniem żadnéj nowéj świątyni w Warszawie, dla obrządku Rzymsko-Katolickiego, król jednak, swoim nakładem, wystawił obszerny klasztor dla Sakramentek na Nowém-Mieście, a książę Karol Radziwiłł, w roku 1872, przyozdobił kościół Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu bardzo piękną wystawą. Inne wyznania pobudowały sobie w téj epoce przyzwoite domy modlitwy. W roku 1771, na Lesznie, z prywatnego domu zrobiono kaplicę Reformowaną; w roku zaś 1781, stanął piękny kościół Ewangelicki, przy ulicy Królewskiéj; nakoniec metropolita unicki Smogorzewski, roku 1780, wybudował ze swoich funduszów kościół i klasztor Bazylijański, przy ulicy Miodowéj. Koszary, obszerne i pięknéj budowy, są także znakomitém dziełem Stanisława Augusta. Król ów, prócz tych budowli, jest założycielem teatru polskiego w stolicy.

Do wspanialszych budowli, jakie za tego króla ozdobiły Warszawę, słusznie policzyć wypada: pałac książąt Jabłonowskich (przy ulicy Senatorskiéj), pałac biskupów Krakowskich, dawny pałac Prymasowski nanowo podźwignięty, prócz bardzo wielu innych. Za panowania Stanisława Augusta pomnożyły się drukarnie w Warszawie: Micler, Grell i Dufour, ciągle wybijali dzieła ówczesnych pisarzy. Miasto w roku 1791, do wielkiéj zamożności przyszedłszy, już 100,000 ludności miało.

Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński. 1844 r.

8. Kazimiérz.

Kazimiérz, siedem mil od Lublina, leży nad Wisłą, w przyjemnéj dolinie, otoczonéj wysokiemi i rozmaitém drzewem porosłemi górami. To miasto ma 3 kościoły; między niemi przodkuje Farny, pod górą zamkową, przez Kazimiérza Wielkiego zbudowany, a przez Henryka Firleja odnowiony.

Rynek obudowany jest starożytnemi kamiennemi domami; niektóre z nich wiele wieków liczą. Ogromny spustoszały zamek, z wysoką wieżą okrągłą, był dziełem i ulubioném mieszkaniem wielkiego króla. Mnóstwo było śpichrzy, teraz w większéj części w gruzach. Z góry zamkowéj spostrzega się przyjemna okolica, upiększona widokiem Puław i Janowca.

Miasto to, dla ułatwienia handlu zbożowego, założył Kazimiérz Wielki. Jakoż handel ów w następnych wiekach Jagiellońskich kwitnął tu znacznie: kupcy z Gdańska, Elbląga, Torunia, a nawet zagraniczni, po zboże tu przybywali; są nawet wiary godne świadectwa, że kupcy Angielscy mieli tu swoje kantory.

Tomasz Święcki. 1816 r.

9. Radecznica

W powiecie Krasnostawskim, w dziwnie pięknem położeniu, leży wieś Radecznica, należąca do ordynacyi Zamojskiéj. Na górze, w żyznéj okolicy, pośród pięknéj dąbrowy, wznosi się kościół z klasztorem księży Bernardynów, do którego się wstępuje po kilkudziesięciu wschodach krytych. Przysionek, na kolumnach wsparty, ozdabia kościół, w którym znajduje się obraz świętego Antoniego Padewskiego, cudami słynący. Na wysepce, pośród stawu, jest kaplica, gdzie przy źródle miał się okazywać cudownie święty Antoni.

Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński. 1844 r.

10. Górnictwo krajowe.

Ojciec. Całe górnictwo Polskie jest podzielone na 3 okręgi, czyli oddziały: okrąg Wschodni, oddział Dąbrowa i oddział Panki. Tam to znajdują się różne zakłady górnicze, do przerabiania płodów kruszcowych i ziemnych.

Jaś. Czy w naszych kopalniach znajduje się srébro?

Ojciec. Znajduje się, ale w tak małéj ilości, że nie wróciłyby się koszta, łożone na wydobywanie i przerabiabianie rudy. Dawniéj słynęło srébro z kopalń Olkuskich, ale poczęści je wyczerpano, a poczęści kopalnie te, przez zalew wody, wojny i niegospodarność, zaniedbane zostały.

Jaś. Ale miedzi to musi być u nas dosyć, kiedy jest tyle trzygroszniaków, na których napisano: „3 grosze z miedzi krajowéj.“

Ojciec. Zapewne; więcéj niż srébra, ale zawsze mało. Pod Miedzianą górą, około Kielc, wydobyto dosyć miedzi od roku 1816 do 1826, potém jednak zarzucono, bo się przekonano, że koszta przewyższają dochody.

Jaś. Więc jakichże metali dostarczają nam kopalnie?

Ojciec. Głównie rudy żelaznéj, z któréj się przerabia żelazo—i galmanu, który po oczyszczeniu daje cynk. Najważniejsze rudy żelazne mamy w Miedzianéj górze, w Dąbrowie pod Kielcami, w lasach Sandomiérskich, w Dalejowie, Smykowie, w kilku kopalniach nad rzeką Kamionną, daléj około Iłży, Górnik, Starachowic. W ogóle zakładów do wydobywania rudy i przerabiania żelaza jest 464, w których przerabia się żelaza na 10 milijonów złotych rocznie, miedzi zaś wydobywa się na 700 tysięcy.

Jaś. Wiem, jak jest użyteczném żelazo, ale cynk do czego się używa?

Ojciec. Cynk głównie używa się do pokrywania dachów, a z cynku naszego korzysta nietylko nasz kraj, ale i inne państwa Europy.

Jaś. Gdzież są u nas głównie kopalnie cynku?

Ojciec. Cynk czysty nigdzie się nie znajduje, lecz w postaci rudy, zwanéj galmanem. Najznaczniejsza massa galmanu znajduje się w okolicach Olkusza, Sławkowa, Czeladzi i Siewierza, wszystko na południowéj granicy, niedaleko od Krakowa. Ten galman tłuką i mielą, potém w hutach cynkowych wytapiają na metal, a w walcowniach wyrabiają blachy do pokrywania dachów. Walcownia taka znajduje się w Sławkowie, pod Olkuszem.

Jaś. I dużo téż u nas wyrabiają cynku?

Ojciec. Rocznie na 8-kroć sto tysięcy złotych.

Jaś. A węgiel kamienny czy także się w kopalniach dobywa?

Ojciec. Także. Najważniejsze kopalnie węgla są: Reden w Dąbrowie i Ksawery pod Bendzinem, w powiecie Olkuskim.

Jaś. A gdzie są u nas łomy marmurów, o których tata wspominał?

Ojciec. Pod Chęcinami, w blizkości Kielc, są największe i najpiękniejsze; wyrabiają tam różne przedmioty z marmuru: pomniki, stoły, wazy, i do Warszawy je przywożą.

Jaś. Czy to ztamtąd ta waza pochodzi, co to u nas na stole stoi, bo tata mówił, że ona z marmuru Chęcińskiego.

Ojciec. Ztamtąd właśnie; Chęciny leżą pomiędzy dziewięcioma marmurowemi górami, obfitującemi w piękne kamienie, w kruszcze ołowiu i różne farby. W tych górach urządzone były dawniéj kopalnie, z których znaczne bogactwa wydobywano. Dziś te kopalnie są nieczynne; nawet z pięknych marmurów Chęcińskich bardzo mało u nas korzystają.

Jaś. Czy prócz waz można jeszcze co wyrabiać z marmuru?

Ojciec. O! wiele i bardzo wiele pięknych rzeczy, jużto służących do ozdoby, jużto dla ich trwałości i czystości, jakoto: stoły, schody, posadzki, pomniki, grobowce, ozdoby w kościołach.

Jaś. A to czemużnie wyrabiają u nas tych przedmiotów?

Ojciec. Czemu? Smutno mi, mój synu, na to odpowiadać, bo trzeba o to obwiniać nas wszystkich, żeśmy o właśne dobro niedbali; że nie umiémy cenić tych darów, któremi Stwórca tak hojnie nas obdzielił; że kochamy się

więcéj w rzeczach obcych, które cudzoziemcy do nas przywożą, niż we własnych, których taką obfitość mamy u siebie pod ręką.

Jan Papłoński. 1858 r.

VI. HISTORYJA NATURALNA.

A). OBRAZY I OPISANIA.

1. Człowiek i ziemia.

Z początku ludzie nie rychło zaczęli puszczać się na dalekie podróże po lądzie i po morzu i poznawać różne dalsze kraje; dziś jednak powoli do tego przyszli, że całą prawie ziemię zwędrowali, przemierzyli, narysowali sobie dla pamięci na papiérze i przekonali się, że jest tak wielką, iż chcąc ją całą wkoło objechać, jadąc ciągle po ziemi i po wodach, a robiąc 10 mil na każdą dobę, potrzebaby jechać bezmała 18 miesięcy, czyli półtora roku, nimby się na swoje miejsce wróciło.

Taka to jest wielka ta ziemia nasza, na któréj nam Pan Bóg dał mieszkać. Ludzie po niéj, jako robaczki drobne, pełzają, a najwyższe góry, które nam się ogromnemi wydają, tyle znaczą na niéj, co chropowatości na łupince od jaja.

Od owego czasu, jak Pan Bóg ziemię stworzył, ile to tysięcy lat przeszło! ile ludzkich pokoleń pomarło, których i prochy już nie zostały. Cóż dopiéro przymierzyć i tę ziemię całą do gwiazd i słońca, i życie człowieka do tych lat tysięcy—i tę małość naszę do wszechmocności Bożéj!

Człowiek rozmyślając o tém, musi się stać lepszym i pokorniejszym, bo czuje się tylko drobnym pyłkiem, a dusza w nim, dar Boży, sama jedna coś warta.

Józef Ignacy Kraszewski. 1862 r.

2. Słońce.

Słońce, pomimo tego, że świéci i ogrzéwa, nie jest bynajmniéj ogniskiem, ani się téż nic na niém nie pali. Jestto także bryła w postaci kuli, podobna do ziemi naszéj, tylko nierównie ogromniejsza.

Światło słoneczne jest niezmiernie silne i, jak wiadomo, wzrok ludzki blasku jego znieść nie może. Chcąc dać wyobrażenie o sile tego światła, dość powiedzieć, że, kiedy najogromniejszy pożar, w odległości trzech, lub cztérech mil, słabém patrzącemu wydaje się światełkiem, to wzrok ludzki znieść nie może widoku słońca, odległego na 20 milijonów mil od ziemi.

Ogrom słońca jest taki, że z jednéj kuli słonecznéj możnaby zrobić blizko półtora milijona kul, tak wielkich, jak ziemia.

Władysław Ludwik Anczyc. 1862 r.

3. Księżyc.

Księżyc, podobnie jak ziemia i słońce, jest kulą, ale różni się tém od słońca, że, chociaż świéci, nié ma własnego światła i tylko odbija promienie słoneczne.

Jak to być może, żeby rzecz jaka, nie mając światła, wydawała jasność? Odpowiedź na to bardzo łatwa. Spojrzyjmy na rzekę, lub staw, gdy się znajduje między nami a słońcem, a zobaczymy, że powierzchnia wody, odbijając światło słoneczne, wydaje taki blask, iż go trudno znieść oku. Otóż i księżyc, podobnie jak woda, odbija promienie słoneczne i świéci, chociaż własnego nie posiada światła.

Odległość księżyca od ziemi wynosi 50 tysięcy mil, a gdyby ziemię łączyła z księżycem droga, np. koléj żelazna, toby na jéj odbycie potrzebował człowiek 521 dni, jadąc dzień i noc po 4 mile na godzinę.

Władysław Ludwik Anczyc. 1862 r.

4. Burza w lecie.

Na gorącém, jasném niebie pokazuje się chmurka; im więcéj się przybliża, tém większą, gęstszą i ciemniejszą się staje. Już całe niebo—ciężkiemi chmurami pokryte, jakby grubemi kłębami dymu; w powietrzu parno, jak w piecu. Nagle zrywa się wiatr, szum i wicher; porywa zboże z garści, piasek pod obłoki unosi. Przerażone bydło uchodzi do zagród; gęsi gęgają; polne ptaszki piszczą żałośnie, szukają schronienia przed burzą; jaskółki szybują w powietrzu pod chmurami, lub skrzydełkami muszczą wodę. Wiatr coraz potężniéj się sroży, rwie słomę z dachów, nagina drzewa, odłamuje gałęzie. W chmurach szumi i wre, jakby w kotle. Zabłysło, zagrzmiało, rozrywają się chmury, lunął dészcz kroplisty. Migają się na krzyż błyskawice, jak wstęgi ogniste; zdaje się czasem, że Bóg, skinieniem Swém, ciemności rozprasza i niebo otwiéra. Długiemi smugami leje się woda z obłoków na ziemię, jakby niebo ziemię zalać chciało; gwałtowna uléwa napełnia rowy, zaléwa pola i łąki; woda wezbrana rozrywa zagony, zabiéra zboża i siano. Ognie niebieskie—coraz gęstsze; grzmoty—coraz przeraźliwsze. Czasem nagle błyśnie i huknie, jakby się niebo rozpękło; wypada piorun z chmur i z ogromnym łoskotem wpada w wodę, lub rozłupuje wysokie drzewo od wiérzchołka do ziemi i w jednéj chwili obcina gałęzie. Ludzie nieczystego sumienia drżą ze strachu; cnotliwi—są spokojni, a podziwiają potęgę Stwórcy.

Wylały się nakoniec wody z chmur na spragnioną ziemię; ucichły grzmoty; ustały błyskawice; chmury się rozchodzą; ukazuje się błękitne niebo; jasne słońce rzuca znowu ciepłe promienie na odświéżoną ziemię. Młode kłosy jęczmienia i kiście owsa, obciążone kroplami perlistemi, chylą się ku ziemi; roślinki główki podnoszą; łąki i drzewa, obmyte z kurzu, niby w nowych, strojnych, ukazują się

szatach. Skowronki ku niebu wzlatują i śpiéwają; muszki brzęczą, a komary igrają w miłém powietrzu.

Ewaryst Estkowski. 1862 r.

5. Huragan.

Wiatr wieje z rozmaitą mocą. W południowych krainach ryczą gwałtowne huragany, o których my wyobrażenia nié mamy. Gdy się nagle zerwie taki straszliwy huragan, wtedy kto może chroni się do jaskiń i piwnic, aby nie był porwany od burzy i zgruchotany. Wtedy to walą się domy, lecą w powietrzu drzewa, wyrwane z korzeniami, i ogromne kamienie; huragan wyrzuca na brzegi ogromne okręty; giną polne zasiewy; sady, lasy i okolica cała, zamieniają się prawie w pustynię.

I cóż ztąd, że kraje tamte mają prawie nieustanną wiosnę, najpiękniejsze kwiaty i najsłodsze owoce; że drzewa rosną do ogromnéj wysokości, a ziemia nie potrzebuje mozolnéj uprawy, ale, zaledwie poruszona, już bujne plony wydaje, stokrotnie ziarno powraca! Pięknie tam i miło, ale przyjdzie okropny huragan i w jednéj chwili niszczy wszystko i tysiące ludzi zabija.

Jakże więc dziękować powinniśmy Bogu, że kraj nasz nie jest na tak straszliwe klęski wystawiony! Niczém jest obfitość bogatych krajów południowych, w porównaniu do naszéj spokojnéj mierności, a jeśli tam zapłynie który z naszych rodaków, to, widząc skwary i burze, zniszczenia i klęski, tém bardziéj tęskni do swéj rodzinnéj ziemi, tém bardziéj kocha jéj chmurne niebo.

Władysław Ludwik Anczyc. 1862 r.

6. Mgła i dészcz.

Na całéj ziemi jest daleko więcéj morza, niżeli gruntu stałego. Gdy słońce przypiecze na te ogromne przestrzenie

morskie, wody naturalnie parować muszą, a para ta, jak z garnka, kiedy się w nim zagotuje, idzie do góry.

Z tych oparów nad ziemią tworzą się chmury i obłoki, a gdy je wiatr uniesie do góry, gdzie jest chłodniéj, para, stygnąc, zamienia się w krople i opada dészczem, lub osiada mgłą na ziemi. Takimto sposobem Pan Bóg ciągle żywi łąki i pola, z których lecące strumienie i potoki zbiérają się w rzéki, płynące do morza.

Tak to, co z morza wyparowało, powraca do niego, zwilżywszy pola, aby znowu parowało i spadało na ziemię, dla jéj użyźnienia.

Józef Ignacy Kraszewski. 1862 r.

7. O ciele zwierząt.

Ciało zwierzęce rozłożyć można na trzy główne części: 1) głowę, 2) tułów i 3) członki górne (ręce) i dolne (nogi). Nie wszystkie zwierzęta mają głowę; tak np. polipy jéj nie mają. Najwięcéj zwierząt ma po dwie pary członków. Wieloryby mają jednę tylko parę członków, węże nié mają żadnéj, owady mają ich po 3, pająki po 5, raki po 6 par, a niektóre robaki po 500 par.

Ciało zwierzęce ochrania ze wszech stron błona nieczuła, nazwana skórą. Wewnątrz jest szkielet, czyli koścień, zbudowany z wielu kości. Nie wszystkie zwierzęta mają szkielet, jak np. ostrygi i ślimaki; u raków wierzchnia skóra stwardniała zastępuje miejsce szkieletu. Zwierzęta ssące, ptaki, gady i ryby, mają koścień, podobny do człowieczego.

Między szkieletem i skórą znajdują się muskuły (myszki), zwane pospolicie mięsem. Muszkuły te są elastyczne: kurczą się, naprężają i naginają, odpowiednio do ruchów. W ludzkiém ciele liczba ich sięga do 500. Czerwoność ich brunatna pochodzi od krwi, która się w nich znajduje. Między muszkułami są naczynia, rozprowadzające krew' po całém ciele, zwane żyłami, także i nerwy, które są narzędziami czucia.

W głowie i tułowie są inne jeszcze części.

Na twarzy są jamy, do umieszczenia narzędzi zmysłów służące, mianowicie: widzenia, powonienia i smaku. Czaszkę kulistą zapełnia najważniejszy organ, zwany mózgiem, który, jakby gruby biały sznur, spuszcza się wzdłuż pacierza i łączy z głównemi nerwami ciała. Z obu stron czaszki znajduje się nader sztuczny narząd słuchu.

Przeciąwszy żebra i otworzywszy klatkę piersiową, znajdziemy w téj jamie serce i płuca. Przegroda mięsista, zwana oponą, oddziela jamę piersiową od brzuchowéj. W téj ostatniéj mieszczą się kiszki, żołądek, wątroba z żółcią, śledziona i inne wnętrzności.

Organa powyższe pełnią różne czynności. Gęba, zęby, żołądek, kiszki i wątroba, są narzędziami trawienia; płuca—oddychania; serce rozprowadza po wszystkich organach części odżywiające. Są jeszcze i inne narzędzia, za pomocą których oceniamy smak i zapach, słyszymy głos, dźwięk, huk, krzyk, i t. d., widzimy i poznajemy otaczające nas przedmioty, a dotykając się ich, przekonywamy się o ich różnych własnościach; za pomocą innych—przenosimy się z miejsca na miejsce i t. d.

Hipolit Witowski. 1849 r.

8. O instynkcie zwierząt.

Bóg nie dał zwierzętom rozumu, ale instynkt: nikt zwierząt nie uczy, a jednak, co rodzice umieją, to umieją także ich dzieci. Młody pajączek wié doskonale, jak prząść siatkę i na muchy ją zastawiać; bez nauki buduje sobie gąsiennica sztuczny grób; bez nauki buduje pszczoła cudowne komórki i plastry, w które słodycz kwiatów składa; bez nauki lepi jaskółka zgrabne gniazdko. Do tego wszystkiego prowadzi zwierzęta instynkt. Instynktem wiedzą ptaki, kiedy zima, lub wiosna nadchodzi... i kiedy nas opuszczać, lub do nas wracać mają. Więcéj jednak człowiek umié od

wszystkich zwierząt. Jaskółka nie potrafi sobie innego domku zbudować, jak tylko gniazdko z błota; wół nieraz na najpiękniejszy pałac patrzał, a przecież ani lichego chléwka zbudować sobie nie potrafi—człowiek zaś buduje piękne domy, zakłada śliczne ogrody i wspaniałe miasta.

Ewaryst Estkowski. 1863 r.

9. Zęby.

Pokarmy ciekłe połykamy bezpośrednio; ale tęgie, stałe, aby je połknąć i strawić z łatwością, trzeba piérwéj na drobne kawałki podzielić. Dzielenie to, nazwane żuciem, jest czynnością zębów, które szczękami w ruch wprowadzone, ściskają, przecinają, albo rozgniatają żywność. Zęby są to małe ciała, bardzo twarde, mające wielkie podobieństwo do kości i utwierdzone w dołkach szczęk. Poduszeczki włókniste, ościelające brzegi szczęk, zowią się dziąsłami. W każdym zębie dwie są części: jedna zewnętrzna, zwana koroną, druga tkwiąca w dołku, mająca jednę, albo więcéj odnóg, nazwana korzeniem. Nakoniec widzieć się daje często między koroną i korzeniem zwężenie, zwane szyją zęba.

Powierzchnia zębów pokryta jest pewnym rodzajem werniksu kamienistego, twardego, który glazurą nazwano. Tylko korona zębów pokryta jest glazurą, korzeń zaś nie.

Zęby powstają z małych woreczków, które zamknięte są w szczękach. Wyrastając z dołka, ząb przedziéra się przez dziąsło i występuje na zewnątrz.

Piérwsze zęby wkrótce wypadają i ustępują innym, trwałym i silniéj umocowanym. Piérwsze nazywają się mlécznemi, drugie—trwałemi. Trzy są rodzaje zębów: przodkowe, kły i trzonowe. Zęby przodkowe, albo siekacze, z przodu gęby, mają końce ostre, korzeń pojedyńczy; służą do siekania, przecinania żywności. Kły następują po siekaczach; są zwykle długie, śpiczaste, o jednym także korzeniu i mocno zagłębione w szczęce; służą do wrzynania się

w mięso, które zwierzę chwyta i rozdziéra. Zęby trzonowe następują po kłach z obu stron gęby: mają zwykle więcéj korzeni, koronę széroką i służą do miażdżenia żywności.

U różnych zwierząt liczba zębów jest różna. Człowiek, małpa, pies, kot i t. d., mają wszystkie rodzaje zębów wymienionych, ale królik, szczur i inne strzyżaki nié mają kłów; leniwiec nié ma siekaczów; nakoniec są i zwierzęta bez zębów, np. mrówkojad, wieloryb, ptaki.

Kształt zębów jest rozmaity u różnych zwierząt i spostrzeżono, że ta różnica zależy od natury żywności.

U człowieka zęby mléczne pojawiają się przy końcu piérwszego roku i wcześniéj, a wypadają około siódmego. Zębów tych jest 20: w każdéj szczęce 4 siekacze, 2 kły i 4 trzonowe. Zębów drugich, trwałych, jest 32: siekaczów i kłów taż sama zostaje liczba, ale trzonowych u człowieka dojrzałego jest 20.

Hipolit Witowski. 1849 r.

10. Koty.

Kotami nazywają naturaliści nietylko koty zwyczajne, ale tygrysy, lwy i t. d. Wszystkie są mięsożerne i mają mocno uzbrojone szczęki. Pazury u kotów są wysuwalne, łukowate, ściśnione, bardzo ostre i w skórze ukryte wczasie spoczynku. Słuch mają nadzwyczajny i zmysł ten jest u nich najbystrzejszy. Zdaje się, że wzrokiem nie sięgają na wielkie oddalenie, ale widzą dobrze w nocy i we dnie; ich źrenica rozszérza się i ściąga według mocy światła. Nim jedzą, wąchają pożywienie. Język ich jest bardzo szorstki. Futro mają w ogóle miękie, delikatne, i cała powierzchnia ciała jest czuła, a nadewszystko wąsy.

Zwierzęta, należące do rodzaju kotów, znajdują się prawie na całéj kuli ziemskiéj, a obyczaje ich są wszędzie podobne. Obdarzone siłą wielką; nie napadają na inne zwierzęta otwarcie: chytrość i podstęp kierują ich ruchami.

Nie ścigają zdobyczy, ale, zaczajone zwykle w krzakach gęstych, blizko źródeł, czekają na zwierzęta, które przychodzą dla napoju, i rzucają się na nie jednym skokiem.

Największym ze wszystkich kotów jest lew;—blizko 8 stóp długi, a 3 wysoki. Maść jego jest żółta. Samce mają grzywę wokoło szyi i barków—i kosmyk na końcu ogona. Lew jest najsilniejszym między drapieżnemi: postawę ma wspaniałą, spojrzenie dumne, chód szlachetny i poważny. Jedném nogi uderzeniem łamie krzyż koniowi, a zamachem ogona najsilniejszego obala człowieka. Doraźnym skokiem przerzuca się o 30 stóp—i największego wołu daleko bez natężenia wlecze. Ryk jego doniosły odbija się między górami, jak huk grzmotów w oddali. W napadach wściekłości ryk ten jest jeszcze przeraźliwszy, ale krótki, przerywany, powtarzający się. Lew strasznym jest, gotując się do walki: uderza się po bokach ogonem; grzywa mu się najéża i osłania głowę; wszystkie muszkuły drgają; brwi ogromne zasłaniają źrenice; wyszczérza kły straszne, wysuwa język i pazury, prawie tak długie, jak palce. Zbliżenie się do niego, w takim stanie, ścięłoby krew' w żyłach najzuchwalszego człowieka. Wyjąwszy słonia, nosorożca, tygrysa i hipopotama, żadne inne zwierzę nie ośmieliłoby się stanąć z nim do walki.

Drugim gatunkiem kota jest tygrys. Tygrys królewski, albo wschodni, jest jeszcze groźniejszy od lwa, bo, równy mu co do siły i wzrostu, przewyższa go dzikością. Szerść ma krótką, żółtawą, w promienie poprzeczne, czarne. Mieszka w Indyjach i dopuszcza się ogromnych spustoszeń.

Jaguar, prawie tak wielki i niebezpieczny, jak tygrys królewski, mieszka w wielkich lasach Ameryki. Futro ma żółte u góry, wkształcie oczek wzdłuż boków, a białe w czarne pręgi od dołu. Kuśniérze zowią go wielką panterą.

Pantera znana jest z piękności futra płowego, z czarnemi plamami w kształcie róż. Znajduje się w całéj Afryce i w gorących okolicach Azyi. Bardzo podobna jest do lamparta, tamże mieszkającego.

Ryś jest inny gatunek kota, godny uwagi. Uszy ma zakończone długiemi kosmykami włosów, futro rude, w plamy rudo brunatne. Pochodzi z Europy, ale go nié ma w okolicach zamieszkałych; znajduje się jeszcze w Pirenejach, w górach królestwa Neapolitańskiego i w Afryce. Włazi na najwyższe drzewa i, ukryty w gałęziach, czatuje na wiewiórki, gronostaje i t. d. Wyrządza wielkie psoty i szkody, niszczy wiele zajęcy, rzuca się i na większe zwierzęta, jakoto: jelenie, łosie, sarny, i wysysa z nich krew', mało mięsa pożywając. Dla bystrego wzroku, nazywają go ostrowidzem.

Kot pospolity pochodzi z lasów Europejskich. W dzikim stanie jest popielato-brunatny w pasy poprzeczne, ciemniejsze z wiérzchu, blade ze spodu. Łapy na zewnątrz ma żółtawe, ogon — w obrączki czarne. Maść kotów domowych, długość i cienkość włosów, są najrozmaitsze.

Hipolit Witowski. 1849 r.

11. Owca.

Owce są po wołach najużyteczniejszemi dla człowieka zwierzętami. Ich mięso smaczne, posilne i zdrowe, i mléko wyborne, stanowią gałęź pożywienia ludzkiego. Skóry ich, rozmaicie wyprawiane, dają kożuchy, safijan, zamsz, irchę i pergamin. Z tłustości owiec wytapiają łój, zdatny do różnych wyrobów, a mianowicie na mydła. Z końców nóg otrzymują kléj stolarski; z rogów robią grzebienie i inne pożyteczne przedmioty, a z trzewi, czyli z tak zwanych kiszek cienkich, mamy struny do skrzypców, gitar i harf. Największą jednak korzyścią z owiec domowych, a mianowicie z owcy merynosa, jest najprzedniejsza wełna, z któréj sukna i rozmaite inne kosztowne tkaniny wyrabiają. Za to owca wymaga wielkiego starania, pieczołowitości i do-

brego pokarmu, bo oprócz wyborowego siana, potrzeba jéj dawać owies i żyto w snopie do jedzenia.

Z zagranicznych owiec domowych zasługują szczególniéj na wspomnienie: 1. Owca Arabska czyli Tatarska, mająca u góry bardzo széroki, ku końcowi klinowato coraz węższy, a tak długi ogon, że się końcem włóczy po ziemi. Ten ich ogon przy końcu lata staje się tak tłusty, że od 20 do 40 czasem funtów waży. Pasterze muszą im pod końcami ogonów przytwierdzać małe wózeczki, żeby je zabezpieczyć od kaléczenia po ziemi. 2. Owca Kałmucka, u któréj tłustość około bardzo krótkiego ogona tworzy wielki, bochenkowaty, u dołu rozdwojony guz. 3. Owca Krymska, siwa, z rogami śrubowatemi; skórki z jagniąt tego gatunku dają wysoko cenione baranki siwe do czapek.

Feliks Paweł Jarocki. 1851 r.

12. Kret.

Krety są zwierzęta głównie podziemne i grzebiące w ziemi. Ciało mają krępe, pysk przedłużony i kończy się ryjkiem ruchomym, służącym do wiercenia w ziemi. Łapki przednie są u nich bardzo krótkie, ale nadzwyczaj silne i szérokie, skierowane na zewnątrz i zakończone ogromnemi pazurami, stosownemi do grzebania. Za pomocą tych narzędzi, krety wykopują w ziemi długie kanały, z zadziwiającą zręcznością i szybkością. Małe nasypy z grudek ziemi, które tak często na łąkach i polach spotykamy, zowią się kretowiskami; wyrzucają je te zwierzęta, grzebiąc pod ziemią. Nie wychodzą prawie nigdy ze swoich siedlisk labiryntowych, i pożérają robaki i poczwarki owadów, które tam znajdują. Prowadzą życie w ciemnościach; oczy ich zaledwie spostrzedz można; jest téż gatunek kretów całkiem ślepych. Mają po 22 zęby u każdéj szczęki. Kret

pospolity, pięknego czarnego koloru, znajduje się we wszystkich urodzajnych okolicach Europy.

Hipolit Witowski. 1839 r.

13. Jelenie.

Jak wiele innych zwierząt dzikich po lasach, tak téż i jelenie po większéj części wytępiono. Już one nie bujają swobodnie w puszczach, a jeśli się znajdą, to tylko w zwierzyńcach wielkich panów, czyli w kawałkach lasu parkanami ogrodzonych, gdzie je chowają dla uciechy polowania, i zastawiania w dnie uroczyste stołów.

Inne narody, jak Niemcy, Francuzi, Anglicy, mają daleko więcéj téj zwierzyny, nawet po lasach; a że tam niewolno lada komu ubić jelenia, i kto się tego dopuści, zaraz go oddają pod sąd, więc się téż zwierz mnoży swobodnie.

Samiec ma rogi gałęziste i duże; co wiosna, rogi te odpadają mu, a wyrastają nowe, a zawsze z jedną gałęzią więcéj, i tak aż do ośmnastu lat; potém już mu nie przybywa gałęzi, a więc nie można poznać ile jeleń ma lat.

Samica rogów nié ma i zowie się *łania*.

Jeleń przez dzień siedzi w największych gęstwinach i dopiero nocą wychodzi na pola przyleśne, na paszę, a o świtaniu wraca znowu do lasu.

Jestto zwierzę łagodne; nogi ma cienkie a mocne; biega bardzo prędko, a kiedy go ścigają strzelcy z psami, to, uciekając, schyla rogi aż na kark, żeby mu w ucieczce nie przeszkadzały i nie zawadzały o gałęzie. Kiedy go zaś tak dokoła obstąpią, że nie może uciekać, to się broni zapamiętale, psom i ludziom.

Na wiosnę samica miéwa jedno albo dwoje jelonków i pilnuje je, jak każda matka, bardzo starannie od napaści.

Jelenie jadają trawę, obgryzają krzaki i pączki drzew; w zimie gryzą korę, lub odgrzebują mech z pod śniegu.

Mięso ich, kiedy są młode, smaczne bardzo, a gdy się zestarzeją, nic nie warte. Skóra wyprawia się namięko, na kaftany i spodnie. Z rogu robią trzonki do nożów, jakie często u kupców w sklepach widzieć można.

Jestto więc zwierzę pożyteczne: wielka téż szkoda, że tak mało jeleni żyje u nas.

1862 r.

14. Żubr.

Jest to gatunek wołu, tylko że większy i silniejszy, a różni się tém od niego, że odełba do połowy ciała obrośnięty kędzierzawemi kudłami, jako lew. Rogi ma krótkie, zakrzywione; oczy bystre; skóra na pysku pomarszczona... dosyć, że aż strach patrzéć, tak okropnie wygląda. Nie napastuje on ludzi, chyba zaczepiony, ale wtedy wpada we wściekłość i co napadnie rozbija rogami i racicami tratuje; goni szybko, tak, że trudno na koniu przed nim uciec; mięso, osobliwie z młodych, ma być smaczne, ale kto je tam jada teraz, chyba najwięksi panowie i to rzadko kiedy.

Trzeba wiedzieć, że na całym świecie żubrów teraz nigdzie nié ma, tylko w jedném miejscu, w Białowiejskiéj puszczy, która leży w okolicach Grodna. Tam rządowi strażnicy pilnują, żeby ich nikt nie strzelał; muszą zapisywać i podawać co rok wiele ich jest, wiele przybyło cieląt; dla tego taka pielęgnacyja, żeby to zwierzę całkiem nie zginęło, bo już ich i tak nie wiele.

Podług podania strażników, powinno być 700 do 800 sztuk, ale czy jest tyle, zaręczyć trudno, bo nie sposób, żeby złodziéj się nie zakradł i nie zabił czasem — a może i w inny sposób giną od zwierza dzikiego młode żubry, a stare od niesumiennych ludzi.

Powinna być wielka piecza nad temi zwierzętami, bo to osobliwość wielka i źleby było, żeby za naszych czasów wyginęły.

W części świata innéj, a bardzo odległéj, za morzem, którą zowią Ameryką, żyją zwierzęta do żubrów bardzo podobne, zwane *Bizony*, ale mniejsze i nie tak silne.

1862 r.

15. Sępy.

Są to ogromne ptaki drapieżne, większe od orłów, i latające niezmiernie wysoko. Kiedy się wzbije do wielkiéj bardzo wysokości, to wygląda jak skowronek, a czasem i najbystrzejsze oko go nie dojrzy, a przecież on, z takiéj wysokości, dostrzeże pasące się jagnięta, biegnącego zająca . . . i wtedy, z ogromną szybkością, jak kamień z powietrza spada, rozrywa biédne zwierzę i pożera.

Sęp jednak, mimo to, że na żywe zwierzęta poluje, lubi bardzo ścierwo padłych i tego szuka skrzętnie. Zwykle gnieździ się w ciepłych krajach, ale czasami zalatuje w nasze strony—i bywały przypadki, że je strzelcy ubijali. Ma on bardzo długie i szerokie skrzydła; lot mocny i szybki, dziób haczysto zakrzywiony, i szpony ostre, a długie. Gnieździ się zwykle na skałach, a takich szuka zakątków, że trudno jego gniazdo wynaleść. Ptak ten jest szkodliwy, bo niszczy zwierzęta mniejsze domowe i zwierzynę; w ciepłych jednak krajach robi przysługę, pożérając ścierwo, które, psując się, swoją wonią zaraża powietrze. W zimnych bardzo krajach nie mieszka wcale.

1862 r.

16. Sowa-puszczyk.

Zamieszkuje Europę południową i umiarkowaną; ku północy—coraz rzadsza i daleko się tam nie posuwa; w Syberyi—wcale niepostrzegana. U nas nietylko ze wszystkich gatunków sów, ale nawet ze wszystkich ptaków drapieżnych najpospolitsza; wszystkie lasy, ogrody, stare opuszczone mury, a także i budynki gospodarskie, są tych sów siedli-

skiem. Na zimę niektóre z nich wynoszą się z lasów do budynków, ale nie zmieniają okolicy.

Przy świetle dziennem słabo widzą, dnie więc przepędzają ukryte w zacienionych gałęziach, w strzechach, w dziurach starych murów, w obszernych dziuplach i w pustych barciach. Dobrowolnie tych kryjówek nie opuszczają, a, wystraszone z nich, siadają w blizkości, dozwalając człowiekowi zbliżyć się do siebie. O zmiérzchu dopiéro wylatują na połów. Lot ich jest bardzo cichy, powolny i pracowity.

Główne ich pożywienie stanowią myszy i szczury, które łowią zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz budynków, w ogrodach i lasach; ptaki drobne wybiérają tylko wyjątkowo z noclegów, albowiem, siedzące po rozmaitych gąszczach i kryjówkach, są nierównie trudniejsze do wyszukania, niż drobne nocne zwierzątka, przez całą noc biegające. Nigdy nie dostrzegłem, aby kiedykolwiek większego jakiego ptaka upolowała i nigdy w jéj żołądku nic innego, prócz myszowatych zwierzątek nie znajdowałem. Wnoszę nawet z tego, że, często przebywając w gołębnikach, nigdy na gołębie się nie porywa, wystrasza je tylko swą obecnością; że przeto równéj wielkości ptakom, jak np. kuropatwom, żadnéj szkody nie wyrządza. Gospodarzom więc nieocenione usługi oddaje, tępiąc najszkodliwsze zwierzątka, nietylko na dworze, ale nawet wewnątrz budynków, w ilościach bardzo znakomitych — i zastępując doskonale koty domowe. Nic przeto nie usprawiedliwia nierozważnego prześladowania, któremu ciągle podlega; owszem, każdy gospodarz powinien jak najstaranniéj ochraniać i szanować tego pożytecznego ptaka, gdy się w jego budynku osiedli, i nie niszczyć mieszkających zdala od zabudowań, bo i te, nietylko że po lasach ważne oddają usługi, ale i w pewnych porach budynki odwiédzają.

Gnieździ się po obszernych dziuplach, barciach, strzechach, wieżach, szczelinach starych murów i skał i w opuszczonych gniazdach wron, lub ptaków drapieżnych. Młode wtenczas dopiéro matka odstępuje, gdy same są zdolne bronić się, w razie napaści innych drapieżnych ptaków; nie oddala się jednak od gniazda, lecz przez cały dzień, ukryta w blizkości, w gałęziach, nie spuszcza go z oka i bacznie uważa na to, co się tam dzieje. Gdy człowiek zbytecznie się przybliża, zaraz się odzywa, a niekiedy daje dowody szczególnéj odwagi, jak tego raz byłem naocznym świadkiem, gdy do gniazda, w którém znajdowały się sowięta, dość już duże, wlazł po drabinie kozak i włożył w dziupel rękę; na to, niewiadomo zkąd, zjawiła się sowa i tak nagle uderzyła na kark napastnika, że go szponami mocno podrapała. Nim jeszcze młode latać zaczną, wychodzą często na gałęzie, obok gniazda będące, i rzędem obok siebie siadają, a w razie niebezpieczeństwa chronią się napowrót. Gdy się wywiodą, przez parę tygodni trzymają się jeszcze razem przy rodzicach, dopóki same nie wprawią się do łowów. Po zachodzie słońca razem wylatują z dziennego ukrycia i wabią się nieustannie piskliwym głosem, podobnym do skrzypienia nienasmarowanego koła, a gdy które z rodziców zobaczą, lecą ku niemu i natrętnie napastują; stara, gdy nié ma się czém odczepić, odgania je kłapaniem, a najczęściéj, nie mogąc się ich pozbyć, ucieka.

Głosy tych sów są rozmaite: wieczorem, gdy wylatują z kryjówek, odzywają się w sposób do śmiéchu ludzkiego podobny, lub téż naśladujący zgłoski *ku-wik*, *ku-wik*, kilka razy dosyć szybko powtórzone; na wiosnę zaś wabią się po całych nocach donośném, przeciągłém hukaniem. Łatwo głosy te naśladować, ale oszukać trudno, bo nie chcą przylatywać. Zabobonne pospólstwo rozmaite znaczenia tym głosom przypisuje: jedni uważają je za śmiechy złych duchów; inni, wiedzący, że one pochodzą od sów, poczytują je za przepowiednie śmierci, lub narodzenia.

Władysław Taczanowski. 1860 r.

17. Pająki przędące.

Jedne pająki snują z siebie osobny rodzaj włókien, które pajęczyną nazywamy, drugie zaś pajęczyny z siebie nie wysnuwają. Piérwsze nazywają się przędącemi, a drugie — nie przędącemi.

Pająki przędące mają ciało bez ogona, na dwie nierówne części podzielone. Przednia część zwykle mniejsza, którą gorsetem nazywamy, a z którą głowa, bez odznaczenia jéj, jest zjednoczoną, pokryta jest twardą skorupą; przeciwnie, część tylna, tułówem zwana, ma na sobie skórę miękką. Te dwie części ich ciała połączone są szczupłą błonową rurką, przez którą kanał pokarmowy, kanały krwiste i bardzo cienkie nitki nerwowe przechodzą. Na przodzie gorsetu widzimy po osiem lub po sześć wypukłych, błyszczących kropek. Są to ich oczy, których rozstawienie i wielkość są różne. Pod przodem gorsetu znajduje się u nich pyszczek, złożony z wargi, z dwóch żuwaczek płaskich i z dwóch szczęk, z których każda ruchomym szponem jest zakończona. Te szpony szczękowe są zupełnie tak urządzone, jak kły jadowite u żmii, i rzeczywiście są narzędziami jadowitemi; a że wszystkie pająki przędące mają szczęki, podobnemi szponami uzbrojone, wszystkie więc bez wyjątku są jadowitemi istotami. Wiedzieć jednak potrzeba, że jadowitość pająków naszego kraju tak jest słabą, iż ją zaledwie z jadowitością komarów porównać można. Nadto, ponieważ pająki nasze są istotami bojaźliwemi i unikającemi ludzi, więc prawie nikt u nas ugryzienia pająka i jadowitości jego nie doświadczył. W krajach gorących, duże gatunki tych pająków mogą być niebezpieczne, nigdy jednak ich jad niebezpieczeństwem utraty życia nie zagraża. Wszelkie podania, o zatruwaniu jadła i napojów ludzkich przez pająki, są niedorzecznemi zmyśleniami.

Tuż za pyszczkiem, pod gorsetem, pająki mają po 8 nóg, których długość jest różna. Tułów jest bez żadnego podparcia. Pod przodem tułowu jest poprzeczny rowek, a w nim dwa otwory, z których każdy prowadzi do błonkowatego woreczka. Za pomocą tych woreczków odbywa się oddychanie i dlatego nazywamy je płucami. Pod tyłem tułowu stérczy stożkowaty wyrost, który składa się z pięciu brodawek; z nich cztéry, gęsto dziurkowate, wypuszczają płyn, twardniejący na powietrzu, czyli zwyczajną pajęczynę, z któréj robią siatki do łowienia dwuskrzydłych owadów.

Pająki są bardzo mnożne; rozmnażają się, niosąc jaja. Skoro się młode z jaj wyklują, zaraz prząść zaczynają i pracują zgodnie około spólnéj siatki dopóty, dopóki głodu nie poczują. Uczucie piérwszego głodu jest hasłem do zerwania zgody i miłości rodzinnéj i do rozbiegnięcia się w różne strony. Odtąd żyją samotnie i nigdy jeden drugiemu nie ufa.

Pająki przędące są nam wielce użyteczne, bo, żyjąc wyłącznie owadami, wytępiają mnóstwo dokuczliwych i szkodliwych istot . Najpożyteczniejszemi dla gospodarzy wiejskich są: przędzik, krzyżak i oprządek. Najsłynniejszemi, lubo niesłusznie, z jadowitości, stały się duże, na Podolu, we Włoszech i w innych południowych krajach Europy mieszkające gatunki, rodzaju tarantuli, czyli krzeczka; mniejsze zaś gatunki tarantuli, żyjące u nas, są twórcami owéj w jesieni latającéj pajęczyny, którą babskiém latem nazywają.

Feliks Paweł Jarocki. 1851 r.

18. O częściach roślin.

Każda niemal roślina, a przynajmniéj wszystkie doskonalsze, składają się z korzeni, łodyg, liści, kwiatów i owoców.

Korzeń służy do utrwalenia rośliny w ziemi i do wyciągania z niéj soków i cieczy, roślinie potrzebnych. Ssanie cieczy odbywa się całą powierzchnią korzeni; zapuszczają

się one coraz głębiéj, aby w większéj przestrzeni czerpać mogły to, co do życia roślinie jest potrzebném. Korzenie zawsze prawie ukryte są w ziemi i rzadko które ukazują się nad jéj powierzchnią, czépiają się drzew, jak np. pasożyty i jemioły, albo pływają w wodzie.

Łodyga wyrasta z korzenia i wypuszcza z siebie gałązki, na których wyrastają liście. W drzewach nazywa się ona pniem, a w zbożach i trawach—źdźbłem. Soki wyssane przez korzenie, przebiegają wzdłuż łodygę i, idąc coraz wyżéj, dosięgają kończyn gałęzi i listków.

Liście, wyrastające z gałązek, albo umocowane są na ogonku, albo też wcale go nié mają. Liść składa się z blaszki spłaszczonéj, często bardzo cienkiéj, czasem grubszéj i soczystéj, zawiérającéj mnóstwo niedojrzałych szpar i otworów, w które łatwo powietrze, parą wodną i gazami obciążone, wnika. Kształt i utkanie liści bywają nadzwyczaj rozmaite: blaszki—gładkie, faliste, pomarszczone, pofałdowane; brzegi—w różny sposób wycinane, ząbkowane, piłkowane, a czasem znowu zupełnie równe. Niekiedy brzegi liścia są zakończone ostremi drzewiastemi kolcami, jak np. w ostrokrzewie—lub też cieńszemi, a kolącemi, jak w ostach i kaktusach; czasem cała powierzchnia liścia jest pokryta włoskami, a włoski te w niektórych roślinach, jak np. w pokrzywie, zawiérają ciecz jadowitą.

Kiedy roślina dochodzi całego swego rozwoju, naówczas okrywa się kwieciem. Kwiat składa się z kilku części, wyraźnie odróżnić się dających: ma kielich, zwykle zielony, daléj z kielicha wyrastającą koronę, kilkoma, kilkudziesięcioma, a nawet kilkustoma listeczkami, pięknie zabarwionemi, okrytą; w środku korony wyrasta słupek, zakończony znamieniem, a ten otaczają pręciki, dźwigające pęcherzykowate główki, w których znajduje się pyłek.

Niektóre rośliny nie kwitną, jak np. mchy, paprocie i t. p. W kwiatach znajdują się jeszcze miodniki, zawiérające ciecz słodką, z któréj pszczoły miód wyrabiają.

Owoce bywają najrozmaitsze; zwykle składają się z ziarn pojedynczych, umieszczonych w różnych osłonach. Ziarna zbożowe mieszczą się w kłosie, jak np. pszenica, żyto, owies i t. p.; inne zamyka strączek, jak groch, soczewica, wyka, akacyja; inne znów obejmuje soczysta miazga, jak owoc pomarańczy i cytryny, to znów — tkanina mięsista, jak w jabłku, gruszce, dyni i ogórku; czasem owoce otacza twarda łupina, jak orzechy; niekiedy mnóstwo nasion znajduje się w zamkniętéj komorze, jak mak; czasem mieszczą się w szyszkach; słowem, nieprzebrana tu rozmaitość, ale przeznaczenie spólne: utrzymanie gatunku rośliny i wydawanie nowych, w miejsce zmarłych.

Wład. Lud. Anczyc. 1863 r.

19. Modrzew'.

Modrzew' przechodzi w piękności i użyteczności inne drzewa iglaste. Dorasta on sto stóp wysokości; pień ma ostrokręgowy, korę na nim siwą, nie tak popękaną, jak na sośnie; gałęzie okręgowo ułożone, lecz nie tak kształtnie, jak w jodłach i w sosnach, i zwykle zwieszone. Igły przed zimą opadają, a pozostałe po nich pochewki, równie, jak pączki, z których na wiosnę mają nowe wyrastać, tworzą na młodych gałęziach zgrubiałości, jakich na żadném inném drzewie nie widzimy. Modrzew' odznacza się jeszcze od wszystkich drzew na wiosnę, kiedy młode liście, żółto-zielonéj barwy, w kupki od 15 do 20 zebrane wyrastają.

Modrzewie niegdyś obficie u nas rosły, lecz nierozważne z nich użytkowanie prawie do szczętu wytępiło to piękne drzewo. Natrafia się jeszcze gdzieniegdzie, jakoto w Białowiezkiéj puszczy, w górach Karpackich i w kilku miejscach około Krakowa, Radomia, Opatowa. Nazwiska miasteczek i wsi, np. Modrzejów za Olkuszem, Modrzejowice około Radomia i t. d., tudzież zabudowania z modrzewiu, dotąd trwające, jak kościoły, dwory wiejskie, śpichrze... są dowo-

dém, że drzewo to u nas było rozrodzone. Na belki i podwaliny modrzew' jest wyborny, bo żywica nie tylko wskroś go przejmuje, ale powoli występując, rozléwa się po całéj jego powierzchni, przez co i owady go nie psują i wilgoć nań nie działa. Że u nas i w tych czasach wielkie i zdatne do tego celu natrafiają się modrzewie, przekonać się możemy ztąd, że belki, użyte przy budowie teatru wielkiego w Warszawie, wyrobione są z modrzewiu krajowego.

Szymon Pisulewski. 1853 r.

20. Rośliny miseczkowe.

Rośliny miseczkowe są: dąb, grab, buk, kasztan, leszczyna i jawór.

Z drzew tych najwspanialszym jest dąb, którego w naszych lasach mamy dwa gatunki: pospolity i szypułkowaty. Dęby dochodzą późnéj starości, bo 500 lat mające drzewa są jeszcze zdrowe, a są nawet przykłady trwałości dębu do tysiąca lat. Powszechnie znane są użytki tego drzewa, które jest białawe, ciężkie, twarde i zarówno do budowy podwodnéj, jak suchéj, zdatne. Długo w wodzie leżące dęby stają się twardszemi, przybiérają barwę czarną, tak, iż heban zastąpić mogą. Kora dębowa służy do wyprawiania skór. Żołędzie upalone i zmielone wydają napój, kawie podobny. W Turcyi i Arabii, z mąki żołędzi, przyprawionéj cukrem i różnemi pachnidłami, robią pokarm bardzo tuczący, zwany *rakahu*. Najważniejsze użycie żołędzi jest na paszę dla trzody chlewnéj. Wyrostki na liściach i ogonkach liściowych, zwane galasem, a u nas dębiankami, pochodzą od zakłucia liścia, lub jego ogonka, przez galasówkę dębową, owad do pszczoły podobny; przydatne są do robienia atramentu zwyczajnego i barwienia włosów na czarno. Najlepszy galas pochodzi z Węgier i ze Wschodu. Z gatunków dębu, rosnących w innych krajach, ważniejsze są: dąb barwierski, którego kora wydaje barwnik żółty, używany do

barwienia tkanin wełnianych, bawełnianych i t. d. — dąb korkowy, który dostarcza korka — i dąb czerwcowy, na którym żyje gatunek owadu czerwca.

Grab, którego jeden gatunek rośnie w naszych lasach, jest drzewem, do 80 stóp wysokiém; ma korę siwą, mało popękaną. Drzewo grabowe jest jedno z najtwardszych i najcięższych; barwę ma białą, w starych pniach brunatną; mało się do budowy, lecz korzystniéj do różnych rzemiósł używa. Żywe płoty grabowe są bardzo dobre. W dawniejszych ogrodach, zwanych Włoskiemi, lub Francuzkiemi, wysadzano grabiną gęste szpalery w różne kształty, robiono z niéj manowce (labirynty). Dziś upowszechniły się ogrody Angielskie i rzadko już widzieć można owe jednostajne ulice, troskliwie obcinaną grabiną wysadzone.

Buk jest jedném z najpiękniejszych drzew, tak co do okazałéj postaci, jako téż gładkości pnia i wesołéj barwy swych liści. Rośnie u nas w powiatach Opatowskim i Kieleckim, na górach zwanych Świętokrzyzkiemi. Dorasta znacznéj wysokości, bo 150-letnie drzewa są na 100 stóp wysokie, a pień u dołu ma 8 stóp obwodu. Drzewo bukowe jest ścisłe, białawe, przydatne do budowy i do rzemiósł. Nasiona, bukwią zwane, są trójgraniastemi orzeszkami tłustemi; wydają oléj, mogący zastąpić oliwę. Orzeszki mają smak migdałów, lecz się prędko psują, czyli gorzkną, i wtenczas przybiérają barwę brunatną. Bukiew' jest dobrym żérem dla zwierząt leśnych i trzody chlewnéj.

Kasztan słodki, piękne drzewo południowéj Europy, dochodzi czasem do nadzwyczajnéj grubości, a pod tym względem zadziwia wszystkich podróżnych kasztan, na Etnie rosnący, zwany kasztanem stu koni. Ma on 160 stóp obwodu, a podług miejscowego podania, miał być schronieniem, w czasie gwałtownéj burzy, dla Joanny, królowéj Arragońskiéj, kiedy zwiedzała Etnę. Cały orszak królowéj, złożony ze 100 jezdźców, schronił się wówczas pod cieniem

tego olbrzyma. Sąsiedni mieszkańcy urządzili w tém drzewie domek, a w nim piecyk do pieczenia kasztanów. Wiek tego kasztana oznaczają na 4000 lat.

Leszczyna, znany powszechnie krzew, wydaje zwyczajne orzechy laskowe, z których, oprócz używania na pokarm, wytłacza się oléj tłusty, dobry do użycia. Orzechy tak zwane Tureckie, pochodzą z gatunku, rosnącego na Wschodzie, a u nas w ogrodach utrzymywanego. W rzemiosłach używa się także drzewo leszczynowe, szczególniéj na obręcze. Korzeń przez gładzenie nabywa pięknego połysku i dlatego do fornirów, czyli robót wykładanych, jest używany.

Do pięknych także drzew rodziny miseczkowych należy jawór, którego dwa gatunki: jawór wschodni i wirginijski, dostarczają twardego i białego drzewa, na różne roboty stolarskie przydatnego. Szymon Pisulewski. 1853 r.

21. Tulipan.

Nazwisko téj rośliny pochodzi ze zmienionego wyrazu perskiego „toliban.“ Mylnie niektórzy autorowie wywodzili go od wyrazu „turban,“ utrzymując, że wschodnie ludy, dla podobieństwa kwiatu tego z ubraniem ich głowy, nadały mu to nazwisko.

Najbardziéj upowszechniony u nas jest tulipan ogrodowy. W stanie dzikim kwiaty jego są jednostajnego koloru, pospolicie żółtego, czerwonawego, niekiedy brunatnego. W Holandyi zapał do hodowania tych roślin doszedł do takiego stopnia, że niektórzy znaczne tracili majątki, na skupywanie cébul tulipanowych. Między innemi wspominają, że jedna cébula tulipana sprzedaną była za 5,500 złotych; a piwowar w Lil (Lille) takim był miłośnikiem tulipanów, że za cébulę tulipanową swój browar odstąpił.

Ludy wschodnie również lubią tulipany i, w czasie ich rozkwitania, w domach wielkich panów obchodzą się zabawy,

zwane świętem tulipanów. Galeryje pałacowe ozdobione są wówczas najpiękniejszemi tulipanami, a wieczorem tworzą z nich świetne bukiety, ozdobione lustrami i pochodniami.

Ogrodnicy liczą do 1,500 odmian tulipanów, a dla powiększenia ich wartości, szumne nadają im nazwiska, z historyi, lub mitologii wzięte. I tak: niektóre zowią Wenerą, Henrykiem Wielkim, Dziewicą Orleańską; innym znowu dodają różne epitety, jako to: piękność niezrównana, chwała świata, niezwyciężona róża i t. d.

W naszych ogrodach uprawiają jeszcze tulipan wonny.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

B). ANEKDOTY.

1. Gęsi Kapitolińskie.

W roku 389 przed narodzeniem Chrystusa, Gallowie napadli na Rzym, weszli do niego bez oporu, spalili go i następnie oblegli obronny zamek Kapitol, do którego Rzymianie przed nieprzyjaciółmi się schronili. Wódz Gallów, Brennus, nie mogąc jednak zdobyć warowni otwarcie, postanowił zawładnąć nią niespodzianie. Jednéj więc nocy, gdy wszystko było w głębokim śnie pogrążone, rozkazał swoim żołniérzom jak najciszéj wédrzéć się na mury zamku. Powodzenie wydawało się już być niewątpliwém, gdy nagle, w świątyni Junony, dał się słyszéć krzyk gęsi, poświęconych téj bogini, i obudził czujność straży. Rzymianie rzucili się na mury i Brennus został odparty.

Mieszkańcy Rzymu, wdzięczni za ocalenie zamku, postanowili nazawsze utrzymywać gęsi w Kapitolu. Co rok obnoszono je w procesyi na bogatych tragach. Obrzęd ten przetrwał blizko pięć wieków.

1865 r.

2. Słoń Cezara.

Cezar chciał przejść *) wielką rzekę, któréj bronił Kaszywelan, jeden z królów Brytańskich, z liczną konnicą i z wielką liczbą wojennych wozów. Widząc niemożność dostania się pomiędzy zastępy nieprzyjaciół, wódz Rzymski kazał wyprowadzić ogromnego słonia, w żelaznéj zbroi, z wieżyczką na grzbiecie, w któréj mieścili się żołniérze, uzbrojeni kopijami i strzałami. Ten widok napełnił trwogą mieszkańców Brytanii, którzy nie widzieli nigdy takich potworów; konie ich przestraszone, równie jak i ludzie uciekli, a Cezar opanował przeprawę. 1851 r.

3. Lew Godfreda.

Za czasów wojen krzyżowych, kiedy tylu rycerzy ciągnęło do Ziemi Świętéj, pewien Francuzki rycerz, nazwiskiem Godfred de la Tour, przedziérał się ciemnym lasem. Wtém dochodzi go przeraźliwy ryk. Udaje się w tę stronę i postrzega lwa, w walce z olbrzymim wężem, lecz już upadającego na siłach, bo wąż, obwinąwszy się około niego, ciągnął go do drzewa, aby mu pogruchotać żebra i kości. Godfred, jako prawy rycerz, gotów zawsze bronić uciśnionego, dobył miecza, uciął łeb wężowi i lwa z jego śmiertelnych uścisków uwolnił. Obawiał się tylko, że może lew rzuci się na niego, ale ten, przeciwnie, zbliżył się doń łagodnie i odtąd, jakby oswojony, nie chciał na krok odstąpić rycerza.

Gdy późniéj Godfred miał powracać do ojczyzny, a trzeba mu było przez morze płynąć, żeglarze nie chcieli wziąść lwa na pokład okrętu, z bojaźni przed tym zwierzem. Sam rycerz był tego zdania, że lwu będzie za chłodno na zimnéj północy; zostawił go więc na brzegu, pogrążonego w smutku, bo srodze wył i biegał, jak oszalały, próbując dostać się na okręt. Tymczasem okręt coraz bardziéj się oddalał; nakoniec lew postanowił wskoczyć w morze i płynąć; płynął téż spory kawał, lecz gdy już blizkim był statku, siły go opuściły i utonął.

*) W roku 55 przed Narodzeniem Chrystusa.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

4. Pudel przemyślny.

Przy drzwiach jednego z hoteli Paryzkich, znajdował się chłopiec do czyszczenia butów. Miał on dużego czarnego pudla, którego zmyślność na tém się głównie zasadzała, iż dopomagał swojemu panu do zarabiania na chléb. Pudel biegał wciąż po ulicy, a gdy zawalał sobie kudłate łapy w rynsztoku, następował potem na obuwie przechodzących osób. Chłopiec, utrzymujący się z czyszczenia obuwia, naturalnie za piéniądze, naprawiał to, co pies jego umyślnie spsocił; korzystał z tego i, wystawiając swój stołeczek, wołał nagłos: „Może pan każe sobie oczyścić buty? proszę, oto tu stołeczek!“ Dopóki chłopiec zajmował się swą robotą, pudel leżał spokojnie obok niego; czuł on dobrze, że w takiéj porze, powalać błotem przechodnia byłoby rzeczą wcale niepożyteczną, bo pan jego nie miał czasu. Skoro jednak stołeczek był już wolny, pudel dążył natychmiast wypłatać komu nową psotę. Zmyślność psa i uprzejmość młodego jego właściciela, który także dla sług hotelowych zawsze był usłużnym, sprawiły, iż chłopiec i pies stali się głośni nietylko na dziedzińcu, ale i w kuchni hotelu. Sława chłopaka, przechodząc z ust do ust, doszła nareszcie do salonu. Pewien dystyngowany Anglik, obecny rozmowie, któréj przedmiotem był właśnie ów chłopak i jego pies, zapragnął poznać obudwu. Przywołano ich. Anglik, którego zmyślne zwierzę nadzwyczajnie zajęło, objawił chęć nabycia pudla. Dawał za niego chłopcu dziesięć, nareszcie piętnaście luidorów. Nic dziwnego, że piętnaście luidorów miało wielki powab dla biédnego chłopaka, olśnionego obecnością tylu dystyngowanych osób. Koniec końcem, chłopiec sprzedał i wydał

psa, którego nazajutrz związano, zapakowano do pocztowego powozu, następnie w Calais wzięto na okręt i zawieziono do Londynu. Po niejakim czasie chłopiec zaczął opłakiwać swojego psa i czynić sobie wyrzuty sumienia, lecz... jakaż niespodziéwana radość! Po upływie dwóch tygodni, ów zmyślny pudel, ni ztąd ni zowąd, ukazał się znowu w Paryżu przed hotelem. Od tego czasu jednak pan jego dawny nigdy z nim się już nie rozłączył. Nowosielski.

5. Troskliwość macierzyńska żmii.

Żmije są o dzieci swoje nadzwyczaj troskliwe i, przez trzy piérwsze miesiące po wylęgnięciu, szczególniejszym, sobie właściwym sposobem, chronią je przed niebezpieczeństwem. Skoro matka żmija, na widok jakiego niebezpieczeństwa, zasyczy, wszystkie dzieci śpieszą do niéj i wsuwają się do jéj otwartéj paszczy, a następnie do gardła. Z tak ukrytemi w gardle dziećmi, umyka w bezpieczną kryjówkę między ciernie, lub w stos nagromadzonych kamieni. Po przejściu niebezpieczeństwa, wypuszcza znowu swe dzieci na wolność i bawi ciągle w ich blizkości. Pospólstwo nasze dostrzegło wprawdzie to chowanie się żmiját do gardła rodzicielki swojéj, ale, nie śledząc daléj tego czynu, usnuło bajkę, że żmija własne swe dzieci pożéra. Tym sposobem jéj troskliwość macierzyńską poczytało za żarłoczność złośliwą i przyrodzeniu przeciwną. Feliks Paweł Jarocki. 1851 r.

6. Wierny pies.

Pewien kupiec puścił się konno w podróż, ze swoim wiernym pudlem. Celem téj podróży były piéniądze, które miał odebrać od swego dłużnika. Odebrawszy pożyczoną sumę, wracał spokojnie do domu. W drodze spadł z konia tłómoczek, w którym znajdowały się piéniądze. Zamyślony kupiec nie wiedział o poniesionéj stracie, ale wierny pudel

spostrzegł natychmiast zgubę; chciał ją uchwycić zębami i zanieść panu, ale że tłómoczek był za ciężki, więc nie mógł go udźwignąć. Pobiegł więc za swoim panem, wyskoczył przed konia i szczekał nieustannie. Lecz kupiec nie mógł odgadnąć przyczyny. Krzyknął na psa, aby umilkł, ale to nic nie pomogło; uderzył go prętem, lecz wszystko było nadaremnie. Wierny pies nie przestawał szczekać i wyć przeraźliwie i skakać, jak gdyby gwałtem swego pana chciał ściągnąć z konia. Gdy kupiec odpędził psa kilkoma plagami, zaczął on szarpać konia, jakby mu chciał dać poznać, aby się zawrócił. Kupiec się przeląkł, myśląc, że się pies wściekł. Lubił on bardzo psa swego i bolało go to niewypowiedzianie, że go będzie musiał zastrzelić. Długo starał się on uspokoić psa, przemawiając do niego, ale, gdy nic nie pomogło, wziął pistolet, wymierzył i, zamknąwszy oczy, wystrzelił. Wierny pies upadł, ale podniósł się za chwilę i, skowycząc, przywlókł się do swego pana, który nie mógł znieść tak rozdziérającego widoku. Dał więc koniowi ostrogą i pojechał daléj. Po chwili jednak obejrzał się i spostrzegł, że zgubił swój tłómoczek.

Żal ogarnął jego serce... i teraz dopiéro odgadł przyczynę, dla czego pudel szczekał tak uporczywie. „O! ja okrutny!“ zawołał, i poleciał pędem, stroskany więcéj o pudla, niżeli o piéniądze. Nie znalazł on psa w tém miejscu, gdzie go zastrzelił, ale widział po krwi, że daléj powléc się musiał. W największéj obawie jechał więc za krwawym śladem, aż oto!... któż zdoła skréślić boleść jego? zobaczył psa leżącym przy worku z piéniędzmi, do którego się przywlókł. Kupiec zeskoczył z konia, aby się przekonać, czy jest jeszcze jaki ratunek; ale nadaremnie. Pies umiérający lizał mu spokojnie rękę i za chwilę dokonał życia.

1852 r.

VII. ŻYCIE SPOŁECZNE.

A.) OPISANIA.

1. Dwór wiejski.

Dom był murowany, staroświecki; środek trzymał między kamienicą, a zamkiem. Ganek był na słupach kamiennych wsparty; sień—obszerna, ze sklepieniem; sala po lewéj ręce—jeszcze obszerniejsza od sieni; mury—okryte staremi i trochę nadbutwiałemi szpalerami *), na których wydane były historyje starego testamentu. Gdzieniegdzie były lustra **) posrébrzane, a w każdém świéca; kredens, obwiedziony balustradą ***), pełen był mis i pucharów pstrozłocistych. Okna niewielkie, żelaznemi kratami obwiedzione, znaczyły zamek, niegdyś obronny. Stały w niektórych miejscach krzesła z poręczami, wybite pozłacaną skórą w kwiaty; gdzieindziéj były stołki i ławy.

Drugi pokój był o dwóch oknach i te równie w grubości murów, tak, jako i na sali, skryte, żelaznemi kratami obwarowane były. Obicie miał w bryty: jeden atłasowy, płomienisty, w różnych kolorach—drugi, szyty włóczką, nakształt kobierców. Niezmiernéj wielkości piec zabiérał prawie czwartą część pokoju; przy nim równéj proporcyi ****) komin dodawał ciepła sowitym ogniem. W środku izby był stół, dywanem tureckim okryty; na nim, w dwóch wiel-

*) Obiciami. **) Żyrandole, czyli pająki. ***) Poręczą na słupkach opartą. ****) Stosownych rozmiarów.

kich lichtarzach, roboty Auszpurskiéj *), stały świéce zapalone. Koło drzwi był zégar, na tarczy malowanéj; naprzeciw niego obraz, nie wiém, czy pobożny, czyli z historyi świeckiéj, nic albowiem od brudu i zakurzenia rozeznać w nim nie było można. Drzwi, portyjerą **) zasłonione, wiodły dalej do pokoju sypialnego.

Ignacy Krasicki. 1784.

2. Domek mojego dziadka.

Kilka chat i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziadka. Dwa ogródki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczółek; na gumnisku zawsze hasało kilkoro pięknych źrébiąt i corocznie wielka część jego pola złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek napełniały mu stodoły, śpiżarnie i spichrze.

Domek dziadka, chędogi, wesoły i ludny, zawiérał dwie izby, pokojami honorowemi zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem. Bokówka, z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szérokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, była miejscem najwalniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na różaniec, wieczorem—na godzinki; tu przy kawie rano snów tłomaczenie i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary; tu furczały wiecznie dwa kołowrotki; tu nakoniec, w niedziele i święta, panna Helena, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnéj przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zydelku, cieniutko śpiéwała świątowe pieśni. Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki; dla nich dwa paradne były pokoje. W piérwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy główną zajmował ścianę; kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznéj tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał:

*) Augsburgskiéj. **) Zasłoną.

tu—kanapki, dywanikami zasłane; tu staroświeckie, w kwiaty malowane obicia okrywały ściany;—tu stolików parę, niegdyś także malowanych: na jednym—warcabnica, na drugim—talija kart polskich, dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w maryjasza i ćwika.

Ignacy Chodźko.

3. Modny pałac.

Trafiło mi się niedawno być w gościnie u syna przeszłego naszego dziedzica. Ten, świéżo powróciwszy z cudzych krajów, ze staroświeckiego pradziadów zamku, zrobił modny pałac. Piękniejszy był, prawda, po reformie *), ale, co zyskał na ozdobie, stracił na wspaniałości. Można było połączyć poważną staroświecczyznę z teraźniejszą wytwornością. Jeszcze były niektóre apartamenta **) nie ze wszystkiém dokończone: zaprowadził nas tam ów panicz po obiedzie. Aż mi łzy stanęły w oczach, gdym spostrzegł z sali wyrzucone portrety jego przodków; pytałem się więc troskliwie, gdzie je myślał pomieścić? Odpowiedział, iż te obrazy bardzo były już stare, zakopciałe; stroje—dziwackie;—z brodami, wąsami, czuprynami, ferezyjami—jak stangreci; kazał więc je wyrzucić. Tknięty do żywego, tylem wymógł, iż rozkazał ich szukać; znaleziono je pod strychem. Ja, bojąc się, żeby ich nareszcie nie spalił, prosiłem o nie. Dał mi je z ochotą, śmiejąc się z mojéj prostoty. Ubogacony tak szacownym skarbem, starałem się tam go złożyć, zkądby go znowu jaka modna fantazyja ***) nie wyrzuciła. Są teraz w klasztorze fundacyi ****) tego zacnego domu i trwać może będą dotąd, póki, dla zaszczytu narodu, na miedzi wyryte nie będą.

Ignacy Krasicki. 1778 r.

*) Po przerobieniu. **) Pokoje. ***) Przywidzenie. ****) Uposażenie.

B). LISTY.

1. List Zygmunta Krasińskiego do synów.

Heidelberg 1855 roku.

Kochani moi Adziu i Lili *). Oto liściki od dziadzi; przysłał też dla was sto guldenów; oddam je wam za zobaczeniem.

Patrzcie, jaki dziadzio dobry i jak ciągle pamięta o was. Pomyślcie, moi drodzy, cobyście wy dla dziadzi uczynić mogli. Co? pytam się was. Jaki mu najstosowniejszy podarunek złożyć? Czy nie domyślicie się sami?

Jeśli nie, to wam powiem. Wy nic mu dać nie możecie, czegoby on nié miał, prócz jednéj rzeczy, to jest waszych modlitw do Pana Boga, o jego całość, zdrowie i najdłuższe lata. Czy prawda?

Biédny Jan **) wczoraj rano skonał na ręku moich i mamy, o wpół do dziewiątéj z rana; a świątobliwą śmiercią zszedł z tego świata, z zupełném oddaniem się woli Bożéj, i wyzionął ducha w saméjże chwili, w któréj ksiądz, stojąc przed nim, wymawiał ostatnie słowo rozgrzeszenia.

Zapłaczcie nad nim, bo on was bardzo kochał, bardzo. I jeszcze zawczoraj w wieczór prosił, by mu przyniesiono wasze obrazy z góry. Mama kazała je znieść i zawiesić w jego pokoju. Patrzał na nie, już ledwo mogąc oddychać i błogosławił wam. Pomódlcie się za tego wiernego od lat dwudziestu cztérech sługę ojca waszego. Za chwilę z mamą siądziem do powozu, aby ciało jego odprowadzić na cmentarz, gdzie wczoraj grób mu kupiliśmy.

Jak Adzio i Lili byli maleńkiemi, ileż to razy Jan ich na ręku piastował i strzegł i bawił! Zapłaczcie i módl-

*) Władysław i Zygmunt, dwaj synowie Zygmunta Krasińskiego. **) Stary sługa domu.

cie się za niego, moje drogie dzieci. Ściskam was z głębi serca; wkrótce się zobaczymy: w Poniedziałek zapewne sam do was i po was przyjadę. Mama nie jest chora, ale ogromnie zmartwiona zgonem poczciwego Jana.

2. List A. Mickiewicza do córki Maryi.

Stambuł, 3 Października 1855 roku.

Listy wasze jeszcze mię tu znalazły.

Dobrze jest, że mi dajecie często wiadomości; ostatnie ucieszyły mię. Rad jestem, że Helenka czynnie trudni się domem; potrzeba, żeby nie ustawała w gorliwości.

Nie wiem, dla czego dzieci zatrzymano tak długo na wsi; lepiéj było odwiéźć je do szkoły z początkiem Października, a miałyby nieco czasu do przygotowania się. Zdaje mi się, żem to polecił przed odjazdem.

Podziękuj bardzo pannie Zofii *) i za list i za przepisanie memoaru; jeśliby późniéj wypadła potrzeba podobnych robót, należy, abyś wzięła je, Maryniu, na siebie, nie obciążając cioci, już i tak zatrudnionéj dosyć.

Dziś wyjeżdżamy do Burgas.

Przez czas pobytu nic nie zaszło ważnego. Żyjemy zwyczajnym sposobem, tylko Henryk w ciągłych uniesieniach nad Wschodem. Na wszystko patrzy dyjamentowemi okularami: dziwy opowiada i dziwy spisuje; jemu tedy zostawiam opis malowniczéj naszéj podróży. Wszakże wynotuję wam prozaicznie stanowiska jéj główne. Kiedy dzieci przyjdą w Niedzielę ze szkoły, niech na mapie wykréślą drogę, kędyśmy żeglowali.

To egzamin z geografii.

Owóż, po odjeździe z Malty, kierowaliśmy się ku brzegom Lakonii, mając zdaleka na widoku Kretę z jéj górą

*) Siostra żony Mickiewicza, wyszła za mąż w 1862 r. za Teofila Lenartowicza.

Idą. Opłynęliśmy przylądek Matapan; Oleś powinien wiedzieć, jak się nazywał klassycznie i jaka tam była niegdyś świątynia. Zostawiliśmy wyspę Cyterę i dążyliśmy śród Cyklad ku Paros i Syro. Tam nas nie przyjęto, żeśmy mieli chorych i jednego nieboszczyka. Pochowano go na wyspie Delos; miejsce to—dziś puste i brzeg lazaretu — obstawiony strażą. Daléj, między Chijos i lądem, zakręciliśmy ku Smyrnie, zkąd wracając i zbliżając się ku brzegom, między Lesbos i dawnym Pergamem, ujrzeliśmy Idę Trojańską, gdzie tyle razy bogi Greckie schodziły na radę. U stóp Idy—równiny Trojańskie. Byliśmy zbyt daleko od ujścia Ksantu i Symoentu, żeby je dojrzéć, ale grób Achillesa — postawiony w tak szczęśliwie wybraném położeniu, że długi czas i z różnych stron zawsze widny, panuje nad całem pomorzem. Grób Ajaksa—nieco daléj, mniéj wyraźny. Cieśnina Dardanelska jest tak széroka, że trudno byłoby wierzyć, aby ją kto mógł przepłynąć, gdyby tego w naszych czasach Bajron nie dokazał. Bosfór, choć węższy, uważałem jednak, że ma silne prądy; przebył go jednak wpław niegdyś nasz Zwierkowski, czego pamięć trwa dotąd u Turków. Można go tedy po Leandrze i Bajronie liczyć za trzeciego arcypływacza.

Miejsce, gdzie koczujemy, jest także pełne wspomnień. Blizko od nas leży Jazonija, sławna tém, że Jazon z Argonautami czas jakiś tu popasał—a z drugiéj strony Ajantyjon, gdzie niegdyś obchodzono corocznie igrzyska na cześć Ajaksa, syna Telamona. Tego wszystkiego została tylko pamięć i to w książkach. Tureckie mrowisko wszystko roztoczyło i obsiadło; Grecy nawet tutejsi o wszystkiém dawném zapomnieli.

Pozdrawiam was i ściskam.

A. M.

C.) POWIASTKI.

1. Tajemnica.

— Mój Karolku, powiédz mi, co to jest tajemnica — zapytała ośmioletnia Helenka swego szesnastoletniego brata, który wszedł do dziecinnego pokoju, szeptał coś z mamą, potém ze starą Wróblewską, dawną swą niańką, i przechadzał się po pokoju. Ciekawa Helenka zapytała Wróblewskiéj o powód tych szeptów, a otrzymawszy odpowiédź, że to jest tajemnica, udała się do brata o objaśnienie jéj tego wyrazu.

— Co to jest tajemnica? — powtórzył Karol.

— Tak, tajemnica, — zawołała zniecierpliwiona Helenka.

Karol zaczął kręcić głową, mrużyć oczy, zamyślił się głęboko....

— Pokaż mi tajemnicę, mój drogi; chcę zobaczyć, jak téż ona wygląda.

— Dziwne to jest zwierzątko, Heluniu; myślisz, że ją jak najmocniéj trzymasz w ręku, aż tu ani spostrzeżesz, jak ci się prześliźnie między palcami, wyleci na świat, a wtedy, żadnym a żadnym sposobem nie zdołasz go już napowrót pochwycić.

— Zwierzątko!.... a jakiegoż koloru?—rzekła Helenka, robiąc wielkie oczy.

— Bywają tajemnice czarne, straszne, przerażające; bywają téż bardzo piękne, radosne, wesołe, jasne. Właśnie mam jednę, któraby cię niezmiernie uradowała.

— Oh! mój najdroższy, mój złoty, pokażże mi ją!

— Bardzo przepraszam, ale nie mogę.

— A gdziesz ją masz?

— Tu,—rzekł Karol, pokazując na kieszeń od tużurka.

— W kieszeni. Oh! mój Karolku, nie może być! zwierzątko.

— A teraz wyjmę ją niezadługo i poślę w podarunku jednemu z mych przyjaciół.

To mówiąc, Karol siadł przy biureczku Helenki, przysunął kałamarz, wziął papiér i pióro do ręki. Helenka dziwiła się niezmiernie, co téż on myśli robić z atramentem, papiérem i piórem, i pomyślała zaraz, że będzie mogła zobaczyć, jakim sposobem wyjmie on tajemnicę i zawinie ją w papiér. Musi to być szczególne zwierzątko, kiedy się daje tak łatwo wyjąć z kieszeni i zawinąć w kawałek papiéru. Stanęła więc za krzesłem Karola, spięła się na paluszkach i wyciągnęła szyję, aby lepiéj dojrzéć; lecz jak tylko Karol spostrzegł, że stoi przy nim, odwrócił się i zganił ją za tę ciekawość.

— Bardzo cię proszę, odéjdź zaraz; czy myślisz, że mógłbym bezpiecznie wyjąć tajemnicę i włożyć ją w list, gdy ty stoisz mi za plecami. Twoje ostre oczki z pewnością by ją zabiły. Bądź tak dobra wyjdź z pokoju i zamknij drzwi za sobą.

Dalszy ciąg.

— Co téż to musi być za dziwne stworzenie ta tajemnica? myślała sobie Helenka. Karolek mówi, że czasami są bardzo piękne i że jego tajemnica bardzo by mi się podobała. Jaki on niedobry, że mi nie pozwolił zostać w dziecinnym pokoju.

Gdy tak rozmyślała i łamała sobie główkę, dano znać, że waza na stole. Z jakiéjciś przyczyny dnia tego pośpieszono się bardzo z obiadem. Helenka wybiegła; w sieni spotkała Karola; trzymał w ręku list, a przechodząc obok niéj, podniósł go wysoko nad główką siostry. — No! Helenko, czy byś czasem nie chciała zajrzéć w środek tego listu? Moja tajemnica jest w nim zamknięta.

— Pozwól, mój braciszku, pozwól!

— Nie mogę, żadną miarą. Jesteś tak rozciekawiona, że, gdybyś gwałtownie spojrzała, zabiłabyś ją na miejscu.

— Nie bój się; spojrzę bardzo łagodnie, po cichuteńku; ty wiész, że ja nigdy nawet muszki nie zabiłam. Mój Karolku, mój najukochańszy Karolku, pozwól tylko na chwilkę.

Lecz próżne były jéj błagania: zanim się bowiem spostrzegła, Karol, śmiejąc się do rozpuku, wbiegł do gabinetu ojca i włożył list w tekę, którą codziennie po południu zabiérał służący i roznosił listy podług adresów.

Po obiedzie, a raczéj po śniadaniu, rodzice Helenki i Karol zaczęli się wybiérać w drogę. Wyjeżdżali na kilka dni w sąsiedztwo, do państwa Z*, przyjaciół jéj ojca. Helenka wiedziała dobrze, że jeszcze była zbyt małą, aby jeździć z wizytami do obcych osób, nic ją więc nie dziwiło, że ma zostać w domu—jednak jéj było trochę markotno, gdy inni rozmawiali o przyjemnościach téj wycieczki. Dano znać, że powóz zajechał. Przez kwandrans wszyscy się krzątali, ubiérali; Helenka dopomagała, jak mogła: podawała parasole, szukała rękawiczek mamy, nosiła małe pudełeczka i czyniła różne przysługi. Wreszcie, gdy ją już wszyscy pożegnali i siadali do powozu, mama zatrzymała się chwilkę, jeszcze raz serdecznie ucałowała córeczkę i rzekła do niéj:

— Nie smuć się, Helenko, naszym odjazdem; wiem, że będziesz bardzo kontenta.

Dziwiło to mocno Helenkę, zkąd mama mogła przypuszczać, że ona będzie kontenta z odjazdu rodziców, gdyż przeciwnie, usłyszawszy turkot odjeżdżającego powozu, bardzo jéj się przykro zrobiło.

Dalszy ciąg.

W domu wszystko się uspokoiło. Zostali tylko służący, Helenka i mały jéj braciszek Staś, który jeszcze nie umiał chodzić. Wróblewska położyła Stasia w kolébkę, ukołysała go i zapowiedziała Helence, żeby się cicho sprawiała i nie obudziła dziecka, ponieważ chciała wszystko posprzątać

i poukładać i dlatego życzyła sobie, żeby Staś spał parę godzin spokojnie. Helenka wiedziała, że, jak Wróblewska weźmie się do robty, to nie lubi, żeby jéj przerywano i żeby z nią rozmawiano. Dziewczynka wzięła lalkę, zaczęła ją ubiérać, lecz wkrótce się znudziła; wyszła z dziecinnego pokoju, biegała po całém mieszkaniu, które wyglądało smutnie, próżno, bardzo nieprzyjemnie—i tak jakoś niechcący weszła do gabinetu ojca. Piérwsza rzecz, jaka jéj wpadła w oczy, była teka; w téj tece była zamknięta tajemnica; zaczęła o niéj rozmyślać, a im więcéj się nad tém zastanawiała, tém trudniéj jéj było odwrócić oczki. Helenka codziennie powtarzała, mówiąc paciérz: „I nie wódź nas na pokuszenie.“ Mama wytłomaczyła jéj znaczenie tych wyrazów, lecz widać, że w téj chwili całkiem nie pamiętała o paciérzu. Uległa pokusie, pozwoliwszy sobie zbyt długiego wpatrywania w owę tekę, i zbyt gorącego życzenia dojścia tajemnicy; a tém bardziéj uległa, gdy jéj przyszło do główki, że, jak tylko wyciągnie rękę, już będzie mogła wziąść list. Te myśli tak ją dręczyły, tak ją zaprzątały, iż uczuła, że, jeśli dłużéj pozostanie w tém samém miejscu, nie będzie się im w stanie oprzéć.

Zaczęło się ściemniać; wiedziała, że wkrótce służący przyjdzie po listy, a Wróblewska zawoła ją na herbatę. Wzięła więc lalkę i zwolna zaczęła wychodzić z gabinetu. Sam nie wiem, jak się to zrobiło, że mimowolnie zbliżyła się do biórka. Teka spadła na podłogę. Wysypały się papiéry; schyliła się, by je pozbiérać; na wiérzchu leżał list; poznała pismo Karola. Trudno wam opisać, co się z nią działo: porwała ten list, schowała go do kieszeni, inne włożyła do teki... i uciekła z gabinetu, jak gdyby ją kto gonił. Zaledwie zrobiła kilka kroków, usłyszała za sobą stąpanie. Dreszcz ją przeszedł. Służący wszedł do pokoju, zabrał papiéry i wychodził na miasto; chciała go zawołać i oddać mu ten list nieszczęśliwy, lecz tchu jéj zabrakło;

nim zdążyła krzyknąć, już był na ulicy. Nie śmiała pomyśléć o tém, czego się dopuściła.

Właśnie w téj chwili dał się słyszéć głos Wróblewskiéj:

— Panienko, panienko, proszę na herbatę; byłaś grzeczną cały dzień, bardzom z ciebie kontenta. Dopiéroż to ucieszy się mama, jak jéj opowiem, że Helusia tak się pięknie sprawowała.

Potém Wróblewska przysunęła Helence krzesło, ukroiła jéj kawałek chleba z masłem, podała kurczę z obiadu i wreszcie ucałowała panienkę. Helence przykro było słyszéć pochwały piastunki; nie mogła nic jeść, zdawało jéj się, że ją chléb udusi. Ten list w kieszeni dręczył ją niesłychanie; raz czuła dotkliwe zimno, to znowu gorąco piekło ją straszliwie, czasami ją coś szczypało.

Dalszy ciąg.

Sprzątnięto od herbaty; piastunka rozbiérała Stasia. Zwykle Helenka bawiła się w wieczór z braciszkiem, śpiéwała mu piosenki—umiała bowiem śpiéwnik Jachowicza—pokazywała mu lalki i robiła różne figielki. Dziś nie miała żadnego usposobienia do zabawy. Gdy Wróblewska zajęta była słaniem łóżek, Helenka wysunęła się z pokoju i wybiegła na schody, gdzie się paliła lampka. Przysunęła się pod samę lampkę i wyjęła list z kieszeni. O! gdybyście wiedziały, kochane dzieci, jak jéj rączki drżały! Niech was Bóg uchowa od podobnéj niespokojności. Oderwała pieczątkę, wyjęła list, wytrząsnęła kopertę i list na fartuszek, żeby jéj tajemnica nie ugryzła. Nic nie wypadło; pewnie tajemnica uciekła. Obejrzała się, potém zaczęła obracać na wszystkie strony list i wyczytała, co następuje:

„Kochana ciociu.“

Wyjeżdżamy dziś na parę dni do państwa Z*. Mama jest tak zajęta, że nié ma chwili swobodnéj do napisania kilku wyrazów, kazała mi więc pozdrowić ciocię i prosić ją bardzo o przysłanie jutro po Helenkę, któréj nie bierzemy ze sobą. Państwo Z*, jak cioci wiadomo, nie mają małych dzieci. Mama korzysta z téj sposobności, żeby Helence za jéj grzeczność zrobić przyjemność. Może zostać przez cały czas naszéj nieobecności. Jeżeli ciotka nie zechce sama się pofatygować, to może przyjedzie Manieczka z guwernantką. Wróblewska wszystko przygotuje. Helenka nic o tém nie wié; jest to tajemnica; dopiéroż się ucieszy, gdy się dowié o wszystkiém. Rodzice kazali ucałować rączki ciotuni; nie poprzestając na tém, zaraz po powrocie spełnię osobiście ten rozkaz. Proszę także ucałować stryjaszka i Mańcię.

Przywiązany siostrzeniec

Karol.

P. S. Jestem bardzo kontent z Helenki: wybornie się uczy; mam także dla Mani przyobiecane rysunki; przyniosę je natychmiast po naszym przyjeździe.

Karol.

Tak więc tajemnica wyszła na jaw; poznała ją Helenka. Jakże odmienną była od tego, jak ją sobie wyobrażała. Zgniotła list w kulkę i wyrzuciła przez lufcik; wiatr go porwał i zaniósł daleko, daleko. Nie potrafię wam opisać, co się działo z dziewczynką: łzy dusiły ją, serce jéj pękało. Pomyśléć sobie, że tak szkaradnie postąpiła wówczas, gdy rodzice i Karol układali dla niéj tak wielką przyjemność! Totéż przedewszystkiem zapłakała nad przyjemnością, któréj się samowolnie pozbawiła; potém zastanowiła się nad grzechem i złém, jakiego się dopuściła. Ach! Boże! Boże! Ciocia nie dowié się, że Helenka sama została w domu, zkądże mogłaby przysłać. Zamiast pójść do cioci, bawić się z Marynią, grać teatrzyk, oglądać nowe książeczki, zabawki, wieczorem pojechać z ciocią do kogo z wizytą... zamiast tysiąca przyjemności, — siedzieć w domu, nudzić się i martwić tak okropnie, a to wszystko z własnéj winy, przez ciekawość.

Dalszy ciąg.

Helenka wróciła do pokoju, cała zalana łzami. Wróblewska dopytywała się o powód płaczu; myślała, że zapewne tęschni za rodzicami; uspokoiła ją, ugłaskała, rozebrała, położyła do łóżeczka, mówiąc:

Uspokój się Heleńciu, uspokój, da Bóg doczekać jutra, to sobie wszystko wynagrodzimy. Tylko bądź cicho, nie płacz.

Helenka tak się zmęczyła płaczem i zmartwieniem, że usnęła wreszcie. Miała ona bardzo przykre sny; ciągle jéj się snuły po głowie listy; widziała, jak jeden list spadł z góry, niby to człowiek, a upadając na bruk, połamał sobie ręce i nogi. To okropne! Przebudziła się, skoro świt, a piérwsza myśl, jaka jéj się nasunęła, był list wczorajszy. Chciała się bawić, lecz nie mogła sobie znaléźć miejsca; wszystko ją dręczyło, wszystko nudziło.

Tymczasem Wróblewska powyjmowała z szafki najpiękniejsze sukienki i fartuszki Helenki, ułożyła je naboku, obejrzała bieliznę dziewczątka i powiedziała jéj, aby zebrała nowe zabawki.

— Wszystko się to przyda, tylko cierpliwości, paniuniu. Idź do okna wyjrzéć, czy czasem kto nie zajechał.

Ubrała Helenkę w nowiuteńki płaszczyk, który dostała od cioci i włożyła jéj na główkę kapelusik okrągły. Wiedziała Helenka, co znaczą te przygotowania. Powozy ciągle przejeżdżały koło okien; żaden się nie zatrzymał. Wybiło południe; zjedli obiad; potém trzecia, czwarta; nadszedł wieczór. Wróblewska zaczęła szemrać, gniéwać się, mówić ciągle do siebie:

— Co téż to się znaczy! nie pomyśléć o dziecku! odkładali, odkładali na ostatnią godzinę; wiedziałam, że to tak będzie; kontenci, że się sami bawią! Mój biédny aniołek—smutny, że się aż chce płakać człowiekowi.

Rozebrała dziecinę i całowała ją gorąco. Helenka zanosiła się od płaczu, lecz nie chciała nic powiedzieć. Teraz poznała, co to jest tajemnica.

Tak minął dzień piérwszy, drugi i trzeci. Czwartego dnia przyjechali rodzice i Karol. Byli bardzo weseli, wybornie się bawili; sprzyjała im pogoda, wszystko poszło podług ich życzeń. Spodziéwali się, że Helenka również jest zadowolona i że im opowié mnóstwo nowości. Mocno się pomartwili na wiadomość, że Helcia przez cały ten czas nie wyszła za próg, że ciocia nie przysłała po nią i że dziecina te kilka dni spędziła we łzach i westchnieniach.

Gdy się wszystko uspokoiło, Helenka opowiedziała papie i mamie swą przygodę. Dobrzy rodzice, mając wzgląd na jéj prawdomówność, szczéry żal i zmartwienie, jakiego doznała w ciągu tych dni kilku, nie robili jéj żadnych przykrych wymówek—lecz nazajutrz, gdy Helenka przyszła do gabinetu ojca i swoim zwyczajem zajęła się czytaniem, on wziął ją na kolana i miał z nią rozmowę długą, poważną, daleko poważniejszą i dłuższą, niż wszystkie dotychczasowe pogadanki.

Najpiérw objaśnił jéj, jak niegodziwą jest rzeczą wglądać w cudze papiéry, czytać cudze listy, podsłuchiwać rozmowy; że człowiek, dopuszczający się podobnych nadużyć, jest powszechnie nienawidzony i wzgardzony; że nikt uczciwy nie poda mu ręki; że wszyscy go unikają i zrywają z nim stosunki... i wiele innych podobnych rzeczy.

— Niech ta mała przykrość będzie ci nauką—mówił daléj,—że powinnaś cierpliwie czekać na spełnienie danych ci obietnic; ktokolwiek gwałtem goni za przyjemnością, napotyka najczęściéj zawód i smutek; kto czeka i pokłada ufność, zawsze prawie na tém wygrywa i stokrotnie jest wynagrodzony.

1862 r.

---

2. Czarnoksiężnik.

Pani G*, bogata wdowa, mieszkała na wsi, we wspaniałym pałacu, gdzie licznych przyjmowała gości i kilku trzymała służących.

Razu pewnego, gdy wyjechała w sąsiedztwo, trzej służący zmówili się i, wszedłszy oknem do jéj pokoju, zabrali szkatułkę, w któréj zwykle chowała droższe przedmioty: bransolety, łańcuchy i t. p. ozdoby.

Obładowani skarbem, zakopali szkatułkę w ogrodzie, a dla odwrócenia podejrzeń, postanowili czas jakiś pozostać jeszcze w tym domu.

Po powrocie, pani G* spostrzegła natychmiast szkodę; zawołała do siebie wszystkich domowników, wypytując się z łagodnością każdego pojedyńczo, czy nie zabrał szkatułki, i przyrzekając nagrodę za wykrycie sprawcy. Gdy jednak wszystkie prośby pozostały bez skutku, wezwała policyję. Pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nic się nie wykryło.

Jedna z sąsiadek, dowiedziawszy się o téj smutnéj przygodzie, osoba przesądna i zabobonna, doradziła pani G*, aby udała się do pewnego wieśniaka, pasterza, słynącego w okolicy z zamawiania uroków, odwracania złego i tym podobnych bajek, jak się to często zdarza po wsiach i małych miasteczkach. Pani G*, osoba światła, rozumna, nie chciała o tém słyszéć; pomimo przykrości uśmiała się serdecznie, lecz wkońcu, ulegając prośbom sąsiadki i dla ubawienia się, zezwoliła na tę próbę, zaprosiwszy umyślnie kilkanaście osób do siebie.

Czarnoksiężnika przywołano do pałacu.

— Wiele słyszałam o twojéj zręczności i zdolnościach, rzekła doń pani G*.

— Tak mówią; człowiek posiada różne leki i tajemnice, — odpowiedział wieśniak.

— Podobno masz sposób odszukiwania zgubionych rzeczy.

— Niedawno, cztéry niedziele temu, znalazłem wołu, który zginął memu sąsiadowi.

— Jakimże sposobem?

— Nie mogę powiedzieć; to moja tajemnica.

Rzeczywiście znalazł wołu w lesie, gdy pojechał tam chróst zbiérać.

— No! proszę cię, dopomóż mi.—I powiedziała mu szczegóły kradzieży, jakiéj była ofiarą.

Wysłuchał z uwagą, w milczeniu, kiwając głową w prawo i w lewo i skrobiąc się w uszy; nié miał bowiem najmniejszéj nadziei wykrycia złodzieja. Nie śmiał jednak przyznać się do swéj niewiadomości, aby nie stracić wzięłości u ludzi.

— Jak będzie, tak będzie,—pomyślał sobie,—warto jednak coś skorzystać!—Umówił się o wynagrodzenie, prosił o pozwolenie zamieszkania przez trzy dni w pałacu i zastrzegł sobie trzy obfite obiady.

— Tzy dni, trzy obiady, zawsze się coś zyska; ludzie w sąsiedztwie mówić o mnie będą, i to coś znaczy.

Roztasował się więc w pięknym pokoju, spacerował po pałacu, zwiédzał wszystkie kąty; mruczał jakieś wyrazy, niby to, że odmawia zaklęcia, a w rzeczy saméj powtarzał tylko sobie: „Ciekawym bardzo, jak ja się z tego wywinę, jak się to skończy.“

Dalszy ciąg.

Trzej służący, sprawcy kradzieży, ruszali tylko ramionami, bo wiedzieli dobrze, że to poprostu wydrwigrosz i wcale nie posiada żadnych środków wykrycia ich niegodziwości. Wszelako mieli się na baczności, winowajca bowiem nigdy nie jest spokojny; chociażby nikt nie był

świadkiem jego występku, chociażby ukrył najstaranniéj dowody winy, zawsze się lęka, zawsze jest spłoszony, albowiem dręczy go sumienie.

Piérwszego zaraz dnia, pani G*, stosownie do umowy, posłała wyśmienity obiad. Usługiwał mu jeden z tych służących i wpatrywał się pilnie w naszego czarnoksiężnika. Ten, pod koniec obiadu wesoły, nasycony, myślący o przyjemności, jakiéj nigdy nie używał, wyciągnął się na krześle, spojrzał na służącego i rzekł głośno: „No! otóż i piérwszy.“

Służący zadrżał, zmięszał się, pobiegł do swych towarzyszy, mówiąc im: „Odkrył mię, tak, odkrył: powiedział, patrząc na mnie: „To jest piérwszy.“

Dwaj inni naśmieli się z niego, lecz, aby ich czasem nie zdradził swojém przelęknieniem, umówili się, że sami będą usługiwać czarnoksiężnikowi.

Rzeczywiście nazajutrz przyszedł drugi. Pod koniec obiadu powtórzyło się toż samo. Pastuch znowu wyciągnął się i wykrzyknął: „No! otóż i drugi.“

Służący, usłyszawszy to, tak się przeraził, że upuścił talérze i wybiegł, jak oparzony.

Przyszła koléj na trzeciego. Ten chodził krokiem lękliwym, nie śmiał spojrzéć na wieśniaka, nie wiedział, co ma z sobą zrobić, czekał końca obiadu. Po skończoném jedzeniu, pastérz wstał i zawołał: „No! więc i trzeci.“

Nie domówił jeszcze tych słów, gdy służący padł przed nim na kolana, wyznając wszystko. Jego spólnicy, czekający pode drzwami, wbiegli do pokoju: zaklinając z płaczem, przysięgali, że wszystko oddadzą, byle tylko ich nie gubił.

Wieśniak nie wiedział, co się z nim dzieje; jeszcze się bardziéj zmięszał, niż oni. Nie spodziewał się wcale tak nadzwyczajnego obrotu rzeczy, natychmiast jednak przyszedł do siebie!

— Ach! łotry, zbrodniarze, myśleliście, że się złe ukryje; że moja mądrość i sztuka nie przyniosą żadnego skutku. Daléj! oddajcie szkatułkę.

W jednéj chwili szkatułka była w pokoju. On z tryjumfującą miną zaniósł ją pani G*, opowiedział, że wykrył właściwemi sobie sposobami trzech winowajców—i znaczną za to otrzymał nagrodę.

Któż rzeczywiście skłonił służących do przyznania się? Obawa, niepewność, sumienie.

Gdy wieśniak zawołał po piérwszym obiedzie: „Otóż i piérwszy,“ myślał po prostu o tém, że zjadł piérwszy wyborny obiad i że nic a nic nie przedsięwziął dla dojścia sprawcy kradzieży. Toż samo powtórzyło się przy drugim i trzecim. Zbiegiem okoliczności, posługujący mu winowajcy wzięli to do siebie i przyznali się do wszystkiego.

Sumienie jest to towarzysz nieodstępny, który nie zostawia nam chwili pokoju, jeżeli dopuścimy się jakiego wykroczenia. Dręczy ono nas, prześladuje, bezustanne czyni wyrzuty, dopóki prędzéj, czy późniéj, nie nastąpi zadosyćuczynienie. Nigdy złe się nie ukryje.

3. Kolenda.

Żaden dzień nie jest tak powszechnie pożądany i oczekiwany, jak dzień Nowego-Roku; o żadnym tyle nie mówią, na żaden tyle przygotowań nie robią. Każdy za nim wzdycha, każdy datuje od niego rozpoczęcie różnych zamysłów i projektów swoich; zgoła, wszyscy na ten dzień się cieszą. Starzy mają nadzieję, że lepiéj będzie w tym roku niż w przeszłym; młodzież się raduje, gdyż z Nowym Rokiem zaczną się zapusty, a dzieci skaczą z ukontentowania, bo myślą sobie, iż może jaką kolendę dostaną.

Ludwik, syn majętnych rodziców, blizko Kurowa osiadłych, oddawna Nowego-Roku wyglądał. Był jedynakiem,

dostawał często podarunki od ojca i matki, a szczególniéj kolendę zawsze miéwał sutą i dwa miesiące naprzód cieszył się na nią.

Wszystkiego na świecie doczekać się można. W Listopadzie zdawało się Ludwikowi, że Nowy-Rok nigdy nie przyjdzie; nadszedł przecie, a Ludwik, uradowany, wstał rano, żeby najpierwéj rodzicom zmiany roku powinszować i dowiedzieć się o kolendzie. Życzył jéj sobie dlatego tak żywo, iż już od niejakiego czasu uwijało mu się po głowie, że dostanie konika, a oddawna niczego nie pragnął tak gorąco. Wiedział dobrze, iż jeden mieszczanin z Kurowa miał ślicznego na zbyciu; był gniady, mały, składny, z odmianą na czole. Ile razy widział go Ludwik, tyle razy wzdychał i objawiał życzenia, żeby kiedyś mógł być jego; nie taił się z tém przed rodzicami i, idąc do nich, ciągle myślał o koniku. Kiedy dochodził, otworzyły się drzwi do ich pokoju; uściskał ojca i matkę i powinszował im serdecznie: nie wiérszem, nie na piśmie, ale słowami, jakie mu serce podało. Otrzymał od obojga pochwałę przeszłorocznego postępowania i zachęcenie, ażeby ciągle równie dobrze się sprawował i jednakową im był pociechą. Napełniły się łzami oczy Ludwika i tak mu było miłe rodziców ukontentowanie, że i o koniku zapomniał. Przypomniała mu go wnet matka; odsłoniła chustkę białą, leżącą na stole, i Ludwik zobaczył prześliczne siodełko i uzdeczkę Warszawskiej roboty, niebieski czaprak i małą szpicrózgę. Krzyknął z zadziwienia, rzucił się na szyję matce, a gdy usłyszał te słowa ojca: „Dziś jeszcze będziesz miał konika,“ zaczął skakać z radości i całować rodziców. Pobiegł do swego nauczyciela i wołał na niego zdaleka: „Będę miał konika, będę miał konika!“ Kogo tylko napotkał, każdemu z ukontentowaniem powtarzał: „Będę miał konika!“

Zjadł jak najprędzéj śniadanie, wrócił do pokoju rodziców, żeby im podziękować raz jeszcze, wypytać się o konika i przypatrzyć się darom matki. Wysunął i stołek na środek pokoju, okrył go czaprakiem, położył na wiérzchu siodło, założył uzdeczkę za poręcz, włożył kapelusz na głowę, wziął szpicrózgę i cugle w rękę, a klaskając ustami; skakał na stołku i wystawiał sobie, że na koniku jedzie.

Przerwano mu wkrótce tę jego zabawę. We wsi, gdzie mieszkali rodzice Ludwika, nie było kościoła; musieli jeździć na nabożeństwo do Kurowa. Chłopczyna z radością wsiadł do sanek, bo mu matka powiedziała, że zaraz prosto z kościoła pójdzie ojciec do mieszczanina i kupi konika.

Mróz był tęgi, ale niebo pogodne i czyste. Wszystkie domy, drzewa, stawy, okryte były białą powłoką, a śnieg, odbijając promienie słoneczne, lśnił się tysiącznemi kolorami. Chociaż sanki Ludwika sunęły prędko po ujeżdżonéj drodze, podróż zdawała mu się tak długą, że kilka razy chciał wysiąść, przekonanym będąc, iż prędzéj piechotą dobieży.

Dalszy ciąg.

Zajechali nareszcie przed kościół, w chwili, kiedy wielka msza wychodziła. Strapił się cokolwiek Ludwik, gdy przed Ofiarowaniem przerwał kapłan nabożeństwo, a drugi ksiądz ukazał się na ambonie. Byłby chciał jak najrychléj konika miéć w ręku; kazanie spóźniało jego szczęście. Ale Ludwik, skoro tylko chciał szczérze, umiał pokonać samego siebie; wiedział dobrze, z jakiém uszanowaniem trzeba się zachowywać w kościele: słuchał więc pilnie nauki, zajął się nią zupełnie i najmniejsze słówko nie uszło jego uwagi.

Kapłan, nauczający lud przytomny, był ów znany kurowski pleban, powszechnie wielbiony Grzegórz Piramowicz. Światły, uczony, cnotliwy, godzien był służyć temu Bogu, którego w prawém nosił sercu, godzien był tłomaczyć święte przepisy Jego. Zwiédzał pańskie pałace, szpé-

rał w księgach, kréślił gładkiém pióreм piękne myśli swoje, uczęszczał do lepianek kmiotków—lubiony był od wielkich, szanowany od uczonych, ubóstwiany od nieszczęśliwych! Nie piastując nigdy wysokich urzędów, pozyskał wielkie znaczenie: imię jego zostało zapisane w rzędzie cnotliwych i uczonych mężów.

Właśnie w zeszłym dopiéro roku, wśród żniw, okropny pożar do największego ubóstwa przywiódł niemal wszystkich mieszkańców Kurowa; przeszło tysiąc ludzi, w dwóch godzinach, zostało bez dachu, bez pożywienia. Piramowicz, czuły na nieszczęscie ludu, którego był pasterzem, ujmował sobie, żeby wesprzéć owieczki swoje; dokładały się także dzielnie, słynące tak słusznie z dobroczynności, sąsiedzkie domy, ale przecież nie wystarczały dochody na ogromny wydatek—i połowa pogorzelców, bez własnego mieszkania, srogą zimę przepędzać musiała.

Korzystając z licznego zgromadzenia ludu w dzień Nowego-Roku, pleban kurowski miał naukę o prawdziwym sposobie czynienia dobrze. Mowa jego, tak czysta, słodka i prosta, jak dusza, rozrzewniła przytomnych i niechybnie trafiła do serca. „Wiem, że biedni jesteście,“ rzekł, obracając się do wieśniaków, przybyłych z okolic, „ale przecież żaden z was nie jest biédniejszym od wdowy z Ewangelii, a ona ostatni szeląg w karbonę ubogich włożyła. Każdy z was może dać jakąś pomoc nieszczęśliwym pogorzelcom, a wierzcie mi, dziateczki moje, jeden grosz ubogiego, na wsparcie brata dany, więcéj ma ceny w oczach Boga, niż kupy złota, ręką bogaczy sypane. Jałmużny nasze, im więcéj ofiar kosztują, tém więcéj mają wartości. Łatwo udzielać drugim, kiedy sami we wszystko obfitujemy, ale pozbawić się żądnéj, miłéj i potrzebnéj rzeczy, żeby łzy otrzéć nędzy, to prawdziwa zasługa, to prawdziwa jałmużna.“

Ludwikowi serce bić mocno zaczęło na te ostatnie słowa cnotliwego plebana; nie mógł rozpoznać myśli swoich

cisnęły się tłumem do głowy jego; dziwnego doznawał wzruszenia. Skończyło się nabożeństwo, wyszli z kościoła, a on jeszcze przyjść do siebie nie mógł.

„Wiész, Ludwiku,“ rzekł mu ojciec, wsiadając do sanek, „żal mi cię, nie będziesz miał dzisiaj konika. Posyłałem służącego; powiedział mi, że mieszczanin pojechał w sąsiedztwo na odpust i nie wróci, aż w wieczór. Ale, jeśli chcesz, to możesz tu jutro rano do niego z nauczycielem przyjechać.“

Odetchnął Ludwik na te słowa ojca i, z wielkiém zadziwieniem rodziców, prawie z radością, wsiadł do sanek. Jadąc przez miasteczko, spostrzegł z jednéj strony nowo postawione domy, a z drugiéj gołe kominy, gruzy, okopcone belki, ślady pozostałe okropnego pożaru. Patrzał się na nie długo ze smutkiem i, przez całą drogę, aż do końca tego dnia mocno był zamyślony.

Dalszy ciąg.

Nazajutrz wstał, skoro świtać zaczęło; wziął ciepły płaszcz swój, czapeczkę niebieską z sobolami—i wyjechał z nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wjechali do miasta, woźnica chciał na bok zwrócić i udać się, jak miał rozkaz, do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik, a wziąwszy nauczyciela za rękę, prosił, żeby do plebanii jechać kazał. Nauczyciel zapytał się, jakaby téj odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmiałym głosem, że już mu się zupełnie odechciało konika i że pieniądze, przeznaczone od ojca na to kupno, chciałby dać, jeśliby to można zrobić, księdzu Piramowiczowi, dla biédnych pogorzelców. Uściskał chłopczynę rozrzewniony nauczyciel, zapewnił go, iż ojciec gniéwać się o to nie będzie, i zajechali przed plebaniję.

Zastali szanownego kapłana otoczonego starcami, kobiétami, dziećmi i słabemi. Ten przyszedł do niego po

wsparcie, ta po radę, ci po naukę, tamci po lékarstwo; wszyscy żądali pomocy. Zobaczywszy przybyłych gości, przywitał ich uprzejmie i prosił, żeby poszli na chwilę do jego gabinetu. Nie mieli czasu przypatrzyć się licznemu księgozbiorowi, zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego plebana, gdyż nie dał im długo na siebie czekać: wkrótce nadszedł i zapytał się mile, coby ich tak rano do niego sprowadzić mogło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Naczyciel, jego imieniem, ofiarował piéniądze.

Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. „Synu mój," rzekł mu, „szczęśliwy jesteś, że w tak młodym wieku możesz i umiész dawać! Nie zawstydzisz społeczeństwa. Kraj nasz liczy wielu dobroczynnych ludzi; bierz ciągle z nich przykład, wstępuj zawsze w ich ślady, wspiéraj, gdzie możesz, cierpiącą ludzkość; jéj głos nie odbijał się nigdy napróżno o ucho poczciwego! Zaledwiem przemówił o potrzebie parafijan moich, zaczęły mię dochodzić ze wszech stron znaczne ofiary pieniężne; już mi w tej chwili niewiele brak na wystawienie reszty mieszkań biédnym pogorzelcom; rozpocznie się ta robota, da Bóg doczekać, na wiosnę. Kiedy wówczas przejeżdżać będziesz koło świéżo wystawionych domostw; kiedy ujrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: „I jam się do tego przyłożył i mnie to oni błogosławią."

Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: „Już mi nic nie żal konika!"

„Jakiego konika?" zapytał się Piramowicz.

Ludwik się zmięszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć. Widząc to nauczyciel, opowiedział z wewnętrzną rozkoszą, jaką po wczorajszém kazaniu uczeń jego umyślił uczynić ofiarę.

Uściskał go czuléj jeszcze szanowny pleban. „Zrozumiałeś zupełnie," rzekł mu, „moję naukę." Jałmużna twoja

jest prawdziwa, boś się dla niéj miłego pozbawił daru; majętnym jesteś, zatém i twój datek znaczny, ale wierz mi, gdybyś w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę, parę złotych wartującą, i przyniósł mi ją z takiém sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął rozkoszą, równieby ona miłą była Bogu." Szanowny kapłan otarł w téj chwili łzy, płynące po licach swoich, a Ludwik, ucałowawszy jego rękę, odjechał uradowany.

Dalszy ciąg.

Już z mniejszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dziecinnéj i żywéj wyobraźni swojéj widział, jak za piéniądze, przeznaczone na konika, powstają na ich miejscu nowe budowy. Tam, gdzie dawniéj wznosił się domek, spostrzegł kilkoro dzieci biédnych pogorzelców; roztrząsały śnieg patyczkami; w popiołach i gruzach szukały zapewne zgubionych w pożarze lalek, zabawek, gałganków. „Będziecie i wy niedługo własne miały schronienie," pomyślał sobie; „odkupią wam rodzice utracone fraszki!"

Mając całą myśl zajętą pogorzelcami i tém, że uczynkiem swoim przyczynił się do ich wsparcia, przebywał po lśnistéj drodze pola Kurowskie i rychléj, niż się spodziéwał, stanął przed rodzicielskim domem. Pobiegł zaraz do matki. Wyglądała go już dawno oknem i szła zdziwiona naprzeciw niemu spytać się, dla czego nie przyprowadził ze sobą konika?

„Już nie będę miał konika," rzekł jéj Ludwik, tuląc się na jéj łono, „alem wspomógł biednych pogorzelców!"

Wzruszenie nie dozwoliło mu więcéj mówić i raz jeszcze nauczyciel wyręczyć go musiał. Przycisnęła syna do serca swojego uszczęśliwiona matka; nadszedł w téj chwili ojciec i stał się uczestnikiem jéj radości.

„A z siodłem i uzdeczką co się stanie?" zapytała się matka.

„Dam wszystko, jeżeli pozwolisz,“ odpowiedział Ludwik—„księdzu Piramowiczowi; on powiada, żeby i drobniejsze przyjął fraszki, bo najmniejszy datek może być jałmużną.“

Ludwik, tak dobrze rok zacząwszy, szczęśliwy był przez cały jego przeciąg; szczęśliwym był i późniéj, bo zawsze toż samo serce zachował. Zaraz w następującą Niedzielę, złożył w ręce plebana kurowskiego podarunek matki. Z takiémże uczuciem, jak i piérwszy, przyjęty został. Od tego czasu odwiédzał często Ludwik szanownego Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich—a kiedy śmierć wydarła tego męża krajowi, przyjaciołom, uczonym, parafijanom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem sąsiedzkim łzy lał rzewne nad grobem jego.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

D). ANEKDOTY.

1. Roztropny chłopek.

Pewnego razu skradziono gospodarzowi konia ze stajni. Biédny kmiotek udał się do sąsiedniego miasteczka, gdzie miał być targ na konie, myśląc, że albo znajdzie swoję zgubę, albo kupi innego. Przeglądając stojące na targowisku konie, krzyknął z radości, poznawszy własnego. Pobiegł téż zaraz ku niemu, schwycił za uzdeczkę i zawołał nagłos do ludzi:

— Oto jest mój koń, którego mi przed kilkoma dniami skradziono.

— Mylicie się, gospodarzu, — rzekł na to handlarz, który sprzedawał tego konia — ta szkapina, już rok, jak należy do mnie, i są świadkowie, że kupiłem ją na łońskim jarmarku; może ona podobną jest do waszego konia, ale to nie wasza.

Gdy to handlarz mówił, kmiotek zakrył prędko oba oczy koniowi i rzekł:

— No! kiedy ty tak dawno tego konia masz u siebie, to powiedzże mi, na które oko jest ślepy.

Handlarz, który istotnie był złodziejem i nie miał czasu dobrze konia obejrzéć, zmięszał się na to zagadnięcie, lecz, nadrabiając miną, rzekł na los szczęścia, że koń na lewe oko nie widzi.

— Aha! zawołał kmiotek, odsłaniając rękę, — kłamiesz, bo koń dobrze widzi na lewe oko.

— No! — podchwycił handlarz, — co to znaczy? ja się omyliłem: chciałem powiedzieć, że on na prawe oko jest ślepy; przecież dobrze znam mego konia.

Natenczas kmiotek odkrył i drugie oko konia i rzekł do otaczających chłopków:

— Patrzajcie, gospodarze, oto jest dowód, że ten handlarz jest kłamca i złodziéj, bo koń na oba oczy dobrze widzi; dlatego zaś zadawałem mu te pytania, aby łatwiéj sam się wydał, że konia ukradł.

Wszyscy przytomni zaczęli się śmiać z tego dowcipnego figla i chwalić roztropnego chłopka, poczém zaprowadzili handlarza do władzy, która go uwięzić kazała. Konia zwrócono właścicielowi, winowajca zaś poniósł zasłużoną karę.

Takto prawda, jak oliwa, zawsze wyjdzie na wiérzch, a fałsz i kłamstwo, jak szydło w worku, nigdy się długo nie utai.

Floryjan Czerminski. 1858 r.

2. Przytomna odpowiedź.

Wiadomo, że dawniéj używano w szkołach gramatyki księdza pijara Kopczyńskiego, obejmującéj prawidła zarazem Polskiego i Łacińskiego języka; jeden nawet profesor wykładał oba te przedmioty. Sławny uczony, Tadeusz

Czacki *), będąc, jako wizytator generalny szkół, na egzaminie w Ż***, zapytał jednego ucznia z klasy piérwszéj:

„Ile jest form przypadkowania?“

Przytomny młodzieniaszek śmiało i bez namysłu odrzekł, ale nie odpowiedzią, tylko drugiém pytaniem:

„W jakiéj mowie, w Polskiéj, czy Łacińskiéj?“

Ucieszony taką odpowiedzią, założyciel szkoły Krzemienieckiéj rzekł:

„Dobrze, dobrze; masz rozwagę, będziesz miał i rozum; dosyć; widzę, że umiész. Rodzice i kraj będą miéć z ciebie wielki pożytek.“

Słowa znakomitego męża ziściły się w przyszłości: z tego malca wyrósł mąż uczony.

Hipolit Skimborowicz. 1862 r.

4. Przytomność umysłu.

Karol Vernet, sławny rysownik Francuzki, od dzieciństwa okazywał wielką do rysunku zdolność. Dopiéro miał sześć lat, kiedy już po wielu domach zapraszano go po to jedynie, żeby widziéć, jak rysuje z pamięci naprędce. Ojciec jego, także malarz, zaprowadził go raz do księcia Conti. Ten wziął go na kolana, dał mu tablicę i szyfer i prosił, żeby mu zrobił konia. Chłopczyk wyrysował natychmiast jak najkształtniejszego konia, ale w zapale swym nie uważał, że tablica—mała i że zabrakło mu miejsca na nogi i kopyta końskie.

„Cóż to będzie?“ zapytał książe, „chybiłeś, mój mały malarzu.“

„Bynajmniéj,“ odpowiedział chłopczyk, nie tracąc miny i rysując czémprędzéj rzekę; „mój koń w wodzie stoi i dlatego nóg mu nie widać.“

*) Urodził się w roku 1765, umarł w roku 1813; założył szkołę wyższą w Krzemieńcu; posąg jego, dłuta Sosnowskiego, znajduje się w kościele PP. Wizytek w Warszawie.

4. Zamek Tumen.

Jan Stefan Wydżga, kaznodzieja, żyjący w XVII wieku, późniéj wyniesiony na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, a wreszcie na prymasa królestwa, znany był powszechnie ze swego rzadkiego dowcipu i pociesznych żarcików.

Raz na dworze przedstawiono mu paniczyka, który świéżo powrócił z zagranicy. Wydżga winszuje mu szczęśliwego przybycia z obcych krajów, a poznawszy wnet, że to jest młodzieniaszek płochego rozumu, a wielce zarozumiały, zapytuje się go, zkąd powraca?

— Byłem,—odpowiada,—w Hiszpanii, we Włoszech, Francyi, Niemczech i Belgii.

— A w zamku *Tumen*, we Włoszech, czy się było?—zapytał prymas.

— Byłem i przyznać mu to trzeba, że bardzo jest obronny,

— Cóż to tam za rzeka pod nim płynie?.... Zdaje mi się, że *Tiris*;—niby natrącajac, rzecze prymas.

— Tak, tak, ale mi cale było z pamięci wypadło; rzeka to bardzo głęboka, po któréj nawet okręty pływają.

Uśmiéchnął się żartobliwy arcybiskup i rzekł:

— Hm! to zamek *Tumen*, a rzeka *Tiris* się zowie! A gdyby się te słowa w jedno złożyły, coby znaczyły? *)

Spostrzegł dopiéro paniczyk, na jaką go wędkę schwytał Wydżga, i ze wstydem opuścił zamek Łowicki.

5. Obłąkany.

Angielski poeta Lee **) dostał, w skutek ciężkiéj choroby, pomięszania zmysłów. Oddano go więc do zakładu obłąkanych; jednakże, dla słabych oznak choroby, pozwolono mu tam chodzić według woli i chęci.

*) *Tu mentiris*, co znaczy: ty kłamiesz. **) Wymawia się Li.

Razu jednego odwiédził go przyjaciel. Lee zaczął go niezwłocznie oprowadzać po wszystkich niemal miejscach. Pomiędzy innemi, weszli na wieżę, z któréj otwiérał się wspaniały widok na sąsiednie okolice. Następnie stanęli na galeryi, znajdującéj się na szczycie téj wieży.

— Przyjacielu!—zawołał Lee, ciągnąc za sobą gwałtownie towarzysza,—patrz co za obraz wspaniały. Wiész co, uściśnijmy się serdecznie i skoczmy nadół, gdyż śmierć taka otworzy nam podwoje sławy i da nam nieśmiertelność.

— Ho!—odrzekł przyjaciel,—na to się lada głupiec zdobędzie; ale zejdźmy na dół i sprobujmy ztamtąd wskoczyć nagórę, a przekonasz się, że ta sława stokroć większą będzie. Tylko pójdźmy czémprędzéj, by nas w tém kto nie uprzedził.

Owa nadzwyczajność pomysłu tak ujęła biédnego poetę, że usłuchał przyjaciela, przestał go ciągnąć za sobą i sam zeszedł. Tym sposobem i sobie i jemu życie uratował.

1865 r.

6. Troskliwość zbyteczna.

Józio B* jest chłopczyk bardzo dowcipny, ale jeszcze mały; z téj przyczyny nie zna wartości nauki i nie bardzo chętnie się uczy. Odmieni się z wiekiem, bo któreż dziecko dowcipne nie zmiarkuje łatwo, że nauka koniecznie potrzebna; ale tymczasem woli jeszcze bawić się, niż uczyć. Tak raz, dziadunio zasadził go nad książką i kazał mu się uczyć, sam zaś wyszedł; wraca w pół godziny i zastaje Józia z kijem, na środku pokoju.

— Co ty robisz, chłopcze?—zawołał.

— Dziaduniu,—odpowiedział Józio, — mysz tu przebiegła dopiéro, chciałbym ją zabić.

— Co tobie do myszy, książki pilnuj.

— Ale, bo ja wiem, że myszy lubią jeść książki i o moje bardzo się zląkłem.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

7. Mądre głupstwo.

Ezop Frygijczyk urodził się niewolnikiem, a co najgorsza, człowiekiem nadzwyczajnie od natury upośledzonym: głowę miał śpiczastą, nos płaski, szyję grubą i krótką, usta wielkie, cerę czarną i wynędzniałą; przód ciała wystający, z tyłu garb ogromny. Mimo tak potwornéj postaci ciała, miał Ezop dowcip bystry, pojęcie szybkie i przenikliwe, przytomność wielką.

Piérwszy pan Ezopa, chcąc się pozbyć takiego brzydala, przedał go za trzy szelągi pewnemu kupcowi, który, zapłaciwszy tę fraszkę, rzekł: nic nie wydałem, nic téż nie kupiłem. W kilka dni potém, nowy pan Ezopa kazał swym niewolnikom gotować się w daleką podróż. Ułożyli więc paki i podzielili się ciężarami, jakie dźwigać mieli. Ezop prosił, aby mu, jako nowoprzybyłemu i prócz tego mniéj zdatnemu do dźwigania, najlżejszy dali ciężar. Odpowiedzieli mu uprzejmie: całkiem cię od téj usługi uwalniamy. On zaś na to: nie byłoby słusznem, gdybym się od pracy wyłączał. Pozwolili mu tedy wybrać sobie pakę, wedle upodobania. Obejrzawszy wszystkie, Ezop wziął kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli śmiać się, mówiąc: prosił o najlżejszą pakę, a wybrał najcięższą—i, z ogromnym śmiechem, włożyli mu kosz na plecy.—Ezop uginał się pod koszem, a kupiec chwalił jego gorliwość.

Skoro przyszli na popas, Ezop odebrał rozkaz podzielenia chleba między towarzyszów; a gdy to uczynił, kosz swój do połowy wypróżnił. Na wieczór, znowu rozdano chléb między niewolników—a gdy, w skutek tego, Ezop, mając kosz prawie próżny, żwawym posuwał krokiem, dopiéro towarzysze jego, stękający pod ciężarem swych tłomoków, poznali mądrą myśl, ukrytą w głupiém, napozór, jego żądaniu.

x.....

8. Igraszka słów mimowolna.

Mały jeden chłopczyk piérwszy raz był w kościele w Dzień Zaduszny. Usłyszawszy w końcu kazania te słowa księdza: „Za duszę Pawła, za duszę Marcina i t. d.,“ powiedział przelękniony do matki: „Mamo! idźmy prędko do domu, bo on nas tu wszystkich zadusi.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

9. Pastuch.

Pewien zamożny włościanin tak przez pijaństwo podupadł, iż musiał iść za pastucha w téj saméj wsi. Pewnego razu, spotkawszy go dawny przyjaciel, co nie jednę kwaterkę z nim wychylił, zapytał się go:

„Cóż to, Jakubie, czyście zostali pastuchem?

„Nie,“ odpowiedział piérwszy, „tak źle nie jest; ja tylko pilnuję, żeby trzoda szkody nie robiła.“

Floryjan Czermiński. 1858 r.

B.) KOMEDYJKA.

Obchód urodzin.

Matka.—Ciotka.—Marynia.—Krysia.—Kostuś.—Adaś.

(Scena na wsi, w ogrodzie.)

SCENA I.

Marynia, Krysia.

(Teatr wyobraża piękne miejsce w ogrodzie, opasane drzewami; zdobią je kwiaty w doniczkach i kanapki).

Krysia. (do Maryni, stojącéj smutnie pod drzewem). Otóż stało się, jak mówiłam; nadszedł dzień urodzin mamy, a myśmy nic nie wymyśliły. Gadałyśmy o nich od Nowego-Roku; miały być komedyje, balety, obrazy, widowiska... i skończyło się na niczém.

Marynia. Gdzie tam na niczém! skończyło się na tragedyi. Doprawdy, że ja dziś w nocy prawie nic nie spałam; budziłam się co chwila, wstałam przede dniem i tak się martwię, że téż mamie żadnéj niespodzianéj przyjemności nie sprawimy.

Krysia. Dobrze wam tak, czemuście mię nie słuchali? Już cztéry tygodnie, jak mówiłam: grajmy „Sielankę“ Tańskiego, albo „Powrót Posła“; już Adaś był za mną, aleś ty z Kostusiem nie chciała.

Marynia. Jakże, kiedy nam brakowało strojów, teatru i osób.

Krysia. Wielkie rzeczy! można sobie było poradzić, a wreszcie mniejszą sztukę wybrać, albo dać: „Co kto lubi“—to także bardzo ładne. Radziłam, żeby wziąść scenę z Barbary, scenę z Krakowiaków, scenę z Jadwigi; ty masz piękny głos, Kostuś tak ślicznie wiérsze mówi — i byłoby

Marynia. O! zapewne! w twojéj głowie wszystko się zmieści; ale czyż podobieństwo, żeby na wsi, we cztéry osoby, bez muzyki, dekoracyj, ubiorów, można z takiém widowiskiem wystąpić.

Krysia. Już co się tyczy osób, to bardzo cię przepraszam, ale mamy ich więcéj, niż cztéry, bo i ciocia byłaby chętnie do nas należała; ona tak nas kocha.

Marynia. Jakże chcesz, dopiéro wczoraj przyjechała; nie było już czasu.

Krysia. Gdzie tam czasu! nie było zgody, a gdzie nié ma zgody, tam nic dobrego być nie może....

SCENA II.

Też same, Kostuś, Adaś.

Adaś. (który, wchodząc, usłyszał słowa siostry, mówi za nią poważnie) Gdzie nié ma zgody, tam nic dobrego być nie może! Praw-

dziwie! sentencyja wyborna i prawdziwa. Nigdym się nie spodziéwał, żeby z ust takiego trzpiota wyjść mogła.

Krysia. Ani wątpię, bo w waszém mniemaniu, tylko wy, chłopcy, możecie miéć rozum i coś do rzeczy powiedzieć. Ja się nie uczę łacińskich sentencyj, ale za to sama stwarzam polskie. Ciekawam, w czém większa sztuka?

Kostuś. Jak wy dzisiaj sprzéczać się możecie i mówić o czém inném, kiedy my w takim jesteśmy kłopocie?

Marynia. Zwyczajnie pustki w głowie; ale ja wiém dobrze, że oni w sercu zarówno z nami cierpią.

Adaś. Bo i prawda. Dziś urodziny mamy: te zaś tylko raz na rok bywają, mieliśmy więc cały rok do namysłu, taką długą zimę... i niceśmy nie wymyślili; a przecież zawsze dawniéj bywał jakiś koncept.

Krysia. A co najgorsza, żadnego roku nie było tak wiele projektów i szeptów. Mama przekonana, że my z prześliczną komedyją wystąpimy, a tu nic! O! będzie miała prawdziwe zdziwienie. (Śmieje się i Adaś toż samo).

Marynia. Przynajmniéj się nie śmiéjcie, bo mnie do prawdy płakać się chce. Wam jeszcze nic, ale ja najstarsza..

Kostuś. Prawda, że to wielka biéda! najbardziéj, że wiém zawczasu, jak to mamie przykro będzie.... Ach! gdyby jeszcze można co wymyśléć!

Krysia. Trzebaby do tego kogoś, prędzéj myślącego od ciebie, mój bracie, bo ja nie raz widzę, jak ty godzinę nad jednym wierszem myślisz. Kto by nam mógł w momencie coś poradzić, to ciocia, tylko nie wiem, czy już wstała? Zobaczę. (Chce wychodzić, spotyka się z Ciotką). Ach! otóż i ona.

SCENA III.

Ciż sami, Ciotka,

Dzieci. (biegnąc ku niéj i całując ją). Ach! ciociu, kochana ciociu! wymyśl nam co dla mamy.

Ciotka Czegóż chcecie?

Krysia. Jakiéj komedyi naprędce.

Ciotka. Komedyi? to już trochę zapóźno. Szkoda, żeście do mnie nie napisały, byłabym wam przysłała jaką z Warszawy. Ale dzisiaj, w sam dzień urodzin?

Krysia. To nic nie szkodzi! My się jeszcze nauczymy. Moja ciociu, co wiejskiego! ja mam taki ładny różowy gorsecik, byłyby ubiory.

Adaś. A jabym pożyczył sukmany od ogrodniczka; jużem jéj raz przymierzał,—wyborna—byłbym pasterzem.

Kostuś. Ej! wstydzilibyście się takie baśnie klécić! Cóż wy chcecie? żeby ciocia wymyśliła, napisała komedyję, my jéj się nauczyli... i to wszystko dzisiaj? Oj! dzieci! dzieci!

Marynia. Żeby to przynajmniéj można choć maleńką przyjemność mamie sprawić! Żeby, wstawszy, miała jakie miłe zdziwienie! Żeby wiedziała, żeśmy o niéj, o jéj urodzinach pamiętali. Moja ciociu, pomyśl trochę!

Ciotka. Oto wiécie, co zrobić!

Dzieci. (Otaczając ją). Ach? co? co? mów, kochana ciociu!

Ciotka. Moja siostra bardzo to miejsce lubi, co rano tu przychodzi... przynieście dary, które jéj ofiarować macie; ja was między temi drzewami ustawię. Mam wieńce z kwiatów, przyozdobią się wasze ubiory; ona tu przyjdzie, zadziwi się, powiécie jéj powinszowania i będzie mała zabawa naprędce.

Dzieci. (skacząc, klaszcząc w ręce i ściskając ciotkę). O! ślicznie! ślicznie! Dziękujemy cioci!

Marynia. Ale bierzmy się zaraz do tego. Ja idę po mój podarek.

Inne dzieci. I my to samo.

Ciotka (do Kostusia). Mój Kostusiu, ty ze mną zostań, pomożesz mi trochę; pójdziesz potém po swój podarek.

(Krzątają się oboje, ustawiają doniczki; ciotka przynosi wieńce z kwiatów).

Kostuś (ustawiając). Ach! dziękuje ci, kochana ciociu, żeś nam tę myśl podała. Pewny jestem, ze mama będzie kontenta. Ale jakie powinszowanie jéj powiedzieć? Ja dosyć myślę i bardzo wiele czuję, lecz, kiedy mam najwięcéj myśli w głowie i uczucia w sercu, wtenczas słów mi nie dostaje.

Ciotka. Wielu osobom podobnie się zdarza, i ja, przewidując ten nowy wasz kłopot, napisałam dla każdego z was po cztéry wiérszyki; są one stosowne do darów, które ofiarować macie; będzie czas do nauczenia się ich na pamięć, bo gdym z domu wychodziła, mama jeszcze spała.

Kostuś. Kochana ciociu, dawaj! dawaj! biegnę wołać sióstr i brata, a przez drogę sam się moich nauczę.

(Ciotka daje mu karteczkę, a on wybiega.)

SCENA IV.

Ciotka. (sama).

Ciotka. Domyślałam się jeszcze wczoraj kłopotu tych biédnych dzieci... i jakże mi miło, żem im tę radość sprawiła. Nic dziwnego, iż chciałyby matce dzień urodzin uprzyjemnić. Ach! któreż to dziécię, dobrą matkę mające, podobnego dnia nie błogosławi! któreżby go upięknić nie pragnęło? Szkoda tylko, że zdatniejszego doradcy nie mają. Ale spodziewam się, że i tę drobnostkę przyjmie ona mile. Matce tak mało potrzeba, żeby z dzieci zadowolnioną była.

SCENA V.

Ciotka, Krysia, Marynia, Adaś.

(Marynia niesie pęk kwiatów, Krysia—kosz cukrów i przysmaczków, Adaś—ptaszka w klatce).

Dzieci. (wszystkie razem). Ciociu! ciociu! Kostuś nam powiedział o wiérszach; dawaj je, prosimy! oto masz nasze dary.

(Ciotka odbiera od każdego, co przyniósł, i daje karteczkę. Dzieci rozchodzą się po całym teatrze; Marynia siada, Krysia chodzi, Adaś opiera się o drzewo—i uczą się głośno; Ciotka jeszcze ustawia; wtém Kostuś powraca z koszem jabłek i mówi):

Oto mój dar, i moje wiérsze już umiem.

Dzieci. I my umiemy.

Ciotka. Co? już?

Krysia. O już! takie łatwe; a wreszcie mamy je napisane, będzie można sobie przypomnieć.

Marynia. (do ciotki). Ciociu, zacznij nas ustawiać.

Kostuś. O! zacznij! bo mi kredencerz powiedział, że mama już się obudziła.

Dzieci. Ach! śpieszmyż się.

(Ciotka ustawia dzieci; dwie dziewczynki, ubrane w białe sukienki, połączone wieńcami z kwiatów, stają na wyniesieniu, jedna wyżéj, druga niżéj, wśród kwiatów i krzewów. Adaś tuż przy nich, prawą ręką oparty o drzewo, lewą wskazuje klatkę, stojącą na ziemi; Kostuś z drugiego boku, klęcząc na jedném kolanie, w obydwóch rękach kosz z jabłkami trzyma. Ciotka, ustawiwszy ich, oddala się i przypatruje, a spojrzawszy wbok, spostrzega zbliżającą się matkę. „Mama idzie!“ woła i wybiega. Wraca wnet z siostrą na scenę, a dzieci stoją spokojnie na miejscach).

SCENA VI i OSTATNIA.

Wszyscy.

Matka. Cóż ja widzę? cóż się to znaczy?

Marynia.

Obchodząc dzień tak szczęśliwy,
Zebrały się twoje dziatki,
Rzuć na nie wzrok swój życzliwy,
Przyjmij od córki te kwiatki.

Krysia.

Niechaj całe twoje życie
Wolne będzie od goryczy;
Niechaj każde twoje dziécię,
Doda mu wdzięku, słodyczy.

Adaś

Jak ja ptaszka, tak ty zdrowie
Ułów sobie na wiek długi,
I niech ci kiedyś kraj powie:
„Mają twe syny zasługi!“

Kostuś

Po długich zabiegach, pracy,
Jabłoń owoc mi wydała.
I my także będziem tacy,
I z nas czeka ciebie chwała.

(Powiedziawszy wiérsze, dzieci podnoszą się z miejsc swoich, biegną ku matce, oddają dary, rzucają się jéj na szyję; ona kolejno je i siostrę ściska, kolejno im dziękuje i... zasłona spada).

Klem. z Tań. Hofmanowa.

POEZYJE.

I. POEZYJE LIRYCZNE.

1. Do Boga.

O! Przedwieczny, Wiekuisty,
Niech się wola Twoja dzieje;
Jako słońca promień czysty,
Niechaj chwała Twa jaśnieje.

Czyli radość nam zabłyśnie,
Czyli smutek nas uciśnie,
Będziem wołać w każdéj dobie
Wielki Boże! chwała Tobie.

Antoni Górecki.

2. Modlitwa.

Stwórco! myśmy Twe stworzenia;
Chwałę Twoję świętą głosim.
Czém jesteśmy? Twe zdarzenia.
Pozwoliłeś prosić, prosim.
Łaska Twoja daje, bierze;
Dasz, czy weźmiesz, zawsześ Panem.

Dasz użytek, daj go w mierze:
To jest najszczęśliwszym stanem.
Twoje—dawać; nasze—prosić;
Twoje—kazać; nasze—służyć.
Dasz ubóstwo, daj je znosić;
Dasz obfitość, daj jej użyć.

Ignacy Krasicki.

3. Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
„Bądź pochwalon Boże wielki!“

A człowiek, który bez miary,
Obsypany twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

* * *

Oj! sikoro, sikoreczko,
Nie ściel gniazdka tak daleczko;
W naszym sadku, na jabłoni,
Tam się gniazdko lepiéj schroni.

My i płotek zapleciemy,
My i kotka wypłoszemy,
Jeno miła sikoreczko,
W naszym sadku ściel gniazdeczko.

Piosnka ludowa. 1862 r.

8. Skowronek.

Skowroneczek leci,
Gwiazdeczka mu świeci,
Świéci mu i zorze,
Ach! Wszechmocny Boże!
Lata nad polami,
Dzwoni piosneczkami;
Na ich dźwięk kwiateczki
Podnoszą główeczki.
Podnoszą w podziwie,
Pytają pieściwie:
„Któż w tę ranku chwilę
Śpiewa nam tak mile?“
O! skowronku mały,
Jakżeś doskonały!
Cała okolica
Tobą się zachwyca.
Rozweselasz ranek,
Przyrody kochanek;
Gdy cię człowiek słucha,
W niebo wznosi ducha.
Mały służko Boży,
Wzleć ku niebu hoży,
Z lubemi piosnkami
I z memi myślami.
Jabym zawsze chciała,
Bym, jak ty, śpiewała
W serca niewinności,
O Bożéj miłości,
I o Bożym świecie
Marzyła, jak dziecię,
Co tak piękny, tkliwy
I, jak ty, pieściwy.
Gdzież to, mój ptaszyno,
Lecisz nad doliną,
Niknąc w mgły rąbeczku?
Bądź zdrów, skowroneczku.
Do jutra, kochanie!
Różowe świtanie
Gdy błyśnie na niebie,
Przyjdę znów do ciebie.
Przylecę z pośpiechem
Z radości uśmiechem;
Co spólnie umiémy,
Razem zanucimy.

Anna L. 1854 r.

9. Domek.

Ptaszek gniazdko wije,
Zwierz się w jamy kryje,
Ja, biedny człowieczek,
Zbuduję domeczek.

Sosny wybujały,
A jam jeszcze mały;
Jak jéno urosnę,
Zetnę w boru sosnę.
Narznę z niej deseczek,
Uklecę domeczek...
Mały, malusieńki,
Cały nowiusieńki.
Dam w nim okieneczka
Od wschodu słoneczka,
Żeby nas budziło,
Jak będzie wschodziło.
Dam w domku i drzwiczki
Prosto od uliczki,
Żeby i ubogi
Miał wnijście od drogi.
A prosto w okienka
Będzie Boża-Męka,
Żeby Bóg łaskawy
Patrzał w nasze sprawy.

Piosnka ludowa. 1862. r.

10. Siérota.

Weszła gwiazdka nad kościołkiem,
Pod kościołkiem rosa...
I siérotka na grób matki
Co noc przyszła bosa.

Na kalinach śpiące ptaszki
Kwileniem budziła—
Tłukła główkę, włosy rwała,
Długo nie pożyła.

Między bluszczem i barwinkiem,
Ostem i pokrzywą,
Kopacz znalazł na tym grobie
Siérotkę nieżywą.

Po trzech dniach ją pochowali
W dołku pod kościołem,
Ale, szkoda, pochowali
Nie przy matce społem.

Grób matczynin przy kościołku
Był po stronie jednéj,
A po drugiéj, za kościołem,
Grób siérotki biednéj.

Tam na grobie, na matczynym,
Lipka wyrastała,
A siérotce zkądciś brzózka
Sama się zasiała.

I choć matka ze siérotką
Nie leżały społem,
Wszelako się lipa z brzózką
Zrosły nad kościołem.

Dumka ludowa. 1862 r.

II. POEZYJE EPICZNE.

A). BAJKI.

1. Słońce.

„Słońce! zaprzestań świécić; zginę w trudach, w pocie,“
Wołał osieł przy robocie.
„O! dzięki ci za ciepło,“ rzekł wąż rozciągniony.
A sowa: „Że też nié ma przed słońcem ochrony;
Co za obrzydłe swiatło! co téż się to dzieje!
Ja do reszty ociemnieję.“
Polna zaś myszka rzecze: „Bogu, Bogu dzięki,
Za słoneczko z Jego ręki;
I cieszy swym blaskiem i krzepi nadzieją;
Przy cieple i świetle ziarneczka dojrzeją.“

Słońce słyszało wszystko i szło coraz daléj,
Nie dbając, czyli je tam kto gani, czy chwali.

Stanisław Jachowicz.

2. Dąb i agrest.

Dąb, dumny w swoję wielkość, piękny, okazały,
Rzuciwszy z góry okiem na agreścik mały,
Rzecze tonem pogardy: „Ach! jak to nieznośnie,
Że ta licha krzaczyna tak blizko mnie rośnie.“
Na to krzewina temi odpowié mu słowy:
„Pozorem wartość mierzyć—sposób wcale nowy;
Nim mię twoja wyniosłość o mój wzrost obwini,
Rozważ, kogo z nas owoc szlachetniejszym czyni:
Z mojego krzaka człowiek słodki pokarm bierze;
Ty nikczemnym owocem podłe karmisz zwierzę.“

Stanisław Jachowicz.

3. Kotek.

Kotek, wychowany karnie,
Nie robił szkody nikomu,
Zwiédzał piwnice, śpiżarnie,
I myszy wytępiał w domu;
Nawet w sypialnym pokoju jéjmości
Wszystkich natrętnych powyjadał gości.
„A! grzeczny, kochany kotek,
Trzeba mu dziś dać łakotek:
Naści wróbelka, kotku poczciwy,
Zjédz go, bo to ptak szkodliwy.“
Zjadł—i tak mu dobrze łakotek smakował,
Że, gdy strawił wróbelka, kanarka skosztował.

1864 r.

4. Dwie beczki.

Raz dwie beczki przewożono:
Jednę winem napełnioną,
Drugą pustą. Piérwsza cicho
Na posłaniu swém leżała;
Druga, jakby jakie licho,
Wierciła się i skakała.
Gdy wóz, na nierównym bruku,
Mocniéj się potrząsnął czasem,
Pusta beczka huku, puku,
Zagłuszała go hałasem,
Tak, iż ludzie z każdéj strony
Wóz zdaleka omijali;
Siaki taki, przestraszony,
Myślał, że się miasto wali.
Aż, gdy obie przewoźnicy
Mieli wtaczać do piwnicy,
Lud z ciekawą dostrzegł miną,
Że w spokojnéj było wino,

A w téj, co wrzask niosła wielki,
Nawet wody ni kropelki.

Tak samo z ludźmi, młodzi przyjaciele...
Nie wiele czyni, kto rozprawia wiele;
Rozumu same nie dowiodą słowa;
Mniéj zawsze krzyku tam, gdzie światła głowa.
Kto słuszne prawo do rozumu rości,
Temu nie obce poczucie skromności.

1864 r.

5. Chłopczyk ukarany.

Piął się chłopczyk na drzewo, co nad rzeką stało,
Bo mu cudzych gruszeczek dostać się zachciało.
Ale na takich sprawkach każdy źle wychodzi:
Cudza własność jest świętą; tknąć się jéj nie godzi.
I nasz chłopczyk to poznał, ale już po szkodzie:
Spadł—i gruszek nie dostał i skąpał się w wodzie.

Stanisław Jachowicz.

6. Kot i myszka.

Onego czasu, pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy zasłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała
I już miała być zjedzoną;
A więc krzyczy niesłychanie:
„Stój, stój, dlaboga, zatrzymaj się, panie!
Czyś ty nie jest owym kotem,
Co się Łapi-myszką zowie?“
„Tak jest,“ kot rzecze „lecz zkądże wiész o tem?“
A ta mu na to odpowié:
„Przypomnij sobie, jak dziś tydzień trzeci
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakeś płakał i narzekał,
I już pewnéj śmierci czekał,

Gdy cię mysz jedna, już wiekiem pochyła,
Z téj niedoli wybawiła;
Widzę ja, panie, że jéj pamięć tkliwa
Dotąd cię jeszcze rozczula;
Otóż to, otóż, ta mysz litościwa
Była to moja matula.
Zmarła, lecz tyś jéj, przy śmiertelnych śmieciach,
Przyrzekł tę litość odpłacić na dzieciach;
Dałeś słowo kocie.“

„Ach! tak jest,“ rzecze z łzami, „przysiągłem w istocie
Nie tylko sam was oszczędzać,
Ale i drugie koty gryźć, odpędzać,
Wszelkie odpychać napaście.—
Lecz powiédz mi, moja miła,
Ileż twa matka dziatek zostawiła?“

Myszka mu na to; „Dwanaście.“

„Dwanaście!“ kot zawoła, „o! lube istoty!
Biédne myszeczki! niewinne siéroty!
Jakże im przykro być musi bez matki!
Wszystkie przybieram za me własne dziatki.
Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczę
I z tą przybraną poznam się rodziną.“

Biegnie mysz nasza i z radości skacze;
Pędzi, jak gdyby z najlepszą nowiną,
Woła na wszystkie siostrzyczki, braciszki.
Lecą głupie myszki,
Gdy wtém kot, zdrajca, nagle na nie wpada
I, zamiast jednéj, cały tuzin zjada.

Franciszek Morawski.

7. Kwoka i kurczęta

Troskliwa matka, kwoczka czubata,
Wodząc wylęgłe niedawno pisklęta,
Spostrzegła raz jastrzębia, jak z górnych stref świata
Zasadzał się na zdobycz; więc, strachem przejęta,

Woła: „Dzieci
Jastrząb' leci!
Przezorności matki wierzcie
I pod me skrzydła prędko się zbierzcie."
— „Alboż to jastrząb'?" rzecze ród malutki;
„To jakiś punkcik w obłokach;
Mama już w wieku i wzrok ma przykrótki...."
— „Dzieci! schrońcie się, przebóg!" Gdzie tam! dzieci w skokach,
Żartując z obaw, biegną w różne strony.
Aż tu ów punkcik przybrał postać groźną;
Kurczątka w nogi, ale już zapóźno:
Przed drapieżnemi nie mogły ujść szpony.

W czułéj matki przestrogach, młodziuchne dziewczęta,
Pomnijcie zawsze na owe pisklęta.

1864 r.

8. Ojciec łakomy, syn rozrzutny.

Zawsze się zbytek kończy doświadczeniem smutném.
Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym;
Umarli obaj z głodu; każdy z nich zasłużył:
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

Ignacy Krasicki.

9. Osieł i wół.

Osieł, podczas upału szukając ochłody,
Postrzegł, iż pastérz bydło prowadził do wody;
Zbudował się z takowéj dobroci człowieka,
A gdy przyczyn postępku tego nie docieka,
Rzekł mu wół: „Cudzy przykład niechaj cię nauczy:
Siebie on, nie nas, kocha; żeby zarznął, tuczy."

Ignacy Krasicki.

10. Talar i czerwony złoty.

Talar, zwierzchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym dlatego, że mały—
Gdy przyszło do zmieniania, nie patrzono miary;
Złoty piéniądz, choć mały, wart był trzy talary.

Ignacy Krasicki.

11. Wino i woda.

Przymawiało jednego czasu wino wodzie:
„Ja panom, a ty chłopom jesteś ku wygodzie."
— „Nie piłoby cię państwo," rzecze woda skromnie,
„Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie."

12. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu:
Paweł na górze, a Gaweł na dole;
Paweł, spokojny, nie wadził nikomu;
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.
Ciągle polował po swoim pokoju:
To pies, to zając, między stoły, stołki,
Gonił, uciekał, wywracał koziołki;
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
„Zmiłuj się Wacpan, poluj ciszéj nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą."
A na to Gaweł: „Wolnoć, Tomku,
W swoim domku,"

Cóż było mówić? Paweł ani pisnął,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smaczno chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie.

Zerwał się z łóżka i pędzi na górę;
Stuk! puk! zamknięto; spogląda przez dziurę
I widzi... cóż tam? cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
„Co Wacpan robisz?“—„Ryby sobie łowię.“
— „Ależ, Mospanie, mnie kapie po głowie.“
A Paweł na to: „Wolnoć, Tomku,
W swoim domku.“

Z téjto powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Aleksander Fredro.

13. Pan i pies.

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził;
Obili go nazajutrz, ze pana obudził;
Spał smaczno drugiéj nocy, złodzieja nie czekał....
Ten dom skradł; psa obili za to, że nie szczekał.

Ignacy Krasicki.

14. Furman i motyl.

Ugrzązł wóz, ani ruszyć już się nie mógł w błocie;
Ustał furman, ustały i konie w robocie.
Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
Sądząc że był ciężarem w takowéj przeprawie,
Pomyślał sobie: „Litość nie jest złym nałogiem;
Zleciał i rzekł do chłopa: „Jedźże z Panem Bogiem.“

Ignacy Krasicki.

15. Żółw' i mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia; żółw' jéj odpowiedział:
„Miéj ty sobie pałace, ja—mój domek ciasny;
Prawda, nie jest wspaniały,—szczupły, ale własny.“

Ignacy Krasicki.

16. Mądry i głupi.

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się.
Mądry milczał. Gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: „Na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.“

Ignacy Krasicki.

17. Strzelec.

Strzelił strzelec do jastrzębia,
Co ścigał jego gołębia,
Lecz, że źle mierzył, źle nabił,
Chybił jastrzębia;
Co gorzéj, swego gołębia
Nieborak zabił.
W téj bajce ta jest nauka:
Strzelić—łatwo, trafić—sztuka.

Ludwik Kropiński.

18. Kruk i lis.

Kruk, na drzewie siedząc sobie,
Kawał séra trzymał w dziobie.
Lis, zapachem przynęcony,
Zrobił nizkie trzy ukłony
I do niego rzekł niechcący:
„Jakżeś, panie, zajmujący!
Wysiliła się natura:
Jaka postać! jakie pióra!
Jeśli tylko choć o włosek
Masz piękniejszy od piór głosek,
Wtedy ręczę ci honorem,
Że, jak bór ten stoi borem,
Z twą postacią i oczyma
Piękniejszego ptaka nié ma.“
Kruk, nie myśląc, że to zdrada,
Z radości się nie posiada;
Chce zachwycić lisa śpiewem,
Siedzącego tuż pod drzewem,
I széroko dziób roztwiéra.
Wtém wypada kawał séra.
Lis natychmiast za sér chwyta.
„Mości panie, z nami kwita,“
Rzecze wtedy lis do kruka;
„To dla ciebie jest nauka;
Chociaż droga, ale szczera,
Warta przecież kawał séra.“

19. Osieł i flet.

Na błoniu, świéżo skoszoném,
Osiołek z uchem zwieszoném,
Pasąc się trawy ostatkiem,
Znalazł flotrowers przypadkiem.

Zdziwion, ogląda i słucha,
Zważa, na coby się przydał,
I póty wącha i dmucha,
Aż flet przypadkiem głos wydał.
„Ho! ho!“ zawoła radosny,
„Niechajże w swojéj krytyce
Człowiek, co tak jest zazdrosny,
Przygania osłów muzyce!
Ten głos i granie to rzewne,
Co nos mój wydał tak czysto,
Przekona wszystkich zapewne,
Żem piérwszym w świecie artystą.“

W tym ośle widzim młodzików,
Którym gdy kilka wiérszyków
Przypadkiem złożyć się uda,
Już sądzą, że piszą cuda.
Lecz, im są skorsi w nadziei,
Tym łatwiéj miną się z metą:
Ten, co przypadkiem rym sklei,
Dla tego nie jest poetą.

Julijan Ursyn Niemcewicz.

20. Osieł i cielę.

„Jaki też to osieł ze mnie!“
Tak się raz ciele łajało,
Że się przelękło daremnie
I, jak głupie, uciekało.
Ale, gdy się tak rozwodzi,
Jakieś oślątko nadchodzi.
Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi, myśląc nie wiele,
„Jakie też to ze mnie cielę!“

Tak i ludzie z siebie szydzą
I w swych błędach drugich widzą.

Franciszek Morawski.

21. Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie z biegu się pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.
„Umykajcie,“ wołał, „z drogi!“
Groził kijmi i batogi:
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył.
Już to wielką świadczył łaskę,
Gdy skierował swą kolaskę;
O włos dziada nie przejechał
I z przekąsem się uśmiechał.
Pędzi daléj; jam rzekł: „Cicho!
Będzie jemu kiedyś licho;
A nie wyjdzie i miesiąca
On tu wszystkich poroztrąca.“
Ale gdy tak zawsze leci
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam, na Nowym-Świecie,
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy
I wyleciał, jakby z procy,
I od modnéj téj swawoli
Jeszcze go bok dotąd boli.

Kajetan Węgierski.

22. Skąpy.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił;
Żeby jednak za powróz dwóch groszy nie płacił,
Ukradł go pokryjomu. Postrzegli sąsiedzi.
Kiedy więc, osądzony na śmierć, w jamie siedzi,
Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
„To szczęście, że mię przecież bez kosztu powieszą.“

Ignacy Krasicki.

23. Dwa pługi.

Raz na podwórzu stanęły dwa pługi:
Jeden długo spoczywał; z pracy wrócił drugi.
„Przyjacielu,“ rzekł piérwszy, „nie rozumiem wcale,
Czemu ja tak przyćmiony, ty błyszczysz wspaniale;
Wszak z jednegośmy kruszcu, przecież nie jednacy;
Zkądżeś ty nabył blasku?“ –„Czy chcesz wiedzieć?. Z pracy.“

Stanisław Jachowicz.

24. Dwa pługi.

Ukuł kowal w swéj kuźni dwa wyborne pługi,
Obadwa wykończone, jak jeden, tak drugi;
W obu było żelazo dobre, jednakowe,
Jednakowo téż lśniły oba pługi nowe.
Chłop kupił jeden z pługów, wziął go do orania,
Drugi kupił na zapas i wziął do schowania.
Pług piérwszy skibę krajał i na chléb pracował,
Pług drugi, stojąc w śpichrzu, gdzieś w kącie próżnował.
W rok potém jakaż korzyść dla obu wypadła?
Piérwszy błyszczał, jak srébro, a drugi rdza zjadła.

Teofil Nowosielski.

25. Wół i rolnik.

Pastérz, pilnując trzody, przygrywał na flecie;
Pszczółka, pracą zajęta, siedziała na kwiecie;
Pajączek białą przędzę rozściełał po ziemi;
Wół śmiał się z ich zatrudnień i pogardzał niemi.
Na to rolnik, co umiał cenić wartość pracy:
„Ty jesteś pracowitym, oni nie—próżniacy;
Każdy swéj powinności dopełnia, jak może,
Tak dobra pilna pszczółka, jak wół, który orze.“

Stanisław Jachowicz.

26. Dwa zające.

Długą chartów gonitwą strudzone niezmiernie,
Dwa zające, przed śmiercią, schroniły się w ciernie.
Zrazu cicho siedziały, lecz, po krótkiéj dobie,
Zaczął się młodszy kręcić i wyrzekać sobie,
Że jeszcze w takiém piekle w swém życiu nie siedział.
„Nie przesadzaj, młodziku,“ starszy odpowiedział,
„Lepiéj zawsze pod cierniem, niżeli w pogoni;
Prawda, że trochę kole, ale życia broni.“

Franciszek Morawski.

27. Sknéra.

Sknéra, sług się pozbywszy, przez sknérstwo bez miary,
Został się sam przy skrzyni; przy bramie—pies stary;
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
Lecz, gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba, ni kości,
Wychudł, nareszcie skonał jednego wieczora,
A z nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedy to nasz pan kutwa, tając śmierć brytana,
Właził w wieczór do budy i szczekał do rana,

Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś, z lepszym węchem, do domu się wmyka;
A gdy sknéra, aż chrzypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziéj z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

Żółkowski.

28. Osieł i lew.

Śmiał się osieł z niedźwiedzi,
Że na lutni brzdąkały;
„Niechaj waszeć nie bredzi,“
Rzekł lew wyrozumiały;
„Niech raczéj wprzód nam dowiedzie,
Że lepiéj gra, niż niedźwiedzie.“

29. Skarb ukryty.

Umiérając, pan winnicy
Rzekł do synów w tajemnicy:
„Moje dzieci ukochane,
Zanim z wami się rozstanę,
Tajemnicę wam wyjawię:
Skarb po sobie wam zostawię.
Mam w winnicy skarb ukryty:
Każdy więc z was, pracowity,
Niechaj kopie wciąż z ochotą,
A wykopie z ziemi złoto....“
— „A gdzie, ojcze ukochany,
Skarb twój w ziemi zakopany?“
Wszyscy razem, jakby w zmowie,
Odezwali się synowie.
—„Kopcie tylko pracowicie,“
Rzekł i skończył starzec życie.
Ledwo starca pochowano,
Do motyki się zabrano;
Wciąż synowie, bez pomocy,
Kopią we dnie, kopią w nocy;
Choć strudzeni, nie ustają,
Bo się skarbu spodziéwają.
Tak, wytrwali i cierpliwi,
Pracują coraz gorliwiéj.
Lecz skarbu, co miał grunt wydać,
Jak nie widać, tak nie widać.
Jednakże, w pracy wytrwali,
Wnet winnicę rozkopali;
Prawie każdą grudkę ziemi
Przesiéwali dłońmi swemi,
Ale, chociaż się spocili,
Nigdzie skarbu nie odkryli.
Tu się każdy wreszcie zgodził,
Że ich ojciec próżno zwodził.
Tymczasem piękna, radosna,
Nastąpiła znowu wiosna,
A winnica, oku miła,
Trzykroć piękniéj obrodziła

I obfity plon wydała,
Bo uprawę lepszą miała.
Tak młodzieńcy w czas poznali,
Że skarb z ziemi wygrzebali;
Że im ojciec prawdę prawił,
Iż w winnicy skarb zostawił.

30. Kotek, piesek, myszka i ptaszek.

Kotek z ostremi pazury,
Piesek sprzecznéj z nim natury,
Lękliwa myszka i ptaszek nieśmiały,
Razem się z sobą chowały.
Prześliczna zgoda była między niemi:
Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi,
A myszka sobie wesoło
Biegała wokoło,
Ptaszek w górę podlatywał
I swobodnie wyśpiéwywał;
Nawet kiedy jeść im dano,
Poróżnienia nie widziano.
Rzadka w świecie zgoda taka:
Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka.

Powiécie, że to bajka? Mylne wasze zdanie;
Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.
Pamiętajcież dzieci o tém:
Kiedy pies się zgodził z kotem,
Jakże to będzie nie ładnie,
Skoro niezgoda między was się wkradnie.

Stanisław Jachowicz.

31. Piéniądz fałszywy.

Piéniądz fałszywy długo ludzi zwodził,
Razem z dwudziestozłotowemi chodził.
Ztąd nabrał pychy bez miary:
Za nic miał wszystkie talary;
Mijał z pogardą, nie wyrzekłszy słówka,
Gdy go poczciwa witała złotówka.

Wtém raz się, jakiémś zdarzeniem,
Spotkał z probierczym kamieniem;
Jedno potarcie, wnet się rzecz odkryła,
Że pod pozłotą miedź była.

32. Kruk i lis.

Kruk miał w dziobie sér ogromny.
Lis, niby skromny,
Przyszedł do niego i rzekł: „Miły bracie,
Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię:
Cóż to za oczy!
Ich blask aż mroczy.
Czyż można dostać
Takową postać?
A pióra jakie!
Lśniące, jednakie!
Oh! jeśli nie jestem w błędzie,
Pewnie i głos śliczny będzie!
Więc kruk w kantaty; skoro dziób rozdziawił,
Sér wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.

Zawsze bywa zwiedzionym,
Kto lubi być chwalonym.

33. Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
Ledwo się dotykał ziemi,
Tak był zhardział—rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła,
Nietylko wróbla, ale i sokoła.
Gdy więc wszystkiemi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
Kto jest piérwszym wśród wróbli, nie jest piérwszym z ptaków.

*

34. Chciwość osła.

Osiołkowi w żłoby dano:
W jeden—owies, w drugi—siano;
Uchem strzyże, głową kręci:
I to pachnie, i to nęci.
Od którego teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:
Chwyci owies, żal mu siana;
Chwyci siano, owsa szkoda.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora,
Aż nareszcie przyszła pora,
Że oślina, wpośród jadła,
Z głodu padła.

Aleksander Fredro.

35. Kmiotek i wiewiórka.

Pewien kmiotek, w zimnéj porze,
Rąbiąc na coś drzewo w borze,
Znalazł miejsce, gdzie wiewiórka
Miała skarb i w mrozy przechów;
Domem jéj była w pniu dziurka,
Skarbem—dwa garnce orzechów.
Radość się w kmiotku roznieca...
Topór w drzewo, torba z pleca;
Już orzechy brzęczą w ręku.
Aż na blizkim siedząc sęku,
Rzekła doń gosposia z trwogą:
— „Mój ty królu! mój klejnocie!
Ulituj się nad niebogą!
To zebrałam w czoła pocie,
Co chcesz wydrzéć, byś jak fraszkę
Dał swym dziatkom na igraszkę.
Im to dobra nie przysporzy,
A mnie biedną niezadługo
Z twéj przyczyny głód zamorzy.
Weź połowę, zostaw drugą!
— „Nie, nie wezmę, ni orzeszka,
Dobry kmiotek odpowiada;
„Kto sam doznał, co jest biéda,
Czuć litości nie omieszka.“

Józef Massalski.

36. Przepiórka.

Kiedy młody nie słucha, jak mu starszy radzi,
Zawsze się zdradzi.

Wyszła z gniazda przepiórka, tak mówiąc do młodzi:
„Niechaj, póki nie wrócę, żadne nie wychodzi;
Bo nie wiécie, dzieci,
Że zdradny człek,— sieci

Obstawiwszy dokoła,
Czatuje,
A ukryty, na wabiu głos nasz naśladuje,
Na zgubę woła.“
Odbiegła—a że długo nie widać jéj było,
Dzieciom się sprzykrzyło.
Wtém głos przepiórki
Słyszą z za górki;
Sądząc, że ich umyślnie pani matka zwodzi,
Aby siedziały,
Nie figlowały,
Jedno za drugiém wolno z gniazdeczka wychodzi;
Biegną śmieléj za głosem, ale, wpadłszy w siatki,
Daremnie się trzepocząc wzywały swéj matki!

Karol Tetmajer.

37. Paweł i Jan.

Pytał się Paweł: „Powiédz mi, mój Janie,
Co ty jadasz na śniadanie?“
Jan mu na to: „Jak czasem; na co człeka stanie;
Jednakże lubię odmianę:
Czasem mléko, chléb z masłem, albo piwo grzane.“
„A ja,“ rzekł z chlubą Paweł, „taką mam już wprawę,
Że codziennie pijam kawę
I to jeszcze nie jednę: dwie, trzy filiżanki;
Do tego grzanki,
Albo ze świéżém masłem bułeczki mątowe.
Tu przerywają mowę.

Wkrótce potém widziano Pawła nieboraczka,
Jak same suche bułki wydobywał z fraczka.
Daléj, daléj, cóż się stało?
Gdy się grosze wysypało,
I na bułki już nie stało.
Ach! jakże znieść mu było przykro taką zmianę!

Jan miał zawsze chléb, mléko, albo piwo grzane.

Stanisław Jachowicz.

38. Lis i osieł.

Lis stary, wielki oszust, sławny swém rzemiosłem,
Że nie miał przyjaciela, narzékał przed osłem.
„Sameś sobie w tém winien,“ rzekł mu osieł na to,
„Jakąś sobie zgotował, obchódź się zapłatą;
Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela;
Umiéj być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.“

Ignacy Krasicki.

39. Woły krnąbrne.

Miłe—złego początki, lecz koniec—żałosny.
Nie chciały w jarzmie chodzić woły podczas wiosny;
W jesieni nie woziły zboża do stodoły;
W zimie chleba nie stało... zjadł gospodarz woły.

Ignacy Krasicki.

40. Ż y d e k.

Szła ulicą dziecina, biédna, wynędzniała,
Oczki rączką zasłaniała.
Spostrzega to przez okno dobroczynna pani
I chleba posyła dla niéj;
Cieszy się już zawczasu myślą pięknéj cnoty,
Bo cóż miléj, jak ulżyć cierpieniom siéroty?

Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana;
„Ach!“ rzecze, „pani kochana,
To żydziak, a któż widział wspomagać żydziaka?

Dobrą panią uwaga oburzyła taka.
„Ale biédny,“ odpowié; „wesprzéć go potrzeba;
Idź, natychmiast mu zanieś ten kawałek chleba;
On bliźni; cóż tu znaczy w wyznaniu różnica?
Wszak słońce jednakowo nam wszystkim przyświéca.“

Stanisław Jachowicz.

41. Mysz i kot.

Mysz, dlatego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadła.
Rzekła więc towarzyszkom: „Nędzę waszą skrócę.
Spuśćcie się tylko na mnie; ja kota nawrócę.“
Posłano więc po kota. Kot zawżdy gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz przemowę. Kot jéj pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał. Ta, widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziéj wpadała w kaznodziejski zapał;
Wysunęła się z dziury, a wtém... kot ją złapał.

42. Piotr i Jan.

„Jedź wolno, nie pędź koni,“ wołał Piotr na Jana,
„Bo tu błoto i droga nieutorowana.“
Nie chciał słuchać Jan skory, ciągle konie biedził,
Aby Piotra w przybyciu na miejsce wyprzedził;
Piotr jednak, że swych koni sił nie nadużywał,
Wcześniej stanął na miejscu—po trudach spoczywał.
A Jan, zmęczywszy konie, w smutku i kłopocie,
Pieszo wrócił do domu, bo wóz ugrzązł w błocie.

Tak bywa, gdy kto czego nad siły wymaga:
Dobry pośpiech, lecz przy nim rozum i rozwaga.

A. Z. 1853.

43. Dudek, czyżyk i słowik.

Dudek czubaty z czyżykiem,
Gdy raz się zeszli z słowikiem,
Dudek, ze stroju dumna ptaszyna,
Tak do czyżyka mówić zaczyna:

„Ten szary słowik, z swemi piórkami,
Jak widzę, brata się znami;
Musi to ptaszek być ladajaki...
Ulećmy od niego w krzaki.“
Na to słowiczek, ptaszę rozumne,
Spojrzał z litością na ptaki dumne,
Siadł na gałązce obok strumienia
I jął rozwodzić rzewliwe pienia.
Tkliwy głos jego z głębi przenika
Zarówno dudka, jak i czyżyka;
Z żalem do niego zbliżyć się radzi....

Zgoda dobremu nigdy nie wadzi,
Chętnie więc słowik do niéj się skłania,
Lecz im tę skrytą prawdę odsłania,
Że się niczyja wartość nie mierzy,
Ani z pozoru, ani z odzieży.

T. Rodziszewski. 1857 r.

44. Myszka, kotek i kogut.

Coby to była za szkoda!
O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta niewinna; przypadek ją zbawił.
To, co ona swéj matce, ja wam będę prawił...
„Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
Dopadłam jednéj zielonéj równiny,
Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi.
Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:
Jeden z nich, trochę daléj, z milczeniem przystojném
Łagodny i uniżony;
Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym.
W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,
Ogon zadarł do góry
I lśniącemi błyskotał pióry;
Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
Jak gdyby kto powykrawał;
Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,
Albo na powietrze dźwigał.

Ja, lubo z łaski Boskiéj dosyć jestem śmiała,
Ażem mu srodze naklęła,
Bo mię z strachu drżączka wzięła,
Jak wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;
Uciekłam tedy do jamy.
Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy;
Minka jego nie nadęta,
I, choć ma bystre ślépięta,
Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.
Jak nasze, taką samą robotą ma uszka—
Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał;
Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
Téj przyjacielskiéj usługi,
Kiedy nagłego narobił łoskotu,
Krzyknąwszy na mnie z gniewem: Kto to tu? kto to tu?

— „Stój,“ rzecze matka, „córko moja luba,
Aż mrowie przechodzi po mnie;
Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
Kot, bestyja, rodzaju naszego zaguba.
Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
I przyjdą może te czasy,
Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
A zaś kot może nas schrusta.
Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
I tę zdrową maksymę w swéj pamięci zapisz:
Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzeniu poszkapisz.

Stanisław Trębecki.

45. Wilk i baranek.

Wilk i baranek, zdjęci pragnieniem,
Stanęli jakoś nad jednym strumieniem.
Wilk żłopał u góry wyżéj,
Baran z daleka pił niżéj.
Wilk, szczérząc zęby na jagnię młode,
„Baranie,“ mówi, „mącisz mi wodę.“

Baran, na takie zalękłszy się zdanie,
Z pokorą rzecze: „Wielmożny panie,
Nie mogę tobie mącić téj wody,
Co z pod nóg twoich do mych ust płynie.“
— „A to ty,“ fuknął, „pogański synie,
Beczałeś na mnie z swojéj zagrody,
Już przeszło temu, jeśli nie więcéj,
Osiem miesięcy.“
A baran na to: „Lecz pan widzi przecie,
Że jeszcze wtedy nie byłem na świecie.“
— „To brat twój“ rzecze; „musi być nie inak.“
— „Alem ja tylko jedynak.“
— „Czy ty, czy brat twój, czy tam kto inny,
Cały wasz naród dla mnie złoczynny.
Darmo! nie ujdziesz śmierci.“
Zgrzytnął i rozdarł na ćwierci.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

46. Owieczka.

„Nie oddalaj się, kochanko, od trzody,“
Mówiła stara owca do owieczki młodéj;
„Zobaczysz, porwą cię wilki.
Na to dosyć jednéj chwilki.“
Młoda mruknęła sobie: „Co tam—mama plecie—
A wilków nie ma na świécie;
Nie dziś żyję, żadnegom jeszcze nie widziała:
U starszych, aby burczéć, to na tém rzecz cała.“

Tak sobie rozumując, została się wtyle;
Goni po krzakach motyle,
To liść z drzewa, to trawkę skubnie wśród parowu,
To się zatrzyma, to podskoczy znowu;
Wtém nagle strasznie zawoła:
„Ach! ratuj mię, mamuniu, bo wilki dokoła!
Mamuniu dobrodziéjko, mamuniu kochana!“
Biegną co tchu pasterze, krzyczą na brytana,
Lecz zapóźno: owieczka już oddała ducha.

Tak to bywa, dziateczki, kto starszych nie słucha.

Antoni Górecki.

47. Żółw' i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.
„Jak się masz, moja ty skorupo,“ rzecze,
„Gdzie to się waszmość tak pomału wlecze?
Mój Boże! cóż to za układ natury!
Mnie w biegu i sam wiatr nie dopędzi.
Żółw' na godzinę, w swym chodzie ponury,
Ledwo upełźnie trzy piędzi.“

„Hola!“ żółw' rzecze, „mój ty wiatronogi,
Umiem ja chodzić i odbywam drogi;
Mogę i ciebie ubiedz do celu.“

Rozśmiał się zając: „Ha, mój przyjacielu,
Jeśli jest wola, ot, cel téj ochocie
Niech będzie przy owym płocie...“
To rzekł i, rącze posunąwszy skoki,
Stanął w pół drogi... obejrzy się, a tam
Żółw' ledwo ruszył trzy kroki.
„I na cóż,“ rzecze, „ja wiatry zamiatam?
Nim on dopełźnie, tak sobie suwając,
Sto razy wyśpi się zając.“
Tu swoje słuchy przymusnął,
Legnął pod miedzą i usnął.

Żółw', gdy powoli krok za krokiem niesie,
Stawa nakoniec w zamierzonym kresie.
Ocknie się zając: w czas właśnie!
Darmo się rzucił do prędkiego lotu,
Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie,
„A kto z nas,“ mówi, „piérwszy u płotu?“

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

48. Gil i słowik.

Pan gil, z słowikiem wszedłszy w przymierze,
W znajome lasy gdzieś tam wędrował—
Piérwszy miał cudne nad podziw pierze,
A drugi głosem wszystkich celował.
Ledwo co weszli do boru oba,
I spojrzéć nie chce nikt na słowika,
Wszyscy na gila: „To mi osoba!
A ten być nie wart za pacholika.“
Lecz kiedy słowik zaśpiéwał czysto
I wszyscy dali dank*) jego pieniu...
Zgasłeś, jak klecha przed organistą,
Mój panie gilu, w krasném odzieniu.

Małoż jest takich gilów na świecie,
Których bez zasług odyma pycha!
Wielcy z pozoru tylko, a przecie
Habit, jak mówią, nie czyni mnicha.

Adam Naruszewicz.

49. Lis i kozieł.

Już był lis w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbiérano.
Ani pomyśléć o wyskoczeniu!
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko,
Studnia, na półczwarta łokcia,
Za wysokie progi,
Na lisie nogi.
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia...
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!

*) Dać dank, wyrażenie dawne, znaczyło: przyznać nagrodę, lub piérwszeństwo.

Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił;
Nasz lis takich głupstw nie robił.
Wié, że rozpaczać jestto przydawać złe do zła;
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije...
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„O! to mi wodá! Takiéj nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale szkoda mi ją zbrukać,
Szkoda,
Bo co téż to za woda!“
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać,
„Ej!“ krzyknął z góry, „ej! ty ryży kudła,
Wara od źródła.“
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg i w nogi.

Adam Mickiewicz. 1832 r.

50. Małpa i jéj dzieci.

Dwóch synów małpa wodziła,
Razem matka i macocha—
Jednego bardzo lubiła,
Lecz drugiego ani trocha.
Dla faworyta wszystkie jéj starania:
Byle dészcz mały, albo chmurka lada,
Ona już nad nim przepada,
Tuli do łona i zewsząd ochrania,
Żeby wśród wilgotnej doby,
Nie dostał kaszlu, lub innéj choroby.
Lecz skoro ustał czas chłodny
I zawiał zefir łagodny,
Nie lękając się zasadzki,
Schodzi z drzewa dla przechadzki,

Trzymając synka na ręku.
Był to syn starszy, zbyt dziecina luba,
Małpiego rodu nadzieja i chluba.
Matka nań patrząc wzrokiem, pełnym wdzięku,
Cudo w nim świata widziała,
Ściskała i całowała;
Lecz, gdy go pieści, drugi syn, wzgardzony,
Własnym siłom zostawiony,
Dlatego może od brata zręczniejszy,
Przytomniejszy i silniejszy,
Sam za matką szedł dość śmiało.
Gdy tak po lesie troje się błąkało,
Wilk żarłoczny z boku wpada.
Strach okropny. Matka, blada,
Nie wié co robić; widok srogi ją zdumiewa;
Trzeba koniecznie było dopaść drzewa,
Lecz z dzieckiem w ręku nie mogła.
Nakoniec całość życia własnego przemogła:
Rzuca synka na ziemię, gałęzi się chwyta,
A wilk pożarł faworyta.
Inny los młodszego syna,
Co mókł na deszczu, na słońcu się palił:
Temu nie była potrzebną drabina,
Sam wskoczył na dąb i życie ocalił.

Julijan Ursyn Niemcewicz.

51. Mysza narada.

Gdzieś tam w norach, wśród zaciszy,
Wielką naradę odbywały myszy,
Jak się ustrzedz kota, który
Postrachem był okolicy.
Wszystkie myszy, wszystkie szczury,
Musiały głodne siedzieć w swéj ciemnicy;
Ani wyjść na świat; wnet każda złapana.
Co tu robić? Narada. Różne miano mowy,
Nareszcie jedna mysz, z mądrości znana,
Temi ozwała się słowy.
„Najlepszy sposób, bracia moi mili,
Kiedy kot drzémie, dopatrzyć téj chwili

I dzwonek do ogona przywiązać szpagatem;
To już spokojność czy zimą, czy latem.
Jak się tylko kot ruszy, znajdziem zawsze porę,
Usłyszawszy dzwonienie, wnet schować się w norę.“
— „Brawo! wybornie!“ wszystkie zawołały;
„To mądra rada.“ Ot i rzecz skończona;
Wtém tylko został sęk cały,
Kto ten przywiąże dzwonek do ogona.

Jeden szczur mówił: „Czy mi licho każe
Léźć samemu w łapy kota?“
Drugi powiada: „O! ja się odważę,
Lecz nie potrafię; nie moja robota.“
Ten mówi—starą matkę, ten ma dziatwę małą,
Tamten prawi rzeczy inne.
Słowem że każdy wynalazł przyczynę
I na projekcie wszystko się zostało.

Zwykle gdzie dobro powszechne na celu,
Wszystkie narady taką idą drogą:
Projekt podawać—to znajdzie się wielu,
Lecz wykonywać—to nié ma nikogo.

Antoni Górecki. 1834 r.

52. Dwie myszki.

Myszka Lizetka, po dworskim pobycie,
Chciała zobaczyć, jakie na wsi życie.
Wyszła raz w pole i do swéj siostrzanki
Wstąpi na chwilę, do myszki Gryzanki.
— „A! zdrowaś?“—„Zdrowam.“—„Cóż więcéj?“
Skoczy gosposia czym prędzéj:
Cokolwiek mogła znaléźć z leguminy,
Dobędzie z tajnego lochu—
Pszeniczki, owsa i grochu
I nadgryzionéj skibkę słoniny;
Bo uważając, że ledwie co zletka,
Przytknie do wargi panna Lizetka,
Chciała przynajmniéj z potraw różności
Przypodobać się jéjmości.

Tu dworka, stan swój szacując drogo,
Tonem litości wyższego świata,
„Żal mi cię,“ rzecze, „moja niebogo,
Żeś tu zamknęła swe lata.
Mogąc mieć dolę przyjemną,
Na cóż się w dzikiéj téj grocie
Głuchéj poświęcać samocie?
Porzuć te nudy! pójdź ze mną;
Co to żyć, obaczysz przecie!
Ślepy los jakiś—na świecie,
A koniec końców—dół w ziemi;
Na cóż te posty i znoje?
Nie łudź się mary przyszłemi,
Co dziś użyjesz, to twoje.“

Ujął Gryzankę morał tak letki;
Z czyich ust jeszcze? Z mownéj Lizetki.
Rzuca wieś. Idą. Mimo kotów czaty,
Wkradły się chyłkiem obie w dom bogaty.
Zadziwia kmiotkę blask srébra i złota,
Co go nie znała jéj wiejska prostota.
Cóż, gdy zwietrzyła pasztety,
Cukry i ciasta i wety!

Lizetka, w takim ją stanie
Na perskim sadząc dywanie:
„A znacie wy to wieśniaczki?
Używaj teraz!“ Tu same przysmaczki
Przynosi do niéj, a, jak każe moda,
Sama wprzód liźnie, toż gościowi poda.

Gryzanka moja, wśród hojnéj rozkoszy,
Na miękich siedzi jedwabiach paradnie;
Wtém... kosz na ziemię upadnie...
Łoskot z dywanu biesiadnice płoszy;
Poczęły zmykać, a gdy tuż z za ściany
Zaszczekną jeszcze ogromne brytany,
Z srogiego popłochu ledwie
Do szpary trafią obiedwie,
„Niestety,“ krzycząc, „niestety!“

Ucichło. Tu dworka nasza
Na resztę uczty zaprasza,
„Jeszcze,“ mówiła, „są wety.“
Ale wieśniaczka, rzucając drużynę:
„O! bywaj zdrowa i z tym pysznym gmachem!
Wolę w spokoju groch mój i słoninę,
Niż twoje wety ze strachem.“

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

53. Osieł i pies.

„Jeśli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
Kochajże ty psa,“ słowa są Lokmana*).
Rozumiał je nasz osieł, boć już nie był źrebię,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki.

Ten osieł, nosząc, jak zazwyczaj, juki,
Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu,
Mający nad jukami i nad osłem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.

Szli tak aż do południa. Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął. Tegoć osieł czekał:
Obejrzał się; naprzód darń przy drodze siekał,
Potém podstrzygać zaczął czubek miedzy,
Nakoniec przez rów hasa
I widzi się na łące, jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazłci tam przysmaków:
Chwastowiska, ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa!
„Będę się miał zpyszna, tylko ty, człowiecze,
Zmiłuj się, śpij!“ tak westchnął i siecze, a siecze.

Psu oskoma i pokusa:
„Mój osłosiu! od rana jestem na czczo; mdli mię;

*) Lokman był to głośny autor bajek Arabski, jak Ezop był Grecki.

Ty masz wędzonkę w jukach, aż ztąd czuć po dymie;
Pozwól że dam jéj całusa.
Wiész, jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem,
A ty przyklęknij na jedno kolano.“

Ale nasz osieł, jakby do muru gadano,
Siecze, a żuje milcząc. Aż wreszcie półgębkiem,
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz!
Poszedłbyś, psie, do nogi! Jak jegomość wstanie,
Da ci się śniadanie.“
Odpowiedzi nie czekał i obuszczęk znowu
Tak zarwał trawy, że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza. Wtém, nagle zza rowu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świéc wilkołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: „Bracie! *broń! ciu! ciu!* na tu! *ratuj!*“
A pies: „Ja nie twój *ratuj,* ani twój pan *broniec,*
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj;
Czekaj, aż jegomość wstanie
Na waści obronienie i poratowanie.“

W téjże chwili wilk osła dorznął, ot! i koniec.

Adam Mickiewicz.

54. Chłop i żmija.

W pamiętnikach bestyjograficznych*) Ezopa,
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa
I o pewnego węża postępku łajdackiem.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu pada do nóg plackiem;
Przeziębły, wpółskostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.

Chłop zlitował się nad tą mizeryją**) gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,

*) Opisujących zwierzęta. **) Nad nieszczęśliwym losem.

Kładzie go na przypiecku,
Podściéła mu kożuszek, jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę)
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.

Nieboszczyk wąż, gdy ożył, tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela
I wskrzesiciela.

„A to co się ma znaczyć?“ zdziwiony chłop krzyknął,
„To ty, w nagrodę dobrego czynu,
Jeszcze chcesz mię ukąsić? A! ty żmii-synu!“
I wnet, porwawszy dubasa,
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz wpół pasa.
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek:
Rozpadło się żmiisko na troje żmijątek;
Darmo drgają
I biegają,
Ogon za szyją, za ogonem szyja;
Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie,
Ale trafia się częściéj, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

Adam Mickiewicz.

55. Bocian i liszka.

Jako druh dobry do swojéj drużyny*),
Bocian do liszki**) przyszedł w nawiédziny.

*) Do przyjaciółki. **) Do lisa.

*

A że to jeszcze było dobrze zrana,
Zaprosi liszka grzecznego bociana,
Aby, na dowód swéj łaski,
Lekkie śniadanie raczył zjeść pospołu:
Więc stawi przed nim rzadkiego rosołu
Półmisek płaski.
Gość zaczął grążyć swoim długim dziobem,
Ale nie takim on jada sposobem,
Jak tu częstują: próżno tylko depcze,
Tymczasem wszystko sama imość zchłepcze.
Figiel ten skromnie zagodzi:
Podziękowawszy za cześć, odchodzi.

W kilka dni potém, napotkawszy liszkę,
Prosi na obiad wdzięczną towarzyszkę.
„I owszem," rzecze mu ona,
„Chętnie z mojemi jadam przyjacioły."
Jak się godzina zbliża naznaczona,
Posunie krok swój wesoły.
Chwali bociana, cieszy się, że zdrowy,
A węchem czuje, że obiad gotowy.
Dobry nad wszystko apetyt porywa,
A na tém liszce, słyszałem, nie zbywa.
Stawi gospodarz przed tą kortezanką
Gąsior wysoki z siekanką.
Sam tedy naprzód, jako wyga stary,
Do wązkiéj szyi szyję długą ścibi;
Lecz mordka liszki była inszéj miary:
Co się pokwapi, to chybi.
Gdy wkoło skacze i liże i skrobie,
Długonos wszystko tymczasem wyzobie.
Za taką ucztą, dla się niewygodną,
Liszka nawzajem dobrze była głodną.
Więc zawstydzona, do domu pokłuszy,
Zwinąwszy ogon i spuściwszy uszy.
Tu bocian: „Umié żartować kochanka!
A co lepszego: rosół, czy siekanka?"

Frańciszek Dyjonizy Kniaźnin.

56. Żołądź i dynia.

Pewien chłop, Marek z imienia,
Patrzył się pełen zdziwienia
Na dynię, któréj tak cienka łodyga
Tak ogromny owoc dźwiga.

„Widném jest," rzecze, „że Stwórca pobłądził;
Ja byłbym rzecz tę inaczéj urządził,
Tak naprzykład porządkował:
Byłbym tam, w owéj gęstwinie,
Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
Owoc do drzewa stosował;
Tę zaś żołądź, lichą, drobną,
Tak do dębu niepodobną,
Podły pokarm świni,
Byłbym dał dyni.
Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
Nie był przy stworzeniu świata,
Nie jednę radę byłoby się dało
I pewno lepiéj, niźli teraz, działo.
Gubię się w wielkim myśli moich tłumie;
Zasnąć nie można przy takim rozumie!"

Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
Kiwa się, chrapie.... a wtém żołądź spada
Z jego dębu właśnie,
I tak srodze i okrutnie
Prosto w nos go utnie,
Że aż z bólu wrzaśnie.

„Cóż to jest!" rzecze,
„Krew mi z nosa ciecze;
Maleńka żołądź, a tak mi dojadła!
Cóżby to było, gdyby dynia spadła?

Źle coś mówiłem: próżna to otucha
Poprawiać Stwórcę nawet w lichéj dyni,
Wié Bóg, co robi, a najlepiéj czyni,
Że głupich Marków nie słucha.“

Frańciszek Morawski.

57. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzymał;
Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał;
Rozigrały się, wśród spokojnéj ciszy,
Jedna za drugą biegające myszy.
Aż tu pęd jednę uniesie
Na króla zwierząt. Ocknie się
I płochą skoczkę porywa.
Myszka moja, ledwie żywa,
Zguby swéj czeka ze drżeniem;
Ale on, rzeczą nie sądząc wspaniałą
Mścić się nad drobném stworzeniem,
Wypuścił całą.

W kilka dni potém, idąc po nocy,
Sam w nastawione sidła zapadnie;
Z tych się nie mogąc wydobyć snadnie,
Rykiem jął żądać pomocy.
Aż tu mysz owa przyleci.
„Nie bój się, królu!“ powiada,
„Ja cię wywikłam z tych sieci.“

Usłudze takiéj tu wdzięczność jéj rada,
Te, w których stopy monarsze uwięzły,
Zdradne przegryzła węzły.
Tak lwa całego puszczy oddała
Jedna mysz mała!

Frańciszek Dyjoniży Kniaźnin.

58. Jałmużna.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica.
Szedł jakiś młodzian, porządnie ubrany...
Wtém, jakby na złość, gdzie wązka ulica,
Stoi staruszek, okryty łachmany,
I żebrze.
„Wstydź się; czyż to żebrać pora?
Któż to jałmużny prosi wśród wieczora?“

— „Panie, po licu mojém spójrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.“

— „Ej! daj mi pokój, nic nié mam, nie mogę,“
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.
Idzie i myśli: „Oj! znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci!
Wziął lichą odzież, by tém litość wzbudzić,
I lézie gwałtem, żeby co wyłudzić.“
Lecz potém myśli: „Można w gniéwie zbłądzić;
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
A może biédny, może ma i dzieci...
Zajdę, gdzie w bramie téj ogień się świéci,
Dam mu co“..... Zaszedł, lecz coś szuka długo:
„Nie mam nic drobnych, dam mu razą drugą;
Słabość jest zbytnią uwiéść się szczodrotą:
Nie tak to łatwo nabywa się złoto.“
Idzie, znów myśli: „Choćbym dał dukata,
Nie wielka dla mnie byłaby to strata;
Wszak mam ich kilka, a bez méj pomocy,
Może staruszek i zamrze téj nocy.
Lecz gdzież się wracać, spóźnię się na wiska...
Ale biédnego tego głód przyciska....
Wrócę się.“ Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
Ucichło, księżyc błysnął przez obłoki;
Bieży młodzieniec, dziwi się téj zmianie,
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.
Dał mu dukata. „Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był téż litościwy,

Oby cię wspiérał, gdy będziesz w potrzebie.“
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Zdziwiony młodzian patrzy dokoła,
Lecz nic nie widać wpośród nocnéj ciszy...
„Któż jesteś, starcze!“ przelękły, zawoła;
Wtém jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
„Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie,
Oddam ci w sądu straszliwéj godzinie;
Uważać każdy krok twój dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbiéra, co trwonisz, rozrzucasz daremnie,
Pomnij, by więcéj nie zebrał ode mnie.“

Antoni Górecki.

59. Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły;
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,
Bo tam je karmiły matki,
Tam się rodziły ich dziatki.

Właścicielowi przyszło coś do głowy
Wystawić gołębnik nowy.
Gustownie go wybudował,
Z wiérzchu i wewnątrz nawet pomalował;
Nasypał ziarna do téj budowy wspaniałéj...
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić;
Zaczęły się bardzo smucić;
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Bo im ten kącik był miły.
To wzrusza ich pana, zebrał dawne szczątki
I, dla lubéj im pamiątki,
W tém samém miejscu i takiéj budowy
Ze starego zrobił nowy,
Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe,
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

Stanisław Jachowicz.

60. Pies i pszczoły.

„Jestto cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami,“
Stare powiada przysłowie;
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie.
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!

Był pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,
Przytém lizus doskonały:
Proszony, czy nie proszony,
Latał na wszystkie strony,
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości dociekał,
Słowem, u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potém wszystkich oszczekał,
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;
Cały porządek przewrócił.
Wtém raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie,
Zajrzéć do ula, który stał w ogrodzie.
Naprzód ostrożnie bierze się do dzieła:
Obchodzi, wącha, skrada się, przymyka,
Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczół gromada
Z straszliwym brzękiem wypada.
Wyżeł w nogi! lecz te, w złości,
Tak go cięły bez litości,
To po brzuchu,
To po uchu,
To po pysku, to po grzbiecie,
Że już nie wiedział o świecie.
Wtém mu jedna w nozdrze wpadła,
I tém mu dojadła;
Szarpie się, rzuca i wyje,
Nosem ziemię ryje,

Jęczy, na wszystkie strony
Wykręca się i wywija —
Wreszcie leci, jak szalony,
I łeb o kamień rozbija.
I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
A wszystkich czerni szkaradnie,
Prędzéj lub późniéj w taką łapkę wpadnie,
Że będzie wzgardą i pośmiechem świata.
Taka to wścibskich zapłata.

Franciszek Morawski.

61. Drabinka.

„Na cóż to," mamo, „ta długa drabinka
Stoi u tego kościoła?"
Tak urocza jéj dziewczynka
W ciekawości swéj zawoła.
A matka na to: „Nie wiem, moje dziecię;
Lecz wiem, że każdy na świecie
Po drabince życia bieży!
Po niéj w górę piąć się trzeba,
I od nas tylko zależy,
Aby ją oprzéć o nieba."

Franciszek Morawski.

62. Mrówka i pszczoła.

W jesiennéj porze, gdy straszna nawała
Całe zniszczyła mrowisko
I, jak wieść niesie, dwa tysiące blizko
Mrowiego ludu zalała,
Jedna z nich, biédna, płynąc przez czas długi
Na drobnéj słomce, jakby Noe drugi,
Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,
A szczęsnym pszczółkę napotkawszy losem,

Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
Takim zapłakała głosem.
„Posil mię, posil, pszczółko dobra, tkliwa,
Patrz, jak jestem nieszczęśliwa,
Nié mam i jutra czém dożyć;
Nikt na litości nie traci,
Niebo ją stokroć odpłaci;
A i ty możesz zubożéć.
Wesprą cię wówczas, jak ty mnie w téj dobie,
Bo, jak ty drugim, tak i drudzy tobie."

—„Wymowną jesteś!" pszczółka jéj odpowie.
„Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie owego konika,
Co także w pięknéj wymowie
Twéj się litości domagał;
Wszak o ziarno tylko błagał,
A ty, nietylko, żeś mu nic nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała."

Mrówka się łzami w swym zaléwa wstydzie,
Zwraca się, milczy i umiérać idzie;
Kiedy z natury swéj poczciwa pszczoła,
Tak ją odwoła:
„Wróć, wróć, nie chciałam z twojéj szydzić biedy,
Przybliż się, zasil w potrzebie,
Lecz jeśli znowu zbogacisz się kiedy,
A nędzarz przyjdzie do ciebie,
O! niechże prośbą nie błaga daremną;
Nie gardź tą niebios przestrogą;
Pomnij, że i ty płakałaś przede mną,
I, jak on, byłaś ubogą."

Franciszek Morawski.

63. Zając i niedźwiédź.

Nie tylko ludzi łączy zapał święty...
I między zwierzęty

Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem, niedźwiedź bury,
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przyzwyczaił mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźni nazywano wzorem;
Był to Polluks z Kastorem*).
Cóż, kiedy Polluks strasznym był mazgajem!
Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,
Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
W zajęcze serce chciał przeléwać tkliwie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.

Lecz nie tu koniec jego smutnéj doli,
Bo gdy raz, w cieniu topoli,
O spólnym rozmawiali losie,
A, o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzymał się zając
I mucha siadła mu na nosie...
Niedźwiédź, każdéj pory,
Do przysługi skory,
Nagle się porywa,
Straszliwie zaczął się dąsać:
„Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
Oj! czekaj gadzino złośliwa,
Nie wiész, czém to pachnie.“
Jak się odsadzi, jak machnie,
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem muchę i zająca zabił.

Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i biédę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniéj zaszkodzi,
Niźli przyjaciel serdeczny, a głupi.

Frańciszek Morawski.

*) Kastor i Polluks—bliźnięta, bohaterowie z mitologii Greckiéj.

64. Konik polny i mrówka.

Konik polny, co swój cały
Wpośród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiéwał.
Żeby téż odrobina jaka
Z muchy lub robaka.
Nic zgoła!
A więc idzie, płacze, woła,
Do skrzętnéj mrówki kołace:
„Pożycz, ach! pożycz,“ powiada,
„Kilka ziarnek dla sąsiada;
Jakem konik, tak zapłacę,
By tylko Sierpień zawitał,
Prowizyję i kapitał.“
Mrówka na to: „Opatrz Boże!
Ja nikomu nie pożyczam:
Do wad moich to policzam,
Nawet i najmniejszych może,
Ale już mię nie poprawisz;
Raczéj odpowiédz mi na to,
Cóżeś robił całe lato,
Że się dziś żebraniem bawisz?“
—„Tak w dziennéj, jak nocnéj dobie,
Wciąż śpiéwałem bez ustanku.“
—„Śpiéwałeś? dobrze, kochanku,
Teraz skakaj sobie.“

Frańciszek Morawski.

65. Zajączek.

Już pora miła
Wiosny wschodziła;
Młode gałązki
Szły na zawiązki;
Trawki bujały.
Zajączek mały
Cieszył się wiosną,
Mruczał jednak na trawki,
Że tak prędko rosną,
Bo, dla takiéj odmiany,
I sam widziéć nie mógł
I nie był widziany.
Gdy je więc wydeptywał,
Po łące igrając,
Rzekł stary zając:
„Zetną trawkę, ty wzrośniesz
I gdy czas się zmieni,
Na to, co w wiośnie pragniesz,
Zapłaczesz w jesieni.“

66. K o t.

Żaden kot w świecie nie słynął z dobroci,
Lecz wszystkie przeszedł w złości pewien Matys bury,

Jakiś rzeźnik, Atylla, jakiś Heród koci,
Istny bicz boży na szczury.
Wszystko się przed nim na pół mili kryło;
W najgłębszéj drżano zaciszy;
I jakby niedość na szczurach mu było,
Uwziął się jeszcze świat wyludnić z myszy.
Nigdy o takim łotrze nie słyszały
W żadnym mysim dziejopisie;
Co tylko łapek, sideł, trucizn znały,
Niczém było przy Matysie.

Raz więc wśród nocy, gdy mu głód dopiekał,
I już oddawna próżno czychał, czekał,
Myszki się kryły w swych dziurach...
Zaczął zdechłego udawać przed niemi;
Gdzieś się tam w górze, na wiszących sznurach,
Zawiesił łapy tylnemi.

Myszy zaledwie dają oczom wiarę,
Myślą, że musiał kogoś tam podrapać,
Jakieś kurczątko, lub téż sérek złapać,
I że wreszcie przebrał miarę;
Przyszła kréska
Na Matyska
I oto dynda za karę.
Cieszą się wzajem i mówią do siebie:
„Będziemyż skakać na kocim pogrzebie!“
Wietrzą więc naprzód, wyścibiają główki
I znów się w swoje chowają kryjówki;
To znów wysuną, to postąpią trochę,
To nakoniec, śmiałe, płoche,
Drobnemi sypią się kroki
I nuż hulanka i skoki.

Kiedy wtém inne rozpoczną się susy:
Nasz wisielec zmartwychwstaje,
Na głupią rzuca się zgrają
I spasłe dusi nygusy.

Frańciszek Morawski.

67. Talar i bankocetel.

„Nie prawdaż, żeśmy bracia?“ takiemi raz słowy,
Ozwał się do srébrnego piéniądz papierowy;
„Ja talar i ty talar.“—„Przebacz,“ srébrny rzecze,
„Że zupełnie braterstwu naszemu zaprzeczę;
Moja wartość istotna, twoja pożyczana:
Mnie zrodził czysty kruszec, tyś powstał z gałgana.“

Frańciszek Morawski.

68. Franuś i echo.

Swawolny Franuś, znudziwszy się w szkole,
Piérwszy raz w życiu wymknął się w pole
I, mile z swego korzystając czasu,
Chodził i śpiéwał ponad brzegiem lasu.
Kiedy wtém nagle stanął zadumany;
Pojąć nie może, co mu się to zdarza;
Słyszy wyraźnie jakiś głos mu znany,
Co piosnkę jego powtarza.
„Cóż to jest?“ woła. „Cóż to?“ głos odpowie.
„Czy tu kto skryty?“—„Skryty“ się odzywa.
Rośnie więc walka i głośna i żywa;
Kłócą się słowo po słowie.
Co tylko Franuś zagada,
Jużci echo odpowiada;
Im Franuś krzyknie donośniéj,
Tym i echo głośniéj.
Tak przez godzinę śmiészny spór prowadzi,
Dąsa się, rzuca i sam z sobą wadzi.
Wiécież, co zyskał, że się głupi kłócił?
I écha nie przegadał i z chrypką powrócił

Frańciszek Morawski.

69. Ptaszek i rybka.

„Szczęśliwa—rybka!“ tak ptaszek rzecze:
„Kto jéj co zrobi, gdy w głąb' uciecze;
Bez troski, strachu, w ciągłéj swobodzie,
Igra po wodzie!
Mnie takiém szczęściem niebo nie obdziela:
Jastrząb' goni, człowiek strzela...
Przykrożto, przykro dla biédnéj ptaszyny
Zawsze w téj ciągłéj żyć wojnie,
I jednéj nawet lichéj odrobiny
Nie módz zjeść spokojnie!“

Ależ i rybka, w téj saméj dobie,
Gdzieś tam w swéj głębi tak mówi sobie:
„Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
Gdy się wzbije w kraj słoneczny!
Nucąc ziemi, niebu, wiośnie,
Buja radośnie.
Buja, gdy rybka drży w ciągłéj obawie:
Tu ją straszy siéć zdradliwa,
Tam szczupak goni po stawie...
I to się życiem nazywa!
Boże, coś wszystko tak mądrze ułożył,
Czemuś mię ptaszkiem nie stworzył!“

Takim i człowiek żali się głosem
W swych skargach nudnych i długich;
Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem,
Nigdy u siebie, zawsze u drugich.

Frańciszek Morawski.

70. Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając ze swobody,

Pasł się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły;
I on téż, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.

Raz gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie;
Stanął..... słucha..... dziwuje się.....
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi;
Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce.

Strwożon wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił;
Spotkał konia; prosi go, iżby się użalił:
„Weź mię na grzbiet i unieś.“ Koń na to: „Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę.“

Jakoż wół się nadarzył. „Ratuj przyjacielu!“
Wół na to: „Takich, jak ja, zapewne nie wielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Bo tam na mnie czekają; niedługo zabawię,
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże.“

Kozieł: „Żal mi cię, nieboże,
Ale ci grzbietu nie dam; twardy, nie dogodzi;
Oto wełnista owca niedaleko chodzi,
Będzie ci mięko siedzieć“..... Owca rzecze:
„Ja nie przeczę,
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę.
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie.“

„Jak ja ciebie mam wziąść na się?
Kiedy starsi nie wzięli,“ cielę na to rzekło,
I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół, psy zająca zjadły.

Ignacy Krasicki.

71. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały?
Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
Wielbłądy—wstrzemięźliwość, lamparty—odwagę,
Niedźwiédź—moc znamienitą, koń—ozdobną postać,
Wilk—staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać,
Sarna—kształtną subtelność, jeleń—piękne rogi,
Ryś—odzienie wytworne, zając—rącze nogi,
Pies—wierność, liszka—umysł w fortele obfity,
Baran—łagodność, osieł—żywot pracowity.

Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
„Według mnie ten najlepszy, co się najmniéj chwali.

Ignacy Krasicki.

72. Chłop i cielę.

Nie sztuka zabić: dobrze zabić sztuka;
Z bajki nauka.

Szedł chłop na jarmark, ciągnąc cielę na powrozie.
W lesie, w wąwozie,
W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,
W ciemności postrzegł wilka po oczach co błyszczą,
Więc do pałki: jął machać, nie myślawszy wiele,
Zamiast wilka, co uciékł, zabił swoje cielę.

Trafia się i nie w lesie, panowie doktorzy!
Pałka—lek, wilk—choroba, a cielęta—chorzy.

Ignacy Krasicki.

73. Z a j ą c.

Wiosną, na łące,
Młodziuchną trawę skubały zające.

Jeden z nich, śmielszéj postaci,
Nadmie wąsy, kręci głową,
I swoich braci
Taką zagaja przemową:
„Pókiż wieść będziem tułacze życie
W ciągłych bojaźniach i trwogach?
Mamyż się ciągle budzić o świcie
I zawsze czuwać na nogach?
Już czas jest od tych strachów się zbawić!
Potrzeba mężnie psom czoło stawić!
Ja was do boju powiodę;
Dam z siebie przykład odwagi, męztwa,
Całemu światu dowiodę,
Że zając zdolny jest do zwycięztwa.“

Wtém krzyk myśliwych i trąb odgłosy
Odbiły łąki, gaje, niebiosy...
Nasz mówca, ów zuch nad zuchy,
Zadrżał cały, stulił słuchy;
Myśléć już nie było czasu,
Sam piérwszy drapnął do lasu.

Najczęściéj tchórz w przechwałkach jest wielkim junakiem,
Lecz, gdy przyjdzie do rzeczy, schowa się za krzakiem.

74. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: „Wy nie wiécie,
A tu o was idzie przecie.“
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
„Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub węcierzem;

Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą miéć otuchy,
Skoro staw będzie suchy.“

Ryby w płacz, a czapla na to:
„Boleję nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić
I gdzieindziéj was osadzić.
Jest tu drugi staw blizko,
Tam obierzcie siedlisko:
Chociaż piérwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.“

— „Więc nas przenieś,“ rzekły ryby.
Wzdragała się czapla niby;
Dała się nakoniec użyć,
Zaczęła służyć:
Brała jednę po drugiéj w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.

Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich, widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa;
Tak zdrajcom bywa.

Ignacy Krasicki.

75. Zając i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracił serca, póki czuł się rączy;
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że źle się z nim skończy;
Więc jęknął z głębi serca: „Ach! nié masz pod słońcem,
Lichszego powołania, jak zostać zającem!
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona,
Nawet ona,
Jak chce tak gania...
A w noc, gdy drzémię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,

Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiéj od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem;
Postanowiłem skończyć je dziś samobojem.
Żegnaj więc miedzo, lat mych wiośnianych kolébko,
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnemi łzami pozwólcie się skropić,
Oznajmuję wszem w obec, że idę się topić.“

Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca skoki słabe,
Po drodze stąpił na żabę;
Ta mu, jak raca, drgnąwszy, z pod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
Więc zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi:
Każdy ma swoję żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi.

Adam Mickiewicz.

B). Inne rodzaje poezyi epicznéj.

1. Siérota.

Już za górami słońce skonało.
Jakażto wsparta na grobie,
Oczy zakrywszy chusteczką białą,
Płacze dziewica w żałobie?
Czegóżto ona płacze tak rzewnie?
Ach! z niespłonionych jéj liców,
Z łez nietajonych, zgaduję pewnie,
Że to nad grobem rodziców.
Płacz, płacz, dziewico; nie widzą świadki;
Łzy tobie ulżą tęsknoty;
Po stracie ojca, po stracie matki,
W nich całe szczęście sieroty.

Antoni Edward Odyniec.

2. Walka myszy i szczurów z kotami.

Na lewém skrzydle wojska zagraniczne,
Myszy i szczurów, w dobrym szyku stoją.
Lśnią się rynsztunki, w rodzajach rozliczne,
Każdy—ozdobny wspaniałością swoją.
Z brzegów Sekwany—wymuskane, śliczne,
Nie tylko kotów, i lwów się nie boją.
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tymczasem pląsają i skaczą.

Dunajskie szczury, harde i ponure,
W porządnym szyku stanęły, jak wryte.
Znad Tybru—trwożne, gdy chodzi o skórę,
Jednakże w zdradne podejścia obfite;
Zadnieprskie—twardą mające naturę,
Od Elby—srogim bojem znamienite,
Tamizy—dzikie i sławne w rozpustę,
Szwajcarskie -wierne, opasłe i tłuste.

Nie tak mnogością straszny, jak wyborem,
Mruczysław swoje animuje *) koty;
Wzywa do sławy i punktu honorem
Wzbudza poddanych do wojennéj cnoty.
Gryzomir, wzajem tymże idąc torem,
Swym wojownikom dodaje ochoty.
Z obu stron skoro dano tylko hasło,
Kocie i mysie wojsko razem wrzasło.

Miauczących kotów przeraźliwa wrzawa;
Szczurów odważnych pisk słychać ochoczy.
Pobojowisko okrywa kurzawa,
Gęstym tumanem wojowników mroczy;
Wzmaga się coraz bitwa straszna, krwawa,
A potokami krwi ziemia się broczy;
Zamiast kunsztownéj stali armatury **),
Broń stron obudwóch—zęby i pazury.

*) Zachęca. **) Broni.

Rominogrobis, szwagier Mruczysława,
Wódz piérwszéj straży mężnych wojowników,
Przykładem swoim ochoty dodawa;
Zagryzł rotmistrza i dwóch pułkowników;
Wszystko się jego pazurom poddawa,
I rocie, którą rządzi, dzikich żbików;
Chociaż go mnóstwo myszy zewsząd ściska,
Pełne już trupów są pobojowiska.

Gryzosław, młodszy brat monarchów myszy,
Co prawém skrzydłem wojska zawiadował,
Przez adjutanta gdy o tém usłyszy,
Co hetman dzikich kotów dokazował...
Natychmiast szybkim krokiem idzie w ciszy,
Aby kompanów w przygodzie ratował.
Bierze tył żbikom; dognawszy ostatki,
Straszne zaczyna z onych czynić jatki.

Miaukas, waleczny rotmistrz,—zagryziony;
Tuż koło niego Dusimyszek leży;
Nie wskórał Filuś, kotek wypieszczony,
Z pstrocentkowanéj udatny odzieży;
Ani Myszogryz, połowem wsławiony;
Bez wodzów reszta niedobitków bieży.
Zwycięzca coraz gdy żwawiéj naciéra,
Wszystko ucieka, nic się nie opiéra.

Usłyszał swoich głosy przeraźliwe,
Rominogrobis nagle zadziwiony;
Kiedy zaś hufce zobaczył pierzchliwe,
Nową natychmiast złością rozjuszony,
Ku tamtéj stronie pazury straszliwe
Zwraca, a świeżym łupem rozłakniony,
Tém większą jeszcze zajadłość wywiera;
Szarpie w kawalce, na sztuki rozdziéra.

Po stosach trupów z obustron pobitych,
Śpieszą ku sobie wielcy adwersarze;*)
Mniejszy—szczur, przecież w dziełach znamienitych

*) Przeciwnicy, to jest Rominogrobis, dowódzca kotów — i Gryzosław, wódz szczurów i myszy.

Godzien z walecznym kotem by był w parze;
Nowy laur przydać do innych obfitych
Kot myśli, szczura gdy zuchwałość skarze;
Pierzchają z pułków rycerze zmięszani,
Sami na placu zostali hetmani.

Jeden drugiego bystrém okiem mierzy.
Widząc kot szczura niezmiernéj postaci,
Wprzód się do zwykłych udaje pacierzy;
Szczur, mniéj nabożny, nic serca nie traci.
Wtém tak go nagle z impetem uderzy,
Iż ledwo życiem walki nie przypłaci;
Kot, zagłuszony ciosem, ledwo lizie,
Szczur go tymczasem jak gryzie, tak gryzie.

Bólem nieznośnym zbyt srodze przejęty,
Chce go przygarnąć, lecz chyżo odskoczył.
Przypadnie z boku, urwał mu pół pięty;
Kot z miejsca umknął i trochę wyboczył.
Leci szczur obces, lecz znagła ujęty
Pazurmi za kark, tak aż się zamroczył....
Gdy się raz jeszcze miotać żwawie kusił,
Kot go za szyję porwał i udusił.

Bez wodza wojsko zostawszy, ucieka;
Lecz kocia trzoda gonić go nie zdoła.
Widzi rozsypkę Gryzomir zdaleka;
Postać się niegdyś odmienia wesoła—
A czując, że go los okropny czeka,
Gdy nadaremnie łaje, prosi, woła,
Przynajmniéj żeby szli za jego śladem...
Sam do ucieczki najpiérwszym przykładem.

Dzielnażto przecie rzecz, monarchów czyny!
Skoro król uciékł, wszyscy za nim w nogi,
Każdy do swojéj pośpiesza krainy,
A mniema, że tuż nieprzyjaciel srogi:
Krajowe wojska i cudze drużyny,
Każdy, unosząc życie,—wiatronogi—
Szczęśliwy przecie, że im pora nocna
Do téj podróży zdatna i pomocna.

Ignacy Krasicki.

3. Wychowaniec.

„Dokąd śpieszysz tak, chłopczyku!
Co tam niesiesz w tym koszyku?“
—„At! maliny
Z téj doliny
Uzbiérane mam.“

—„Ach! maliny! jeszcze świeże!
Chęć mię wielka na nie bierze;
Daj z koszyka
Do koczyka,
Piéniędzy ci dam.“

„Proszę pani, ja nie mogę;
Niech Bóg da szczęśliwą drogę.“
—„Cóż chcesz, ile?
Mów, dam tyle;
Pełno w worku tym.“

Za nic malin tych nie sprzedam
I przemocą wydrzéć nie dam:
Te maliny
Dar jedyny
Dobrodziéjkom mym.

Dziś w czas wolny je zbiérałem,
Dobrodziéjkom zanieść miałem,
Bo cóż, Boże,
Więcéj może
Biédne serce dać!“

Pojazd ruszył, a chłopczyna
Szedł z koszykiem do Łunina*)
Z malinami
I z myślami.
Warto zeń wzór brać!

Romuald Zienkiewicz.

4. Niewinny żarcik.

Siedział dziadunio, jak gołąbek siwy,
A wkoło wnuczki. Ich szczęściem szczęśliwy,
Stroił żarciki, aż odmłodniał cały.
Z figielków dziadzi dziecinki się śmiały.

„Wiécie co, dzieci? jeżeli zechcecie,
To dziś w namiocie wspaniałym będziecie:
Tam szklane ściany, kobierce zielone,
A w którąkolwiek obrócisz się stronę,
Mnóstwo śpiéwaków wyuczonych śpiéwa;
W środku namiotu rosną kwiatki, drzewa,
Wkoło—źwierciadła...“ Kazio, szpaczek wielki,
Rzekł: „O! to nowe dziadunia figielki.“
Ale Jadwisia i mówić nie dała,
Wierząc wszystkiomu szybko się ubrała;

*) Nazwisko wioski.

„Więc chodźmy," rzecze, „do owych namiotów!"
Już i braciszek jeden, drugi, gotów.
Wybrał się dziadzio.—Idą długą drogą
I nigdzie dojrzéć namiotu nie mogą.
Stanęli wreszcie na łączce zielonéj,
I długą przestrzeń widać z każdéj strony.
Tu owdzie drzewka i krzaczki wzrastały,
A w krzaczkach ptaszki śpiéwały.
Tu kwiatki: każdy jakby malowany.
„Otóż to namiot, to są szklane ściany,
To są kobierce. Nie prawdaż? wspaniałe?
A te potoki—zwierciadła niemałe.
Takie to Pan Bóg dał ludziom namioty..
Oby w nich same zamieszkały cnoty!
Oby w nich dziatki na cześć Boga rosły
Potém rodzicom pociechę przyniosły."

5. Chléb.

Kaźmiérz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męzki,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parném,
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wziętego z wiosną nasienia.

Piérwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umiérał bez chleba.

W onymto roku powszechnéj nędzy,
Gdy z głodu naród umiérał,
Był panek; zdzierstwem wiele piéniędzy
I ziarna wiele nazbiérał.

I, choć zamożny z łońskiego*) zbioru,
W kmiecą siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chodził klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,
Chléb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydróżnéj wybiega chaty

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztora
Chleba bochenek pod szatą;

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka;
Ja stara jestem, ranną mam nogę;
Droga do miasta—daleka."

„Babo!" rzekł panek, „daj pokój święty
I nie zatrzymuj mię w drodze;"
I znów, litością niby przejęty,
Dodał: „Zawiodłaś się srodze:

Nie chléb ja niosę, lecz kamień prosty;
U nas bo kamień jest rzadki—
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle méj chatki."

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał,
Bo chléb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chléb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! w kamienie ci zamień."

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega:
Na twardy kamień bo stężał.

*) Przeszłorocznego.

Otruchlał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym ganku,
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna—powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Adam Gorczyński.

6. Lato.

Bławatki, kąkole, zbielały od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszczą,
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.

Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
„Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“ Co żywiéj!
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To potém się słota sprzeciwi.

Bóg zapłać, przepiórko, twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany
Bo w chacie wieśniaka już krucho.

Pocieszcie się, dzieci; chléb będzie, chléb nowy,
Nasz chlébek kochany, dar Boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy,
Jak słońce, bochenek położy.

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką;
Chłopaki, dziewczęta, jak róże;
O! chwałaż Ci, Boże, za nowe, za latko;
Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pośpiesznie a chyłkiem;
Śmiéch słychać; spłoszyli zająca...
I oto się bielą nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca,

A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe,
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził:
Czerwone, niebieskie i białe.

Teofil Lenartowicz.

7. Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki, szczebiocząc, wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.

I kręcą się, wiją, to niżéj, to wyżéj,
Nad czystą, jak kryształ, rzeczułką;
A coraz to szybciéj, a coraz to chyżéj,
A wkółko, a wkółko, a wkółko.

Na brzegu zielonym, na bujnéj na trawce,
Dwie krówki się pasą, baranek,
A pastuch przygrywa na długiéj ligawce,
I słonko przygrzéwa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.

Ligawka przycichnie, to dzwonek z kościołka,
Z za lasu, zdaleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka
Zabrzęczy na kwietnéj na błoni;

A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O! Boże mój drogi! w wiosenny poranek
Jak wszystko i świéższe i letsze!

Teofil Lenartowicz.

8. Jesień.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Gdy spojrzę na dziadka, jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednako,
To cichą modlitwą źrenica się łzawi...
O! Boże, daj starość mi taką!

Na polu omgloném, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza wokoło, a gąsiór gdzieś gęga,
I ziemia już tylko, a płoty.

Po drodze, to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw' wysoki zaskrzypi u studni—
I spokój rozsiada się znowu.

Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

Teofil Lenartowicz.

9. Ogród.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szérokie pole. Spodem—grzędy:
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, plącząc strąki w marchwi zielonéj warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swéj łodygi, aż w daleką stronę,
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Grzędy—rozcięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach, konopie,
Cyprysy jarzyn;—ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę:
Bo przez ich liście nie śmié przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.

Daléj maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni;
Tylą farb żywych, różnych, mak źrenicę mami.

W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik, licem wielkiém, gorejącém,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wązkie, długie, wypukłe pagórki
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły: liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.

Adam Mickiewicz.

10. Ptastwo domowe.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito.
Do nóg jéj biegło ptastwo. Ztąd kury szurpate
Toczą się kłębkiem. Ztamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
Széroko wyciągają ostrożaste pięty-
Za niémi zwolna indyk sunie się odęty,
Sarkając na gdyranie swéj krzykliwéj żony—
Ówdzie pawie, jak tratwy, długiemi ogony
Stérując się po łące—a gdzieniegdzie z góry
Upada, jak kiść śniegu, gołąb' srébrnopióry.

W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Ściska się okrąg ptastwa, krzykliwy, ruchawy,

Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białéj, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z korali,
Wznoszą się z gęstwi piérza, jak ryby z pod fali;
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle, nakształt tulipanów wodnych.

Tysiące oczu, jak gwiazd, błyskają ku Zosi;
Ona, w środku, wysoko nad ptastwem się wznosi;
Sama biała i w długą bieliznę ubrana
Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontana;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką, jak perły białą, gęsty grad perłowy.

Adam Mickiewicz.